





18. Dragonlance - Zaginione Opowieści 02 - Irdowie

Dragonlance Saga Zaginione opowieści, tom 2 Linda P. Baker Irdowie Dzieci gwiazd (Przełożyła Dorota Żywno)

Podziękowania Dla wszystkich moich niżej wymienionych przyjaciół i członków rodziny, którzy byli przy mnie przez cały czas i którym zawdzięczam to, kim jestem i o czym piszę, z bardzo serdecznymi podziękowaniami: Dla moich sióstr, Lanety i Lisy, i mojej teściowej, Gerry, za to, że ze mną wytrzymały. Dla moich szefów, Gene'a, Gardnera i Jeana, bez których zrozumienia i wsparcia nigdy bym nie skończyła tej książki. Dla Ann Zewen, mojej pierwszej redaktorki, która natchnęła mnie odwagą rozpoczęcia i kontynuowania zaczętego dzieła. Dla Carolyn Haines, jednej z moich pierwszych instruktorek pisania, która dała mi wiarę w siebie, mówiąc o moim opowiadaniu: „Nadaje się do druku!” Dla Jan Zimlich, nauczycielki, wyjątkowej redaktorki i głosu sumienia, podziękowania za trzymanie mnie za rękę, dodawanie otuchy i powtarzanie: „Skończysz to pisać, choćbym miała przez cały czas dawać ci kopa na rozpęd!” Dla Margaret Weis, za zaproszenie mnie do tego cudownego świata, który stworzyła, za to, że pierwsza dała mi szansę, łaskawie mnie wspierała i doradzała. Dla Patricka McGlligana, mojego redaktora, za cierpliwość przekraczającą granice obowiązku i za wszystko, czego mnie nauczył. Ostatnimi lecz nie najmniej ważnymi osobami, którym dedykuję tę książkę, są: Moja matka, Lena, która jest mi również ojcem, przyjacielem i podporą. Choć nie czyta fantasy, lubi to, co ja napiszę. Mój mąż, Larry, któremu jestem z całego serca wdzięczna za posiedzenia o drugiej nad ranem, za przekonanie, że wszystko, co napiszę, jest cudowne, za to, że jest moim obrońcą i że „nie chce słyszeć żadnych lamentów”! Bez ciebie nie udałoby się!

Prolog - Pieśń ogrów Powierniczka Historii ogrów stała na podwyższeniu samotnie, bez niczyjej pomocy, choć była tak stara jak kamienne mury zamku. Pogrzebała kości wszystkich swych przyjaciół i dzieci, a jednak wciąż żyła, dzięki Darowi, który tylko jej był dany. Otworzyła usta i oto objawił się Dar bogów. Głos tak czysty i dźwięczny, tak jasny i cudny jak gwiazdy świecące w ciemności nocnego nieba. Powietrze przeszła fala dźwięku. Słowa spłoty się na kształt Historii świata i ogrów, pierwotnych dzieci bogów. Młot bogów wykuł wszechświat z chaosu. Rozsiał duchy z iskier kowadła, które Rozproszyły się po niebiosach, tańcząc i lśniąc. W kuźni bogów powstał ten świat, Boże igrzysko. Duchy śpiewały głosami jak światło gwiazd, Jaśniały jak sami bogowie, fragmenty niebios. Bogowie spojrzeli na nie i uznali za przecudne. Bogowie spojrzeli na nie i zapragnęli ich dusz. Świat zatrzęsł się. Pole walki bogów. Najwyższy Bóg spojrział z wysokości na to, co zniszczyły jego boskie dzieci; Jego gniew był wielki, a cierpienie nie znało granic. Z ognia jego furii, Z boskiego tchnienia Takhisis, Z serca płomieni narodziły się rasy. Takhisis, Sargonnas, Hiddukel, bogowie Ciemności, Stworzyli kamiennych ogrów. Obdarzeni życiem, obdarzeni urodą, Ogrowie zwrócili oblicza ku ziemi.

Dzieci gwiazd. Pierworodni bogów. Paladine, Mishakal, bogowie Światłości, Stworzyli wiotkich elfów. Przeklęli ich dobroć, przeklęli cnoty. Ci pośrodku, Gilean, Reorx, Szarzy bogowie, Stworzyli trujących się ludzi, kazali im służyć. Strażnikami ciemności są potężni ogrowie, Strąceni, by rządzić światem, z wysokich gór. O włosach koloru cieni, oczach jak księżycy, Najpiękniejsi z wszystkich i prawdziwie nieśmiertelni. Piewcy światła gwiazd, panowie wszelkiego stworzenia. Władcy pospólstwa; zwierząt, elfów, ludzkich istot. W głębi naszych serc wszystkie sny są mroczne.

W głębi naszych dusz wszelki ból jest rozkoszą. Zwracamy twarze ku górze. Zrodzeni z gwiazd, wybrańcy bogów.

Rozdział 1 - Dobry i doskonały dar - Moja droga, wiesz przecież, że magii poza tą, która jest niezbędna dla codziennych potrzeb, nie wolno używać nikomu z wyjątkiem rodów panujących. Lord Teragrym Semi, najstarszy z pięciu członków Rady Władców ogrów i uważany przez wielu na królewskim dworze za najpotężniejszego, wybrał owoc z miski stojącej obok jego łokcia. - Tak, czcigodny panie, wiem. Jednakże... czyniono pewne wyjątki. Młoda ogrzyca, która klęczała przed nim ze spuszczonej oczyma, umilkła. Podniosła ukradkiem oczy, tak dziwne i czarne, a potem je spuściła, zbyt szybko, by go urazić. Teragrym udawał, że ogląda owoc, szukając przebarwień na puszystej, czerwonej skórce, a potem z pogardliwym grymasem wrzucił go do miski. Nie uważał za konieczne przypomnieć, że nieposłuszeństwo wobec prawa karano śmiercią. Zakładał, że gotowa była zaryzykować życie. Przestrzeń wokół niej przesycona była magią, doskonale ukrytą, lecz ledwo kontrolowaną. Dość potężną, by mógł ją wyczuć bez uciekania się do czaru „widzenie”. Już sama aura bijąca od osoby, która nie pochodziła z rodu panującego, wystarczyłaby do jej skazania. Palce kobiety zadrżały i lord odniósł wrażenie, że dostrzega przepływające między nimi zaklęcie, jakie pragnęła rzucić. Zapewne byłby to jakiś widowiskowy czar, który miał zrobić na nim wrażenie. Bez wątpienia znała nie tylko magię ognia i wody, psot i igraszek. Jako przedstawicielka rasy słynącej z urody była olśniewająco i egzotycznie piękna. Miała ciemne włosy, choć ogrowie zazwyczaj mieli włosy srebrzyste, i bladą cerę, podczas gdy większość miała skórę barwy szmaragdowej, indygo lub kruczoczarnej. Jej czarne oczy były prawie elfie, a zielona jak drogocenny kamień cera miała ciepły odcień, który przywodził mu na myśl bladoróżowe ciało ludzkich istot. Była to mieszanina zarazem odstręczająca i przedziwnie pociągająca. Odziana w powiewną suknię, której fałdy tworzyły wokół niej idealny wachlarz, stanowiła miły dla oka widok. Doskonały, dojrzały kwiat, który sam wpada w ręce. - Jesteś bardzo urodziwa. Młoda. Zdrowa. Zajmujesz świetne miejsce na dworze. Mogłabyś zawrzeć bardzo korzystny związek małżeński. Życ dostatnio. Czemu narażasz się, mówiąc mi o tym?

- Rzeczywiście, mogę sama znaleźć sobie kandydata na męża - szepnęła. - Inaczej mój stryj wyswata mnie z kimś, na kim mu zależy. Być może będzie to nawet doskonała partia, ktoś ze świetnej rodziny. Nie życzę sobie jednak być ozdobą czyjegoś rodu. Teragrym parsknął szyderczo, niemal śmiejąc jej się w twarz. Ta akurat ogrzyca nie sprawiła na nim wrażenia osoby dość uległej, by stać się czyjąkolwiek ozdobą. - Nigdy nie otrzymam pozwolenia na studiowanie magii, co jest moim pragnieniem. - Kobieta podniosła oczy i posłała władcy uśmiech pełen zniewalającej słodyczy. - Proszę, czcigodny panie, znane są przypadki przygarniania przez pewne rody osób zdradzających oznaki talentu, osób, które mogłyby się przydać... które poprzysięgłyby wieczną wierność w zamian za... pewne względy. - Racja - przyznał lord. - To prawda. Przynajmniej tak było, zanim Rada zjednoczyła klany. Teraz... Bardzo wiele zmian zaszło od chwili, gdy Rada Panujących zdobyła władzę, a zwierzchnictwo króla zostało zakwestionowane. - Teraz jednak ktoś taki musiałby mnie przekonać, że potrzebuję na dworze maga, który nie pochodzi z mego klanu. - Panie, drwisz ze mnie. - W jej głosie pobrzmiwała ostra nuta starannie kontrolowanej dezaprobaty. Może nawet cień gniewu. Reakcją mężczyzny była łagodna wymówka i zgryźliwy, lubieżny uśmieszek. - Czyżbyś się spodziewała, że, nie napotkasz przeszkód? - Przejdę każdą próbę, jakiej mnie poddasz! Lord mimo woli wybuchnął śmiechem. Nonszalanckim ruchem dłoni rzucił zaklęcie. Bezgłośnie i tak lekko, że wręcz niezauważalnie. U boku kobiety pojawił się stwór szczerzący oślinione kły, cuchnąca rozkładem bestia z mroków. Ogrzyca drgnęła i odsunęła się od zjawy. Bez większego wysiłku przerwała działanie czaru, używając potężnego zaklęcia „rozpraszenie”. Jej triumf jednakże nie trwał długo. - To nie dowód wartości. - Czcigodny panie, poddaj mnie próbie. Przejdę ją pomyślnie! -

Ależ, moja droga, to jest właśnie próba. Udowodnij, ile jesteś warta. - Zanim zdążyła zaprotestować czy zadać pytanie, skinął na asystenta, w ten sposób oznajmiając, że audiencja dobiegła końca. - Poślij po Kaede - rozkazał ogrowi, który zbliżył się pośpiesznie. Mało brakowało, a kobieta zaprotestowałaby. Poruszyła nerwowo długimi, szczupłymi palcami. Podniosła podbródek. W ostatniej chwili skłoniła się z wyraźnym wysiłkiem.

- Dzięki ci, lordzie Teragrym. Dostarczę odpowiedniego dowodu. - Wstając i wygładzając fałdy swej sukni, powiedziała półgłosem: - Dowodu mej wartości. Mężczyzna zczekał, aż ciężkie kamienne drzwi zasunęły się za nią bezgłośnie i został sam w sali audiencyjnej. W niewielkiej, lecz wysoko sklepionej i bogato zdobionej komnacie panował przepych. Teragrym odetchnął głęboko, napawając się pięknem otoczenia, które kołło jego nerwy, po czym gestem kazał asystentowi podejść bliżej. - Obserwuj ją - polecił młodemu ogrowi. - Mam wrażenie, że może być niebezpieczna. - Książę Kłamstw przemówi do ciebie - powiedziała arcykapłanka. - Albo nie. Przyjmie cię. Albo nie. Lyrralt skinął głową, nie miał bowiem do siebie dość zaufania, by przemówić. Z pewnością byłoby niestosowne, gdyby ujawnił swe podniecenie i wzburzenie przed ołtarzem Hiddukela, mrocznego boga zysku i majętności. Przygotowywał się do tej chwili osądu przez całe swe młode życie, być może dwieście lat ze swych trzystu. Dla dzikiego człowieka z równin byłby to okres równy wielu żywotom, dla długowiecznych elfów zaledwie ułamek życia. Dla ogra była to drobna chwilka. Arcykapłanka postawiła przed nim misę perfumowanej wody, odkładając na bok lekką szatę, którą przyniosła. W pomieszczeniu nie było żadnych sprzętów poza ołtarzem - olbrzymim blokiem marmuru z wizerunkiem złamanej wagi, znaku jego boga - i niewielkiej skrzyni, na której leżał strój, symbol jego nadziei. Nie było chroniących przed chłodem kobierców na posadzce ani gobelinów na ścianach. Lyrralt potarł nagie ramiona i przyglądał się z nie ukrywaną zazdrością i tęsknotą arcykapłance, której szmaragdową skórę zdobiły delikatne runy. Biegły wzdłuż obu ramion od barków do nadgarstków i były oznaką jej pobożności, znakiem błogosławieństwa Hiddukela. Arcykapłanka spojrzała mu w twarz po raz ostatni przed pozostawieniem go sam na sam z wizerunkiem boga. - Niech Hiddukel wypisze runy sprawiedliwie - rzekła cicho, kłaniając się jemu i ołtarzowi. Potem zostawiła go samego w chłodnym, ciemnym pokoju.

Mężczyzna zrobił bardzo głęboki wdech, powiedział sobie, że mu jest zimno, a następnie przyklęknął na chłodnej, marmurowej posadzce i skłonił się głęboko, wyciągając przed siebie otwarte dłonie. Lyrralt uniósł srebrne naczynie, które stało u podnóża ołtarza i upił łyk pachnącej wody. Wyplukał usta i delikatnie splunął do mniejszej miski wyrzeźbionej z kości. Zanurzył palce w wodzie i dotknął nimi uszu i powiek. Potem zaczerpnął w dłoń zimnej cieczy i chlusnął nią na bark i ramię. Dopełniwszy obrzędu, gotów był poprosić Hiddukela o błogosławieństwo. Zamknął oczy, skupił się z całych sił i pomodlił: - Proszę, o Potężny Panie Diabłów i Dusz, Książę Kłamstw, przyjmij mnie jako swego sługę. Umilkł, czując jedynie dotyk własnej chłodnej, wilgotnej skóry, a potem zacisnął powieki jeszcze silniej i pomodlił się jeszcze goręcej. Obiecywał wieczną wierność i absolutne bezgraniczne posłuszeństwo. Zerknął na ramię. Skóra koloru indygo była nieskalana, doskonała. Modlił się i błagał. Składał przyrzeczenia. Kłaniał się tak nisko, że głową dotykał podłogi. Woda wyparowała z jego skóry, lecz nadal nie czuł znaku boga. To niesprawiedliwe! Lyrralt wyprostował się i, kładąc dłonie na udach, siadł na piętach, zziębnięty z wysiłku, jaki włożył w błagania. Od dawna nie pragnął niczego więcej, zaniedbując obowiązki w majątku swego ojca i uchylając się od odpowiedzialności, jaka spadała na niego jako najstarszego syna i starszego brata. Prawie o niczym innym nie myślał, jak tylko o tym, co zdobędzie jako kapłan Hiddukela. Szacunek, korzyści, majątek. Och, jaką przewagę dadzą mu szaty duchownego, kiedy ojciec umrze, a on zostanie panem! Doznał w lewym ramieniu dziwnego wrażenia kłucia, tak ostrego i tak przeszywającego do

szpiku kości, że upadł na podłogę. Zachłysnął się, jakby w płucach zabrakło mu powietrza. Przez jego mięśnie i skórę przebiegły najróżniejsze odczucia, zbyt gwałtowne i sprzeczne, by je ogarnąć. Gorąco i zimno, nacisk od wewnątrz i z zewnątrz, męka i rozkosz. Długo oczekiwane wrażenie, jakby ciało zrywano mu płatami z kości. Lyrralt rozwarł szeroko usta i zawył z bólu... i radości. Wrażenie ustąpiło równie szybko, jak nadeszło. Ogr wyprostował się z drżeniem, nie czując już jednak zimna. Dotknął swego barku. Nie poczuł bólu, niemniej jego nieskazitelna skóra nie była już idealna. Wzdłuż barku biegły trzy rzędy śnieżnobiałych run, które odcinały się wyraźnie od tła jego ciemnej cery.

Otworzyły się wrota i weszła arcykapłanka, a za nią orszak innych członków zakonu. Otoczyli go, radośnie witając. Arcykapłanka przyklękła przy młodzieńcu i przyjrzała się znakom na jego barku. - Co widzisz? - zaciekawiał się Lyrralt. Ogrzyca odpowiedziała na jego niecierpliwość uśmiechem i musnęła palcem tajemne znaki. - Wiele rzeczy. Przed tobą wiele ścieżek, którymi możesz pójść, młody Lyrralcie. Wiele możliwości. - Opowiedz mi o nich. - Widzę początek. Hiddukel wskazuje... - Uniosła brew pod wrażeniem tego, co ujrzała. - Królowa Mroku. Być może wezwie cię sama Jej Mroczna Wysokość. Lyrralt wzdrygnął się na myśl o tym, że może go zaszczycić sama Takhisis, Królowa Ciemności. - Nie, może to tylko znaczy ciemność albo śmierć królowej. Martwa królowa. To nie jest zbyt jasne. - Nie mamy przecież królowej! - Hiddukel cię poprowadzi - skarciła go lekko kapłanka i wróciła do oglądania run. - Jest tu rodzina. Ktoś bliski. Jest także wyrządzona szkoda. Zemsta. Sukces. Arcykapłanka skinęła na towarzysza, który przyniósł Lyrraltowi habit. Wstając, młody ogr spytał: - Przesłanie nie jest zbyt jasne, prawda? - Z początku nigdy takie nie jest, lecz Księżę cię poprowadzi. W kopalni zatańczyły latarnie, maleńkie krążki ostrego światła, które przesywało gęstą i czarną niczym atrament ciemność. Zaskrzypiały belki, które podtrzymywały stropy i ściany, a podparte stemplami skały jęknęły, śpiewając niesamowitą i smutną pieśń. - Niewolnicy mówią, że to ziemia płacze nad klejnotami i kamieniami, które z niej wydobywamy. Igraine, gubernator Kal-Theraxian, największej prowincji w państwie ogrów, uśmiechnął się pobłaźliwie do swej córki, Everlyn. Ledwo ją dostrzegał w mdłym świetle, lecz wiedział, że oczy jej się rozszerzyły z podniecenia, a cera morskiego koloru zarumieniła się i stała się szmaragdowa. Była jego jedynym dzieckiem, rozpieszczanym, hołubionym i wychowywanym w atmosferze pełnej światła i radości panującej w jednej z najwspanialszych posiadłości w górach... Nie potrafił zrozumieć, czemu wołała ciemność, czemu przedkładała skały i

minerały, które wydobywali z ziemi jego niewolnicy, nad miedź, złoto i polerowane drogie kamienie. Podniósł wzrok na ostre skały tuż nad swym nosem. Jego rasa żyła w Khalkistach od zarania dziejów, obierając sobie za prawie należną siedzibę wyniosłe pasmo gór, które przedzielało północną część Ansalonu. Góry rozciągały się od Równiny Thoradu, ojczyzny dzikich ludzi, do skraju elfiej puszczy. Kal-Theraxian, które wybudowano w najdalej wysuniętym na południe pasmie gór Khalkist, znajdowało się zaledwie kilka dni drogi konno od gęsto zalesionych obrzeży elfiej puszczy. Niegdyś był to ośrodek bujnie rozkwitającego handlu skradzionymi elfimi wyrobami i elfimi niewolnikami. Było to jednakże wiele pokoleń temu, zanim odkryto podziemne bogactwa, zanim pierwotni uświadomili sobie, że dobrzy i łagodni elfowie są kiepskimi niewolnikami, za to ulegli ludzie doskonałymi. Przodkowie Igraine'a eksploatowali kopalnie Khal-Teraxian i być może spoglądali na ten sam strop, tę bowiem właśnie prastarą sztolnię dopiero co ponownie otworzono i zaczęto z niej korzystać. Być może oni również patrzyli na skalne sklepienie i zastanawiali się, czy nie zwali im się na głowy. Tunele zostały wykopane przez ludzi i miały rozmiary odpowiednie dla istot ludzkich, nie zaś wysokich ogrzych panów, którzy przewyższali ich wzrostem co najmniej o trzy dłonie. Choć nerwy Igraine'a były napięte, nie okazywał niepokoju ani zatroskania. Gubernator musiał dawać przykład. Nie zadrzał w obliczu powstania niewolników ani wtedy, gdy śnieżyca

zaskoczyła go na szczycie gór. Nie pokazał więc po sobie, że ciarki go przechodzą na dźwięk skrzypienia i śpiewu skał w czeluściach jego najwydajniejszej kopalni. Everlyn zerknęła na niego. Jej równe, białe zęby błysnęły w ciemności, a srebrzyste oczy zaświeciły się. Mimo niepokoju ojciec odpowiedział na jej podniecenie uśmiechem pełnym dumy. Taka piękna, rozpieszczona i nieustraszona. Szmaragdową skórę i wiotką sylwetkę odziedziczyła po matce, lecz ducha po nim. Gdyby nie ona, nigdy nie zszedłby tak głęboko do kopalni. Ciemna, wilgotna sztolnia o niskim sklepieniu była miejscem odpowiednim jedynie dla niewolników, ludzkich istot, które kuły skały i wydobywały najlepsze klejnoty w dwudziestu prowincjach. Niektóre z tych drogocennych kamieni miały rozmiary ich delikatnych dłoni i przewyższały jakością nawet te, które pochodziły z elfich krain na południu.

- Im niżej schodzimy, tym głośniejsze śpiewa ziemia - rozległ się ochryple, szorstki głos jednego z ludzkich niewolników, który zwał siebie Eadammem. Był to krzepki mężczyzna zbliżający się do wieku średniego. Być może miał prawie trzydziestkę, co czyniło go niemal dzieckiem w porównaniu z siedmioma setkami lat Igraine'a. Igraine znał tego niewolnika, mężczyzna bowiem miał jasne włosy, oczy niebieskie jak letnie niebo i przynosił Everlyn próbki rzadkich skał i kamieni, które tak bardzo lubiła. - Moim zdaniem tu nie jest bezpiecznie. Igraine spojrzał ostro na niewolnika. Czyżby w jego głosie była nuta złości? Buntu? Człowiek już odwrócił się, wznosząc latarnię, by pójść pierwszy w głąb niskiego tunelu. Tam gdzie Igraine musiał się garbić, Eadamm mógł iść z głową wzniesioną wysoko i dumnie wyprostowanymi plecami. Nawet Everlyn, która była mała jak na ogra, musiała się schylać. - Znaleźliśmy ten krwawnik tutaj, panienko - rzekł Eadamm do Everlyn, pokazując nieregularny, czarny jak noc, owalny otwór w ciemności. Everlyn ruszyła pochyłym tunelem w stronę wejścia. - Wielmożna panienko, tam nie jest bezpiecznie. - Eadamm obejrzał się, szukając wsparcia u Igraine'a. - Skała wciąż przesuwana się i jęczy. Wynosimy kruszywo i szukamy w nim kamieni. - Wskazał rumowisko na posadzce. Bez wahania, a nawet bez jednego spojrzenia wstecz Everlyn zniknęła w mroku. Usłyszeli jej głos: - Chcę to zobaczyć. Igraine skrzywił się i poszedł w jej ślady. W komorze przed nim zapłonęło ostre światło, które oślepiło go na chwilę. Stosowanie magii w tunelach nie było mądre. Oprócz niszczenia wzroku niewolników, którzy tyle lat przebywali pod ziemią, że ledwo widzieli w świetle dziennym, było coś niebezpiecznego w rzucaniu czarów tak głęboko pod powierzchnią, wrażenie, jakby sama ziemia próbowała zniweczyć ich skutki. Ogr szybko poszedł w stronę światła, uderzając głową w niski sufit. - Everlyn... - Przystąpiwszy próg, przerwał ostrzeżenie. Jego córka zawiesiła w powietrzu iskrzącą się ognistą kulę, która oświetlała małą grootę. - Czyż to nie cudowne? - Przerwała, by obejrzeć się na niego. Opierała się o ścianę, pchając i podważając duży odłamek skały. - Spójrz na krwawnik, który znalazłam! Eadamm zatrzymał się przy Igraine, mrużąc oczy w nagłym blasku. - Przyniosę paniencie kilof. - Postawił latarnię na ziemi i wyszedł. Usłyszeli echo jego głosu, gdy zawołał jednego z innych robotników.

Słowa te wydały się Igraine'owi bezsensownym bełkotem. Ognista kula tańczyła mu w oczach. Skalne rumowisko, które służyło za ściany w grocie, zdawało się poruszać wraz z migoczącym światłem. Od zakłęk córki przechodziły go po plecach ciarki. - Ever... - Zgrzyt kamienia o kamień zaparł mu dech w piersi. Sklepienie ruszało się! Everlyn krzyknęła przeraźliwie, gdy ściana przed nią drgnęła i osunęła się, jakby popchnięta niewidzialną ręką. Igraine skoczył w jej stronę. Ramię i bok przeszył ból, gdy coś uderzyło go w bark i odepchnęło do tyłu. Nozdrza i usta wypełnił mu pył. Posypały się na niego ostre kamienie wydarte z sufitu. Przez rumor kamieni i skrzypienie belek słyszał krzyk córki. Eadamm chwycił go i odepchnął na bok, chroniąc przed olbrzymim fragmentem spadającego sklepienia. Wypadając z małej komnaty, ogr uderzył w coś mocno głową. Wszędzie sypał się deszcz roziskrzonego pyłu i kamyków. Podłoga się przechyliła. Igraine przywał do ściany i

wyczuwał palcami drżenie skał. Słyszał, jak Eadamm woła Everlyn i słyszał w odpowiedzi jej schrypnięty z przerażenia głos. Wstał z bijącym sercem. Kiedy ruszył w stronę głosu Eadamma, magiczne światelko Everlyn zgasło. Jej wołanie umilkło raptownie, zostawiając go sam na sam ze strachem. Krzyki niewolników i wrzaski bólu dochodzące od strony głównego tunelu zmieszały się z jękiem ziemi. Chwilę później pojawił się Eadamm, biorąc go pod pachę i próbując pomóc mu ruszyć się z miejsca. Jego latarnia rzucała tańczące cienie przez zasłonę kurzu. Eadamm wezwał pomoc. Korytarze pełne były przepychających się i tłoczących niewolników, którzy krzyczeli ze strachu. Igraine wciągnął do nozdrzy mdlącą woń nie mytych i przerażonych ludzi, krwi i żwiru. Głowa mu pękała, a w środku słyszał głośny, pulsujący alarm niczym bijący dzwon. - Musimy się wydostać - wyrzeźił Igraine, czując smak krwi i ziemi. Przetarł dłonią czoło oraz powieki w nadziei, że znów będzie wyraźnie widział. Kiedy ją odsunął, palce pokrywało coś mokrego i lepkiego. - Panie, nie! - Eadamm wcisnął Igraine'owi latarnię w dłoń i chwycił belkę, która była prawie dwukrotnie od niego wyższa. - Być może ona jeszcze żyje! Igraine ledwo słyszał słowa niewolnika, jednakże odgadł ich sens po jego czynach. Eadamm wepchnął grubą kłodę pod jedną z wałących się belek sklepienia. Kiedy schylił się po następną, inny niewolnik pośpieszył mu z pomocą. Ogromny, z grubsza ociosany kłoc, którym Eadamm podparł sufit, zadygotał. Posypał się żwir i piasek. Sklepienie ugięło się pod naciskiem ziemi.

Znów zagrzmiało w czeluściach kopalni, a potem rozległ się huk sypiących się skał. Gdzieś w głębi korytarza krzyknął niewolnik. Niewolnicy stłoczeni u boku Igraine'a byli najlepszymi górnikiem w Khalkistach. Niezastąpieni. Warci zbyt wiele, by ich narażać. - Nie ma czasu! - Igraine schwycił Eadamma i wskazał w górę. Jakby na rozkaz kolejne kamienie zadrżały i posypały się. Znów zadudniło w głębi kopalni. - Wszyscy mają uciekać! - Igraine podniósł głos, aby było go słychać wśród huków, i krzyknął jeszcze raz. Żałował, że nie ma do pomocy dozorców, którzy wyprowadziliby głupie ludzkie istoty bez paniki, jednak w tej kopalni nie było strażników, pominałszy kilku na pokaz przy wejściu. Grzeczność i potulność niewolników z Kal-Theraxian stanowiła powód do dumy dla całej prowincji. Rozkołysane światła latarni posłusznych rozkazowi niewolników zaczęły oddalać się od ciasnego przejścia tą samą drogą, którą przyszły. Niemniej niektórzy ludzie zostali na swoich miejscach. Pod kierownictwem Eadamma już spokojnie i metodycznie odkopywali pogrzebaną pod kamieniami Everlyn. Igraine schwycił najbliższego człowieka i pchnął go brutalnie w stronę bezpiecznego końca tunelu. - Nie ma czasu. Uciekaj stąd! Wszyscy uciekajcie! Pierwszy opuścił korytarz tą samą drogą, którą przybyli, wspinając się po głazach i kamieniach, których tu przedtem nie było. Długa droga ku bezpiecznej powierzchni była podróżą przez ciemność i strach, przerywaną hukami spadających skał i krzykiem konających, które dobiegały z tyłu, z głębi kopalni. Igraine'owi huczało w głowie, a kostki nóg sprawiały ból przy każdym ruchu. Wstrząsy ziemi zniekształciły tunele, którymi podróżowali, pokrzywiły je i zablokowały. Przy każdym kroku spodziewał się, że sklepienie zawali mu się na głowę, gasząc krążki światła, jakie rzucały latarnie przed nim. Potknął się i upadłby, gdyby nie jeden z niewolników. Od zgarbionego i zdeformowanego przez lata pracy w kopalni mężczyzny bił okropny smród ludzkiego potu i słodki zapach ludzkiej krwi. Igraine odepchnął wyciągnięte pomocne dłonie i wstał o własnych siłach. - Jak daleko jeszcze? - spytał. Z góry sypał się migoczący w świetle latarni kurz. - Tuż przed nami, czcigodny panie. - Niewolnik pokazał ręką. Igraine dostrzegł, że to nie jego latarnia rzuca blask oświetlający pyłki kurzu, lecz ciepłe, żółte słońce Krynnu. - Upewnij się, że wszyscy wyszli - wymamrotał, śpiesząc w stronę wyjścia.

Gdy wyszedł na świeże, popołudniowe powietrze, jasne jak płynne złoto słońce poraziło jego oczy. Wydawało mu się, że upłynęły godziny od chwili, gdy zanurzył się w tej ciemnej, ziejącej jamie w górskim zboczu. Za nim wychodzili niewolnicy, z wyglądu równie oszołomieni jak on. Garstka

spośród towarzyszących mu osób, kuzyni, służba oraz strażnicy, dostrzegła ich wyjście z kopalni i wybiegła im naprzeciw. Był przepiękny jesienny dzień, powietrze było rześkie i przejrzyste, a niebo błękitne i bez jednej chmurki. Orszak ogrów odziany był w jaskrawe kolory, czerwone, niebieskie i zielone jedwabie. Igraine wyczuwał ich ożywienie i słyszał głosy krzyczące z podniecenia na jego widok. A musiał być on przerażający: ubranie w strzępach, twarz zakrwawiona, oczy zapadnięte i nieobecne. Za chwilę go otoczą. Nie mógł znieść myśli o ich rozpaczach, o pytaniach i płaczu starych ciotek, które wychowały Everlyn po śmierci jej matki. Odwrócił się do niewolników, aby policzyć, ilu nie zdołało uciec z wnętrza góry, i polecił zająć się rannymi. Natychmiast zauważył, że kilku ludzi brakuje. - Gdzie jest Eadamm? Stojący najbliżej niewolnicy potrząsnęli głowami. Spośród tych, którzy właśnie opuszczali kopalnię i byli na samym końcu, trzech nie chciało mu spojrzeć w oczy. Spuścili wzrok i stali z głowami wtulonymi w ramiona, jakby czekali na uderzenie. Wreszcie jeden wymamrotał: - Został z tyłu, panie, żeby ratować ogrzycę. Ten pośrodku mocno szturchnął łokciem mówiącego. - Chciał powiedzieć, panienkę, panie. Wielmożną panienkę. - Tak, czcigodny panie, wielmożną panienkę. Nie miałem na myśli nic złego. Igraine uderzył na odlew mężczyznę, który zatoczył się pod ścianę kopalni. Więc Eadamm wrócił wbrew jego rozkazom. Igraine, gubernator prowincji Kal-Theraxian, zyskał sławę dzięki swym metodom obchodzenia się z niewolnikami. Bezwzględny metodom. Dzięki temu otrzymał od króla stanowisko, ziemie i tytuł. Igraine nigdy nie dopuścił do tego, by niewolnik złamał jakąś zasadę, okazał brak szacunku, uchylał się od obowiązków czy nie wypełnił polecenia. Trzeba było dawać przykład. Jego osobista gwardia honorowa nadbiegała ścieżką od strony łąki, krzycząc i kłaniając się. Jeden złapał niewolnika, którego uderzył Igraine, i unióś go w powietrze za ramię. - Panie, co się stało?

- Gdzie jest panienka Everlyn? - Czy nic się panu nie stało? Pytania padały zbyt szybko i często, by Igraine zdążył na nie odpowiedzieć. Odwrócił się i zaczekał, aż reszta grupy znajdzie się w zasięgu głosu. Nie chciał opowiadać więcej niż raz o tym, co się stało. - Sklepienie się zawaliło. Everlyn... zginęła. - Przygotował się na okrzyki rozpacz. Naej, która zarządzała jego majątkiem, dopóki Everlyn nie osiągnęła odpowiedniego wieku, która była jej matką, nauczycielką i przyjaciółką, zakryła twarz dłońmi. - Zróbcie przegląd niewolników - polecił Igraine dowódcy straży. - Dopilnujcie, by zajęto się rannymi. Znajdźcie nadzorcę i sprawdźcie, ilu straciliśmy. - Oblicze Igraine'a stwardniało. - I dowiedzcie się, ilu zostało w kopalni wbrew moim rozkazom. Ci trzej wiedzieli o tym. Odseparujcie ich od pozostałych. - Jeśli niewolnicy w kopalni zginęli, ci trzej posłużą za przykład. Za jego plecami kobiecy głos zaintonował pieśń żalu po Everlyn, melodyjny dźwięk bez słów, który niesamowicie przypominał zgrzyt kamienia o kamień w sztolniach. Naej zaszlochała i kolejny głos, tym razem męski, przyłączył się do śpiewu. Igraine odwrócił się gwałtownie, zamierzając nakazać im, by zamilkli i odeszli. Wiedział, że będzie musiał zaśpiewać i odprawić żałobę, ale nie teraz, jeszcze nie teraz. Naej odsłoniła twarz i otworzyła usta do śpiewu. Zamiast tego wykrzyknęła, a jej otwarte usta, które wprawdzie wyrażały cierpienie, teraz głosiły zdumienie, a ostatecznie niebywałą radość. - Everlyn! Igraine wykonał raptowny obrót i ujrzał sześć postaci wyłaniających się z wejścia do kopalni, jedną wysoką i pięć niskich: Everlyn i pięciu niewolników, którzy zostali, by ją ocalić. Żyła! Szła, choć na uginających się nogach. Jeden rękaw tuniki miała urwany. Dół szaty na jej wąskich biodrach wisiał w strzępach. Przez dziury w spodniach przeświecały oba kolana, podrapane i krwawiące. Zmierzwił długie włosy sterczały we wszystkie strony. Ciemna, zbroczona krwią na skroni i barku skóra przyprószona była szarym pyłem. Igraine nigdy nie widział piękniejszego widoku. Po raz drugi tego dnia wokół rozpętało się istne piekło, gdy straż, orszak i niewolnicy rzucili się na pomoc wychodzącym z kopalni. Igraine precyzyjnie przeszedł przez tłum, deptając jednakowo ogrów i istoty ludzkie, by dostać się do córki.

Rzuciła mu się w objęcia, a łzy zostawiały smużki na jej ubrudzonej twarzy. - Już myślałam, że cię nigdy nie zobaczę! Uściskał ją mocno. - A ja myślałem, że nie zobaczę ciebie - odparł zduszonym głosem. Naej, która wyczesywała ziemię i małe kamyki zaplątane w długie włosy Everlyn, rzekła jak wtedy, gdy jej podopieczna była małym dzieckiem: - Zabierzmy ją do domu, Igraine. Zanim Naej zdążyła odprowadzić dziewczynę, Eadamm wystąpił naprzód i skłonił się. - Wielmożna panienko... To dla panienki. - Zza koszuli wyciągnął kawałek skały, który Everlyn próbowała wydobyć ze ściany ciasnej groty. Był to przydymiony, czarny krwawnik - tak ciemny, że zdawał się wchłaniać światło i zatrzymywać je wewnątrz - usiany karminowymi plamkami. Można było pomyśleć, że w środku ugrzęzły ogromne krople krwi. Zbyt brzydkie do wyrobu biżuterii, a zbyt miękkie do wytwarzania narzędzi krwawniki służyły przeważnie pomniejszych magom do popisów. Ich czary sprawiały, że czerwień płonęła i pulsowała niczym ogień. Ten odłamek miał rozmiary ziemniaka i trzy wyrostki wielkości kciuków na jednym końcu. Everlyn roześmiała się i wzięła go z wielką radością, delikatnie, jakby to było jajko. - Będzie mi zawsze przypominać o tym, co czułam na widok światła twojej latarni, które przedzierało się przez mur kamieni. Eadamm skłonił się jej ponownie i chciał odejść, lecz Igraine zatrzymał go. Gestem wezwał strażników. - Umieścić tych niewolników w areście razem z pozostałymi trzema. Everlyn podniosła oczy znad szaroczarnej skały. - Dlaczego, ojczy? - Nie usłuchali mojego rozkazu opuszczenia kopalni. Eadamm napotkał poważne spojrzenie dziewczyny i nie spuścił wzroku. - Rozumiem - powiedziała Everlyn cicho i żałośnie. Igraine, gubernator Kal-Theraxian, siedział samotnie w swym gabinecie, w którym jedyne światło rzucały żarzące się węgle w kominku. Przesunął swe ulubione krzesło, obite tkaniną wykonaną przez elfy, pod olbrzymie, sięgające od posadzki do sufitu okno, z którego rozciągał się widok na cały jego majątek. Solinari, srebrny księżyc, przyćmił swą siostrę Lunitari i rozsiewał bladą poświatę na ogród, łąkę i odległe góry. Igraine nie zwracał uwagi na chłodne piękno, jakie rozpościerało się przed nim - ani na kołyszące się główki jesiennych kwiatów, ani na górskie szczyty, które już zaczynały przywdziewać śnieżne czapy.

Ciszę przerwało pukanie. Strażnik otworzył drzwi i ostrożnie zajrzał do środka, wpuszczając do pokoju smugę światła. - Przyproceedziłem tego niewolnika, czcigodny panie. Igraine wyszeptał zakłęcie i zapłonęło kilka świec. W kominku zatrzeszczał i strzelił niewielki ogień. - Wprowadź go. Strażnik skinął na człowieka, który czekał na korytarzu, a potem oddalił się, odprawiony gestem Igraine'a. Eadamm wszedł do komnaty. Był umyty i ubrany w czyste, choć znoszone spodnie i koszulę. Jedyne śladami wydarzeń tego popołudnia były posiniaczone i prawie obdarte ze skóry ręce, które spętano łańcuchami. Igraine przyglądał mu się w milczeniu przez kilka chwil, podczas których człowiek stał bez ruchu, nie odrywając wzroku od okien i widoku za nimi. - Chciałbym coś zrozumieć - oznajmił wreszcie Igraine, widząc, że człowiek nie drgnął na dźwięk jego głosu ani nie kręcił się nerwowo w ciszy, jaka potem nastąpiła. - Zawsze dumą napawał mnie fakt, że jestem sprawiedliwym panem. - Wreszcie dostrzegł na twarzy niewolnika jakieś uczucie, przelotne wrażenie, którego z powodu braku obeznania z ludzkimi obliczami nie potrafił rozpoznać, lecz być może zdoła odgadnąć. - Sprawiedliwym panem - powtórzył z większą stanowczością. - Surowym, lecz sprawiedliwym. Moje prawa są srogie, lecz żaden z mych niewolników nie może powiedzieć, że ich nie zna. Toteż gdy je łamią i ponoszą karę, jest to wyłącznie ich wina. Znów grymas emocji, szybko opanowany. Igraine ciągnął dalej: - Rozumiem jednak ich występki. Rozumiem przywłaszczanie sobie rzeczy, bowiem ja również pragnę mieć więcej niż inni. Rozumiem uchylanie się od ciężkiej pracy. Rozumiem ucieczki. Niewolnik przy- puszcza i łudzi się nadzieją, że wszystkie te uczynki nie zostaną odkryte. Rozumiem kogoś, kto łamie zasady, nie spodziewając się, że zostanie przyłapany. Ale to, co ty zrobiłeś... Jeśli Eadamm zrozumiał, że dano mu szansę odezwania się, być

może wygłoszenia przeprosin i błagania o przebaczenie, nie okazywał tego. - Wiedziałeś, że sprzeciwiając się moim rozkazom, wydałeś na siebie wyrok - rzekł Igraine. Powiedział to pytającym tonem, więc Eadamm mógł wyrazić sprzeciw, gdyby chciał. Nie uczynił tego. - Tak, czcigodny panie, wiedziałem. - Więc tego nie rozumiem. Zbieg myśli tylko o swobodzie otwartej przestrzeni, nie o tym, że zostanie złapany. Ty o tym wiedziałeś. - Tak, czcigodny panie.

Zdenerwowany do tego stopnia, że nie mógł usiedzieć, Igraine wstał i przespacerował się wzdłuż ściany z oknami, a następnie szybko odwrócił się do Eadamma. - Więc mi to wyjaśnij! W obliczu poruszenia Igraine'a spokój Eadamma prysł. - Gdybym nie sprzeciwił się twym rozkazom, panie, wielmożna panienka zginęłaby! - Mężczyzna prawie krzyknął. Potem się opanował. - Panienka jest dobra dla niewolników. Ma... - Mów dalej. - Ona ma dobre serce. Byłoby rzeczą niesłuszną pozwolić jej zginąć. - Niesłuszną? - Igraine smakował to słowo, jakby było mu obce. Używał go wiele razy, na wiele sposobów, w odniesieniu do swych niewolników. - Niesłusznie byłoby mnie usłuchać? Po raz pierwszy od chwili wejścia do komnaty Eadamm spuścił wzrok i wpatrywał się w posadzkę, jak przystało niewolnikowi. Zamiast poczuć się zadowolony, że jego niewolnik wreszcie się przestraszył, Igraine chciałby, aby Eadamm jeszcze raz podniósł głowę - wtedy mógłby dostrzec wyraz jego brzydkiej, ludzkiej twarzy. - Wiedziałeś, że nie uciekniesz. Wiedziałeś, że karą będzie śmierć. - Tak. Wybrałem jej życie. Igraine westchnął. Usiadł na krześle. Odprawił niewolnika machnięciem ręki i odwrócił się, by podziwiać widok posiadłości. Usłyszał, jak drzwi się otwierają, a potem zamykają. Kiedy tylko się zatrzasnęły, z ganku weszła Everlyn. Jej spowita w powiewną nocną suknię sylwetka odcinała się od tła nocy. - Powinnaś być już w łóżku - burknął Igraine. - Nie mogłam zasnąć, ojciec - szepnęła przez łyzy. - Czy nie mógłbyś darować mu życia?

Rozdział 2 - Pieśń przeznaczenia Sala audiencyjna skrzyła się, jakby wypełniały ją płonące gwiazdy, lśniła od złotych haftów na pięknych szatach i klejnotów, które ozdabiały dekolty, palce i nadgarstki zgromadzonych. Płomyki setek świec tańczyły w szklanych lampach, na których wyrzeźbiono symbole bogów zła, złote i srebrne ceremonialne sztylety rzucały jasne refleksy, a mimo to olbrzymia sala nadał nie była rozświetlona. Mrok zalegał w kątach i wisiał pod kopułą wysokiego na trzy piętra sklepienia. Ciężkie wonie pachnideł z tuzina prowincji mieszały się ze sobą, przesycały powietrze swym dusznym zapachem, łącząc się z aromatami stopionych świec, wina zaprawionego korzeniami, ciepłych ciastek i soczystego ludzkiego mięsa, które zawinięto w wodorosty i upieczono do smakowitej kruchości. Zgiełk tysięcy głosów i brzęk pucharu o puchar ucichły w chwili, gdy Powierniczka Historii stanęła na brzegu podwyższenia i posłała w tłum Pieśń, której wibrujące tony spłotły się z rozbłyskami światła i zapachami. Khallayne Talanador zatrzymała się na pierwszym podejściu olbrzymich południowych schodów i zmrużyła oczy, aby widzieć tylko drobne iskierki, tysiące tysięcy wielobarwnych rozbłysków, które przeświecały przez jej rzęsy. Słodki, syreni głos Powierniczki śpiewającej o historii rasy ogrów nieomal przekonał Khallayne, że jest sama w olbrzymiej sali, a nie na najlepiej zorganizowanym, najświetniejszym przyjęciu sezonu. Kunsztowna, powiewna suknia śpiewającej Powierniczki skrzyła się i migotała. Wydawało się, że ożyły wyhaftowane na niej liczne sceny przygód dawnych królów i królowych, bitew pełnych chwały, zwycięskich uczt i wyrafinowanych podstępów. Suknia Khallayne była kopią stroju Powierniczki, jednak miała krótsze rękawy dla zapewnienia swobody rękom i mniej klejnotów na haftowanym gorsecie. Jednak gdy szatę Powierniczki zdobiły niezliczone sceny, na jej sukni widniała tylko jedna. Wzdłuż rąbka ciągnęły się obrazy z ulubionej opowieści Khallayne, historii o posępnej i straszliwej królowej. Na pierwszym żyła i tryskała pełnią sił, na następnym konała, a w końcu jej śmiertelne szczątki ożywały, siejąc postrach wśród poddanych. Nazwano ją Umarłą Królową, czasami Królową Ciemności. Panowała w zamierzchłych czasach, kiedy góry były jeszcze nowe. Powiadano, że była

najpiękniejsza, najbystrzejsza i najbardziej przebiegła ze wszystkich ogrów, jacy kiedykolwiek się narodzili.

Powziąwszy podejrzenie, że otaczająca ją szlachta spiskuje, kazała ogłosić swą śmierć, a następnie czekała na uboczu, by zobaczyć, kogo ten fakt zasmuci, a kogo ucieszy. Czystka, która nastąpiła, była szybka i doskonała; Umarła Królowa nie zostawiła przy życiu wielu żałobników po straconych krewniakach. Trzy z obecnych rodzin należących do Rady Panujących, wszystkie niezachwianie wierne Umarłej Królowej, doszły w owych czasach do władzy, zastępując tych, którzy nie śpiewali wystarczająco głośno pieśni pogrzebowych. Khallayne o dzieciństwie uwielbiała tę historię, podziwiając tak doskonałą przebiegłość i stawiając ją sobie za przykład. Ostatnie słodkie dźwięki pieśni przebrzmiały, lecz Khallayne nie ruszyła się z miejsca, jakby zauroczyło ją lśnienie sukni Powierniczki i stara opowieść, którą znała na pamięć. Pamiętała, że kiedy była dzieckiem, jeszcze przed śmiercią rodziców, Powierniczka przychodziła na występy o własnych siłach, aczkolwiek nieco chwiejnym krokiem. Już wtedy była sędziwa. Ogrowie byli długowieczną rasą, tak bliską nieśmiertelności, że nieomal równą bogom, lecz nawet ich żywot miał kres. Dla dobra ogółu żadnemu ogrowi nie wolno było dożyć chwili, w której stałby się ciężarem dla otoczenia, nawet królowi. Nikomu oprócz Powierniczki. Jej wyjątkowy talent nagrodzono rzadkim przywilejem. Teraz wszędzie nosiła ją w lektyce gwardia honorowa doborowych strażników, która czekała za kulisami, a ż Powierniczka skończy śpiewać Pieśń Ogrów. Strażnicy, których rozpierała duma i poczucie własnej ważności, stanęli po obu stronach Starszej i wyprowadzili ją przez kunsztownie rzeźbione drzwi ukryte na tyłach podwyższenia. Ze swego miejsca Khallayne dostrzegła, jak gwardia honorowa ustępuje miejsca strażnikom, którzy stali dotychczas niewidoczni w cieniu. Kiedy ostatni z nich zgrabnie odwrócił się i zniknął, zauważyła na jego brązowej tunice niebieski pas biegnący ukośnie przez rękaw, oznakę klanu Tenal. Jest, szepnął mroczny głos jej intuicji. Na to właśnie czekałaś. Khallayne dotknęła półksiężycy z miedzianej blachy, który nosiła wpięty w klapę tuniki. - Dzięki ci, Takhisis - szepnęła. - Dzięki ci. - Jej uśmiech był równie promienny jak blask klejnotów na sali. Cofnęła się w półcień pomiędzy ścianą a wielką kolumną i wyszeptała cicho słowa zaklęcia „widzenie”. Rzucanie czaru w sali, w której może być ktoś wrażliwy na drgnienie mocy, było ryzykownym posunięciem, jednak teraz, gdy wiedziała, że wkrótce stanie się niepokonana, tryskała energią i animuszem.

Hałas tysięcy głosów przycichł do szmeru. Oczy zaszły jej mgłą, aż otoczenie zmieniło się w rozmytą, szarobrazową plamę. W dole, na parkiecie wielkiej sali światełka zaklętych klejnotów iskrzyły się niczym rozżarzone węgielki. Mglista otoczka spowijała tych, którzy nosili zaczarowane szaty i ozdoby. Tak prostych zaklęć, jak również tych do zapalania świec i ognia, wolno było używać każdemu bez względu na zajmowane stanowisko. Aureole, które ją fascynowały, były czymś zupełnie innym. Szukała magii wśród najpotężniejszych ze szlachty, wśród tych, którym pozwolono posunąć się do granic wrodzonych zdolności. Na przykład znajdujący się po drugiej stronie lord Teragrym - skłębiona aureola ciemności, wielka potęga. Uśmiechnęła się, czując smak przyszłego zwycięstwa. - Szukasz kogoś, Khallayne? Napięła mięśnie, a potem je rozluźniła, kiedy przez zniekształcenia wywołane zaklęciem dotarł do niej kpiący ton słów. Głos, zgryźliwy i cyniczny, nie przestawał być ciepły i zmysłowy. To mógł być jedynie Jyrbian. Odwróciła się ostrożnie, powoli rozpraszając „widzenie”, by kolory, kształty i dźwięki wróciły do normalności. Jyrbian był dokładnie tym, czego potrzebowała - idealnym dopełnieniem jej planów. - Dobry wieczór - rzekła. Jyrbian skłonił się z wymuszonym uśmiechem na wargach, jak nikt inny potrafiąc wyrazić jednocześnie podziw i sarkazm. - Dobry wieczór, Khallayne. - Lyrralt, starszy od Jyrbiana, ukłonił się uprzejmiej niż brat. Nie podszedł, by uścisnąć jej dłoń, lecz stał oddalony o krok i śledził wzrokiem wzory na przepięknym,

wyhaftowanym przez niewolników brokacie jej sukni. Kiedy spojrzął na nią ze zdumieniem, popatrzyła mu śmiało w oczy, a potem uśmiechnęła się od ucha do ucha. Nie było jeszcze braci podobniejszych do siebie pod pewnymi względami, a jednocześnie tak bardzo odmiennych pod innymi. Jyrbian i Lyrralt mieli podobną karnację - ciemnoniebieską niczym szafiry oraz oczy i włosy barwy polerowanego srebra. Na tym kończyło się podobieństwo. W odróżnieniu od niższego i bardziej muskularnego Jyrbiana Lyrralt był wysoki i szczupły. Zwykle zachowywał się spokojnie, podczas gdy Jyrbian potrafił otwarcie narzucać swoją wolę; był zuchwały i skryty, zaciekły i skupiony w chwilach, gdy jego swawolny brat stroił sobie żarty i posyłał głupie uśmieszki.

Zamiast zwykłej tuniki Jyrbian miał na sobie pozbawiony rękawów paradny mundur żołnierza - obcisły jedwabny strój z błyszczącym, srebrnym galonem. Ubrany równie niepozornie co brat wyzywająco, Lyrralt miał na sobie prosty, biały habit kapłana. Ozdabiał go ciemnoczerwony haft, który przypominał krople krwi. Jediną biżuterią była kościana spinka z wypalonym na niej runicznym symbolem jego boga, Hiddukela, również w czerwieni. Odświętna szata z jednym długim rękawem, który krył znaki zakonu, nadawała mu tajemniczy i pełen godności wygląd. - Nie miałam pojęcia, że to bal przebierańców - zakpiła Khallayne. Znali się jeszcze, będąc dziećmi, zanim zmarli jej rodzice, zanim Rada Panujących zagarnęła ich majątek, by oddać go jakiemuś dworzaninowi za zasługi, a ona zmuszona była zamieszkać u kuzynów. Z chwilą, gdy wuj kupił jej miejsce na dworze, przekonała się, że ci dwaj dorośli mężczyźni bardzo przypominali małych chłopców, których wspominała z czułością. Z Jyrbianem znów się zaprzyjaźniła. Lyrralta trudniej było rozszyfrować. Zareagowali na jej docinki w sposób, jakiego się spodziewała. Jyrbian wyszczerzył się w uśmiechu i rozłożył ręce, żeby mogła lepiej obejrzeć mundur podkreślający jego wspaniałe mięśnie, natomiast Lyrralt zmarszczył brwi. - To me przebranie - delikatnie zwrócił jej uwagę. - Ależ skąd - oznajmił Jyrbian kąśliwym tonem. - Mój brat otrzymał błogosławieństwo od swego boga. Lyrralt obciągnął dumnie długi lewy rękaw, znak przyjęcia go w szeregi kapłanów Hiddukela. - Tak, i to większe niż ci się wydaje. Też mogłeś wybrać tę drogę. Ty jednak wszystko sobie lekceważysz. Bawisz się w żołnierza, zamiast zająć się czymś pożytecznym. Jyrbian spojrzął na niego krzywym okiem. - Ja się nie bawię, bracie. Podobnie jak ty, patrzę w przyszłość i widzę, co nadciąga. Widzę, co będzie potrzebne. Khallayne stanęła pomiędzy nimi, zapobiegając kłótni. Między braćmi od dawna toczył się spór, którego wielokrotnie była świadkiem. Lyrralt uważał brata za hulakę i obiboka. Jyrbian wiecznie spiskował, zazdrosny o wszystko, co Lyrralt odziedziczył jako najstarszy potomek. Khallayne wpieryła się do Lyrralta: - Nie chciałam ci dokuczać. Wiesz, że jestem z Ciebie dumna. - Potem odwróciła się i położyła dłoń na nagim przedramieniu Jyrbiana. - Co miałeś na myśli? Czyżbyś chciał powiedzieć, że już wkrótce klany otrzymają pozwolenie na zwiększenie liczby wojowników? Nie zwiększano jej od czasu... - Bitwy pod Denharben - podpowiedział Lyrralt. - Zanim urodzili się nasi rodzice.

Od wieków żaden ród ogrów nie wydał wojny innemu rodowi, przynajmniej nie oficjalnie i nie przy użyciu armii. Kiedyś każdy klan dbał tylko o swoje sprawy. Mniejsze musiały sprzymierzać się z większymi, by przeżyć, dopóki nie nabrały sił, by zaatakować swych sojuszników. Był to nie kończący się cykl. Niemniej od czasu, gdy członkowie Rady Panujących umocnili swą pozycję umiejętnym użyciem represji ekonomicznych i rozdziałem ziemi wśród popleczników, zdołali ograniczyć liczbę wojowników w klanie. Walki między rodami przybrały subtelniejsze formy, a stanowiska wojowników i członków straży honorowej, rzadkie i bardzo prestiżowe, przekazywano z pokolenia na pokolenie, tak samo jak ziemie i tytuły. Wojowników się nie wynajmowało, trzeba było się nim urodzić. - Chodzą pewne słuchy - rzekł tajemniczo Jyrbian. - Powinnam kazać cię zrzucić z murów! - zaśmiała się Khallayne. - Wiesz o czymś, czego nie chcesz powiedzieć. Poza tym, nigdy

poważnie nie uczyłeś się sztuki wojennej. - Nikt już nie uczy się, jak być prawdziwym wojownikiem - rzucił pogardliwie Lyrralt. - Całe wojsko to tylko straż honorowa, która bawi się mieczami i pikami, ćwicząc maszerowanie w równych szeregach. Nawet gwardia królewska jest głównie na pokaz. - Mylisz się, jak zwykle. Przyglądałem się ich ćwiczeniom. - Jyrbian splótł palce z Khallayne i pociągnął ją w stronę schodów, nie przestając mówić. - To prawda, nie ćwiczyłem maszerowania. Przysięgam ci jednak, że innym moim umiejętnościom niczego nie można zarzucić. Khallayne pozwoliła się odciągnąć i zostawiła Lyrralta z tyłu. Nie miała pojęcia, jakie plotki usłyszał Jyrbian, skoro uważa, że wkrótce wojownicy znów będą poszukiwani. Do napadów na ludzkie osady nie potrzebowali nikogo poza poganiaczami bydła. A z najazdami na ziemie elfów w głębi puszczy na południu z łatwością radzili sobie złodzieje. Przedmioty, które można było tam ukraść, przepiękne rzeźby i grube lśniące tkaniny, nie miały sobie równych na całym Ansalonie, jednakże sami elfowie, tak stoicy i niewzruszeni, gdy zabierano im kosztowności, byli bardzo kiepskimi niewolnikami. - Jyrbianie... - Dotknęła jego przedramienia. Twarde mięśnie drgnęły pod skórą barwy indygo. - Chodź zjeść ze mną kolację. Potem wyjdziemy na mury i popatrzymy na gwiazdy. Mam ci coś do powiedzenia. Chciałabym też, żebyś pomógł mi czegoś dokonać. Śmiejąc się do niej jasnymi oczyma, Jyrbian wsunął palce pod jej rękaw i musnął miękką skórę na jej nadgarstku. - Dziś wieczór w całym Takarze nie ma kobiety piękniejszej od ciebie - szepnął.

Khallayne roześmiała się. Była przekonana, że to samo słyszała każda kobieta, z którą rozmawiał od chwili, gdy o zmierzchu rozpoczęło się przyjęcie; z pewnością słyszała to z jego ust za każdym razem, gdy ich ścieżki przecinały się w przeciągu ostatnich dwudziestu lat. Odpowiedziała zarozumiale tymi samymi słowami, co przez te wszystkie lata: - Wiem. - Tworzymy doskonałą parę - szepnął, podnosząc jej rękę i podziwiając ciemność swego nadgarstka na tle jej bladozielonej skóry koloru morskiej piany. - Jak dzień i noc. Niestety... Mam nadzieję, że wybaczysz mi szczerość, lecz w tej sali znajdują się ważniejsze partnerki, z którymi mógłbym zjeść kolację. Mój brat lubi mi przypominać, że muszę pamiętać o obowiązkach - i o majątku. - Podniósł jej dłoń do warg, ucałował kostki jej palców, a potem zgrabnie się odwrócił. - Jyrbianie...! - Zostawiona na schodach Khallayne przyglądała się z niedowierzaniem odchodzącemu mężczyźnie, który zbiegał po stopniach. Jego długi, srebrny warkocz, spleciony modą wojowników, kołysał się na boki. Khallayne zadrżały palce. Aż ją świerbiły, by narysować w powietrzu jakieś straszliwe zaklęcie. - On próbuje uzyskać specjalne zlecenie od Rady Panujących. Khallayne zapomniała o znajdującym się w pobliżu Lyrralcie. Jakby od niechcenia wzięła go pod rękę. - Nie mogę zrozumieć, jak ty go możesz czasami znosić - rzekła chłodno, śledząc Jyrbiana, który przeciskał się przez tłum. - Wiesz, że prędzej czy później przyjdzie mu na myśl, iż najprostszym sposobem zdobycia majątku jest odziedziczenie go. Jyrbian przyłączył się do grupki ogrów, która stała po drugiej stronie sali przy schodkach podwyższenia. Natychmiast wzięła go pod rękę piękna, odziana w szykowny strój młoda kobieta. Khallayne cisnęły się na usta słowa zaklęcia, którego używali, będąc dziećmi, od którego skóra piekła jak po zetknięciu z pokrzywą. Nie myślała o nim od pięćdziesięciu lat, a nie używała od stu, lecz ciekawie byłoby zobaczyć, czy Jyrbian potrafiłby zachować swój wdzięk, gdyby mu je posłała. Niemal czuła już smak słów, lecz zapomniała o nich, gdy usłyszała Lyrralta. Czoło przyglądającego jej się młodzieńca marszczył wyraz udawanego zatroskania. - Tytuł drobnego szlachetki, jakim jest mój ojciec, oraz jego majątek nie wystarczy Jyrbianowi. Ostatnio mierzy znacznie wyżej. Jak dotąd doczekał się jedynie misji, przez którą ominą go wyścigi niewolników w przyszłym tygodniu. - Jakiej misji?

Bliskość jej ciała i ciepło piersi dotykającej jego ramienia wywierały oczekiwany skutek. Lyrralt przykrył jej dłoń swoją i nachyliwszy się bliżej, odpowiedział, jakby nie był świadom tego, co mówi: - Jakaś idiotyczna wyprawa do Kal-Theraxian z polecenia lorda Teragryma. Kiedy

powiedział „Teragrym”, odwróciła głowę w obawie, że dostrzeże zmianę odbijającą się w jej twarzy, w jej uśmiechu. Bez wątpienia przypomina wilka gotowego rzucić się na swą ofiarę. - Owszem, coś słyszałam - powiedziała - o tym gubernatorze Kal-Theraxian. Coś o nowej metodzie użytkowania niewolników, dzięki której wzrosła produkcja. Opanowała się i zrobiła kokieteryjną minę. Biorąc śmiało Lyrralta pod ramię i unosząc ciężki rąbek sukni, zaczęła schodzić po stopniach. - Czy to najmłodsza córka Teragryma towarzyszy Jyrbianowi? - Nie, to Kyreli. Nie jest najmłodsza. To ta, która tak pięknie śpiewa. Przypuszczam, że Teragrym żywi nadzieję, iż zostanie następną Pieśniarką. Ściągnięte brwi Khallayne bynajmniej nie wyrażały rozbawienia. Ogrowie układali pieśni o wszystkim. Śpiewali o szczęściu, smutku, deszczu, słońcu, zimnie i ciepłe. Ich cudne głosy rozbrzmiewały z bardzo ważnych powodów albo całkiem bez powodu i nawet bogowie zatrzymywali się, by ich posłuchać. Swym pięknym i wdzięcznym głosem myśliwi urzekali zwierzyne, a łowcy niewolników nakłaniali ofiary, by same wkładały ręce w kajdany. Khallayne była tym tylko rozdrażniona. Ta pełna wdzięku, bystra i jaśniejąca śmiałą urodą ogrzyca nie umiała bowiem śpiewać. Miała włosy jak jedwab przelewający się przez palce mężczyzny, oczy, które mogły oczarować najbardziej zatwardziałe serce i moc magiczną tak naturalną i potężną, że nie śmiała jej ujawnić. Nie potrafiła jednak śpiewać. Jej śpiew był równie piękny i urzekający, co zgrzyt kamiennych wrót, które trą o próg pełen żwiru. Kiedy zeszli ze schodów, Lyrralt zatrzymał się. Przynął się blisko do Khallayne i ściszył głos, jakby powierzał jej tajemnicę. - Zjedz kolację ze mną. Mam ci do powiedzenia coś znacznie bardziej fascynującego od plotek o wojownikach. Khallayne przyjrzała mu się spod opuszczonych rzęs. Może rzeczywiście wie, czym Kal-Theraxian zaciekało Teragryma. Uśmiechnęła się i znów wzięła go pod ramię, przytulając się do jego ciepłego boku i prowadząc go na drugi koniec wielkiej komnaty, gdzie znajdował się kącik jadalny.

18. Dragonlance - Zaginione Opowieści 02 - Irdowie

Obeszli królewski stół, z którego niczego nie wolno było zjeść. Stał tam tylko po to, by się nim zachwycać, napawać jego widokiem i podziwiać jego wspaniały wygląd. - Czy zastanawiałaś się kiedyś nad pochodzeniem tego dziwnego zwyczaju? - spytał Lyrralt, przechadzając się wzdłuż stołu i podziwiając smażone w miodzie i pływające w winie rzadkie kwiaty ghen, morskie strzałki i inne ryby sprowadzone aż z Oceanu Turbidus, które tonęły w korzeniach i liściach przypominających imbir. - Nie, nigdy. - Khallayne szła za nim, ledwo zauważając uzupełniające się kompozycje zapachów, konsystencji i kolorów. Nakładając sobie na talerz soczyste, opiekane skrawki i chleb ociekający miodową galaretką, spytała: - Czy zauważyłeś, że kiedy Powierniczka schodziła z podium, w korytarzu czekali strażnicy Tenalów? Potrząsając głową, Lyrralt położył na jej talerzu coś, co przypominało delikatny, błękitny kwiat. - Sądziłam, że może to oznaczać, iż jedno z potomków Tenala zostało mianowane następcą Powierniczki. Dawno osiągnęła już wiek, w którym powinna przekazać Pieśń komuś innemu. Zauważyła, że zgodnie z jej oczekiwaniami Lyrralt zrozumiał jej sugestię, choć starał się to ukryć. Ściągnął gęste, jedwabiste brwi, udając zaskoczenie. Znaleźli nieco na uboczu pusty stolik pod ścianą i posłali niewolnika po wino. - Wydało mi się to szczególnie dziwne. - Khallayne podjęła wątek rozmowy z udawaną nonszalancją. - Byłam święcie przekonana, że wybranką zostanie jedna z córek Teragryma... - Podobnie jak Jyrbian. - Lyrralt nagle uśmiechnął się szeroko. - A on ubiega się o niewłaściwą córkę! Miał wielkie plany na dzisiejszy wieczór... Chyba poczekam do jutra z tą wieścią. Widok jego miny będzie... - Och, sądzę, że stać nas na więcej. - Khallayne sączyła wino, delektując się jego cierpkim smakiem. - Znacznie więcej. Lyrralt zatrzymał kieliszek w połowie drogi do ust, przypatrując się uważnie błyskowi w jej czarnych oczach. Nigdy nie widział jeszcze tak złośliwej i tak urzekającej miny. Ogarnęło go podniecenie i jakieś złe przeczucia. Runy na ramieniu paliły jak świeże. - Czy dlatego pragnęłaś pomocy Jyrbiana? - Tak. Sądzę jednak, że ty spiszesz się znacznie lepiej. Przerwała. - Mam pomysł - zamruczała. - Doskonały pomysł. - Oboje dostaniemy to, czego chcemy.

Lyrralt przysunął bliżej krzesło i nachylił się ku niej. - A czego ty chcesz? - Wyczuwał ciepło bijące od jej ciała. - Nigdy nie odnosiłem wrażenia, żeby ci zależało na zdobyciu zwykłych rzeczy - stanowiska czy choćby podarunku w postaci ziemi albo domu poza murami zamku. Kiedy z Jyrbianem usłyszeliśmy o twoim przybyciu na dwór, sądziliśmy, że będziesz starała się odebrać klanowi Tenalów swą rodzinną posiadłość. Nie dostrzegłem jednakże niczego, c o b y n a t o wskazywało, chyba że jesteś przebiegłsza niż przypuszczałem. Kobieta uśmiechnęła się i trąciła jego kielich brzegiem swego pucharu. - Dzięki, czcigodny panie. Jestem rzeczywiście przebiegłsza, niż ci się wydaje. Jednak nie ziemi pragnę. Nauczyłam się w ciągu swych trzystu lat, że ziemie są czymś nietrwałym, łatwo nadawanym i łatwo odbieranym pod wpływem kaprysu. Szukam trwalszej zdobyczy. - I opowiesz mi o niej. Może jeszcze dziś wieczorem podczas spaceru po murach? Khallayne obrzuciła go spojrzeniem i wsunęła ukradkiem dłoń w jego rękaw. Lyrralt rozwarł szeroko oczy, gdy palce kobiety zaczęły sunąć w górę po jego skórze. Kiedy dotknęła krawędzi run, zadrżał. - Czy twój zakon nie byłby wielce zadowolony, gdybyś zyskał wsparcie lorda Teragryma? - Ale jak? - Lyrralt opróżnił kielich, nie odrywając oczu od ruchu jej dłoni pod jego rękawem. - To bardzo proste. Wydaje mi się, że możemy zdobyć coś, na czym Teragrymowi bardzo zależy. Możemy tak to zrobić, by w mało prawdopodobnym przypadku odkrycia tej... redystrybucji winą obciążono

Jyrbiana. Przez chwilę Lyrrallt był zbyt osłupiały, by wykrztusić choć słowo. Cała krew spłynęła mu z twarzy, przez co jego skóra nabrała matowoszarego odcienia. Khallayne wiedziała jednak, że połknął przynętę jak pewna siebie, zadowolona ryba, która leniwie płynie prosto w jej sieć i nawet otworzył usta, przypominając chwytającą powietrze rybę. - Runy mówiły o tym - szepnął. Dłoń Khallayne znieruchomiała, potem opuszki jej palców zadrżały, muskając gąbczaste runy tuż nad jego łokciem. - O czym? Spojrzał na rękaw. Runy wyryte na ręce były darem od boga, oznaką zaakceptowania jego pobożności. Co ważniejsze, były również jego darem dla boga. Wśród rasy tak urodziwej i tak dumnej ze swego piękna jak ogrowie, pozwolenie na oszpecenie znakami i bliznami nieskazitelnej skóry stanowiło wyraz najwyższego oddania bogu.

Pierwszych znaków zwykle nie pokazywano osobom spoza zakonu. Niewielu zaszczycono przywilejem ujrzenia pierwszego przesłania Hiddukela dla ucznia. Później, gdy znaki pokryją ramiona i dłonie, będzie nosił rękawy odsłaniające przedramiona i nadgarstki, tak jak to czyniła arcykapłanka. - Runy mówiły o wielu sprawach. O przeznaczeniu i zemście. O stanowiskach i władzy. Była też wzmianka, której nie zrozumiałem w pełni, póki cię nie ujrzałem dzisiejszego wieczoru. Wzmianka o królowej ciemności. - Nic nie rozumiem. Nie jestem królową. - Twoja suknia, Khallayne. Haft na twojej sukni przedstawiał Umarłą Królową. Jest coś jeszcze. Runy wspominały o rodzinie i zemście. Kobieta powoli wysunęła dłoń z jego rękawa, drapiąc go przy tym paznokciami po skórze. W głowie słyszała jakby brzęczenie pszczoł na łące kwiatów, a po jej ciele przebiegł zimny dreszcz. - Umarła Królowa... - szepnęła. - To wystarczy. Skradniemy Pieśń Historii ogrów Powiernicze i oddamy ją Teragrymowi.

Rozdział 3 - Kradzież Historii - Będzie nam potrzebna jakaś rzecz należąca do Jyrbiana. Butelka, może jakiś pojemnik. Amulet albo klejnot. Znajdę niewolnika, który wie, w której komnacie zatrzymała się Powierniczka. Kogoś, komu możemy zaufać, że nas nie zdradzi. Tak łatwo. Wszystko poszło tak łatwo. Lyrrallt, choć wyraźnie osłupiały, nie zakwestionował jej poleceń. Odsunął talerz z napoczętym jedzeniem, wyszedł za nią z gwarnej sali audiencyjnej, a następnie szybko i zwinnie udał się w przeciwnym kierunku, do południowego skrzydła zamku, gdzie mieściły się komnaty jego i Jyrbiana. Opuściwszy hałaśliwe przyjęcie, Khallayne słyszała cichy szmer rąbka sukni, który zamiatał kamienną posadzkę. Zeszła na dół, do korytarzy przeznaczonych dla służby zamkowej. Wchodząc do kuchni pełnej uwijających się osób, podniosła brzeg sukni i przestąpiła kałużę brudnej wody. W pomieszczeniu unosił się dym z olbrzymich palenisk kuchennych, wilgoć z nad wrzących kotłów i garnków, zaduch i mdlący zapach ludzkich istot. Żaden niewolnik nie podniósł oczu na rozglądającą się po sali Khallayne. Całe szczęście. Ich brzydkie, różowe oblicza w jej mniemaniu były równie odrażające jak ich woń. Khallayne strzeliła palcami na małą, uwijającą się śpiesznie niewolnicę w nieforemnej sukni, która wyglądała zupełnie tak, jakby uszyto ją ze szmat do zmywania. Dziewczyna dygnęła szybko, lecz z szacunkiem. - Tak, pani. W czym mogę pomóc? - Potrzebna mi Laie. Dziewczyna obejrzała się przez ramię. - Laie jest... zajęta, pani. Może ja mogę pani usłużyć? - Kolejne dygnięcie, znów szybkie i nerwowe, zdradzające strach wyraźniej niż drzenie w jej głosie. - Zajęta? Co chcesz przez to powiedzieć? Kobieta znów dygnęła, ani razu nie odrywając oczu od czubków uszytych z miękkiej skóry butów Khallayne. - Jest... - Spojrzała przez ramię w poszukiwaniu poparcia i go nie znalazła. - Jest... - Stój w miejscu i powiedz mi, gdzie jest moja niewolnica! - warknęła Khallayne, którą zirytowało dyganie kobiety i nieznośny smród tyłu niemytych niewolników. - Pani, w kuchni jest lord ENEG!

Khallayne syknęła z poirytowania, wreszcie rozumiejąc, co usiłowała przekazać mamrocząca niewolnica. Ogr musiałby być banitą, żeby nie słyszeć o upodobaniach Enega. Khallayne korzystała już wiele razy z usług Laie, która dla niej szpiegowała i udawała się z misjami, jakie jej pani chciała

zachować w tajemnicy. Jak na niewolnicę Laie była bystrzejsza od większości, stanowiła prawdziwą kopalnię wiedzy i umiała trzymać język za zębami. Jeśli ENEG zabije Lale, trzeba będzie znaleźć i wyszkolić inną. - Kiedy ENEG ją zabrał? - Dopiero przed chwilą. Doskonale. Może jeszcze zdąży. Powiadano, że ENEG lubi igrzać ze swymi ofiarami. Khallayne uniosła rąbek spódnicy powyżej butów. - Zabierz mnie do niego. Kobieta wciąż wyraźnie zdenerwowana zabrała Khallayne na tyły kuchni, a następnie wyprowadziła przez niskie drzwi na długi, wąski i ciemny korytarz. Przejście dla dostawców, domyśliła się ogrzyca, wybudowane dla mniejszych, niższych ludzkich niewolników. Bardzo się różniło od szerokich, przestronnych korytarzy w pozostałych częściach zamku. Wchodząc do komnaty, Khallayne musiała schylić głowę. Kiedy przestąpiła próg, powitał ją stęchły, słodkawy zapach potu i metaliczna, zgniła woń ludzkiej krwi. Khallayne ledwo rzuciła okiem na izbę, którą wyposażono według upodobań ENEGA. Najważniejsze, że Laie jeszcze żyła. Kopłała i Wała, wrywając się ogrowi z rąk. Kiedy otwarte drzwi uderzyły z hukiem w ścianę, lord ENEG odwrócił się z gniewnym grymasem na twarzy. Jego szmaragdową skórę pokrywały plamy i wypryski. Była tak ciemna, że prawie czarna, i lśniła od wilgoci i krwi. Kiedy spostrzegł, kim jest intruz, na jego twarzy wypełzł lubieżny uśmiech. - Czyżbyś przyszła dotrzymać mi towarzystwa, pani Khallayne? Ogrzyca wzruszyła ramionami, potrząsając głową. Nie rozumiała, jak on może wytrzymać w tak ciasnym, niskim pomieszczeniu i w tym okropnym smrodzie. Obrzydliwa woń kuchni była niczym wiosenny poranek w porównaniu z zapachem rozkładu skupionym w tak niewielkiej przestrzeni. - Potrzebna mi ta niewolnica. Nieprzychylny grymas znów wrócił na twarz ogra. - Znajdź sobie inną! Laie znów spróbowała uwolnić się z uścisku ENEGA. Khallayne przyglądała mu się przez chwilę, ignorując niewolnicę, a potem rzekła słodko: - Lordzie ENEG, ta niewolnica jest moją własnością. Jeśli będę zmuszona przyuczać następną, bardzo się rozzłoszczę. - Potarła palce, podnosząc dłoń tak, żeby zobaczył tworzącą się wokół czubków jej palców lekką poświatę, co znamionowało początek ognistego zaklęcia.

Z głębi gardła ENEGA wydobył się tak złowieszczy pomruk, że niewolnica, którą przytrzymał, wrzasnęła i wy-szarpnęła rękę z jego uścisku. Potykając się, przebyła kilka kroków dzielących ją od Khallayne i upadła. Khallayne wskazała łkającą kobietę. - Z pewnością jakiś inny niewolnik równie dobrze może zastąpić tę... ENEG zrobił krok w jej stronę. Zdecydowanie, jakie ujrzał na jej twarzy, sprawiło, że zmienił zdanie. Lekceważąco machnął dłonią. - Zabierz ją sobie. Przyślij mi kogoś innego z kuchni. Khallayne oddaliła się niskim korytarzem, nie patrząc, czy kobieta idzie za nią. Nie miała wątpliwości, że niewolnica pragnęła uciec z tej gorącej, smrodliwej komnaty. Będąc już w kuchni, ogrzyca wskazała na pierwszego niewolnika, którego ujrzała, młodego mężczyznę nie wyższego od Lale. - Jesteś potrzebny lordowi ENEGOWI. - Wskazała przejście za sobą i czym prędzej wyszła z kuchni na korytarz. Laie szła za nią chwiejnym krokiem, dygocząc ze strachu, cuchnąc smrodem bawialni ENEGA i przez łyzy wnosząc podziękowania za uratowanie. - Milcz! - rzuciła rozzłoszczona Khallayne, kiedy niewolnica podziękowała jej po raz piąty i usiłowała pocałować ją w rękę. Ogrzyca sięgnęła za pazuchę kamizelki i wyjęła monetę. Podniosła ją tak, by była widoczna w słabym świetle, lecz cofnęła, nim zdołały ją złapać chciwie wyciągnięte palce niewolnicy. - Czy wiesz, w których komnatach spędzi dziś noc Powierniczka Historii? Nie spuszczając wzroku z matowego miedziaka, który Khallayne powoli obracała w palcach, niewolnica skinęła głową. - Nie, pani, ale mogę się dowiedzieć. Wcześniej wysłano tam tacę. Khallayne ścisnęła monetę w dłoni. - Więc się dowiedz. Wpierw jednak idź do swojej izby i umyj się, a potem masz się tu ze urną spotkać. Tylko zwawo, bo oddam cię ENEGOWI! Spięta i rozdrażniona Khallayne z biciem serca czekała na powrót niewolnicy w cieniu głębokiej wnęki drzwiowej. Dziewczyna miała na sobie czyste giezło, a jej krótkie, jasne słomiane włosy były prawie uczesane. - Czcigodna Powierniczka zajmuje

apartament dla gości lorda Tenala, pani. - Dygnęła i wyciągnęła rękę. Khallayne z uśmiechem położyła miedziaka na dłoni niewolnicy bez dotykania jej brudnego, różowego ciała. - Przynieś z kuchni tacę z jakąś potrawą, którą lubi Powierniczka. Kiedy niewolnica usłyszała, że ma wrócić do kuchni, jej osobliwie niebieskie oczy zrobiły się okrągłe ze strachu.

- Jeśli ktoś zapyta, powiedz, że to z polecenia lorda Teragryma. A jeśli lord Eneg znów cię wybierze, powiedz mu, że należysz tylko do mnie - mówiła Khallayne. - Przypomnij mu, że nie mam ochoty przyuczać nowej niewolnicy. Kiedy Laie zniknęła, Khallayne potrząsnęła głową. W czasie potrzebnym, by ogrzyca wyrosła z dziecka na młodą kobietę, ludzcy niewolnicy zmieniają się z niemowląt w bezużytecznych starców. Bez względu jednak na młodość czy starość byli gorsi od dzieci. Powolni, głupi i tępi, i rzadko trafiał się ktoś tak bystry jak Laie. Wsparty o mur Lyrralt czekał na nią przy jednym z bocznych wejść do sali audiencyjnej. - Powierniczka jest w skrzydle Tenalów. Lyrralt skinął głową, przyglądając się niewolnicy na wpół ukrytej za plecami Khallayne. Dając gestem znać Laie, by brała się do roboty, Khallayne i Lyrralt poszli korytarzem, skłaniając po drodze głowy przed napotkanymi gośćmi. - Co przyniosłeś? - spytała. Lyrralt poklepał sakiewkę wiszącą jego paska i jeszcze raz ukłonił się starszej damie, która przyglądała im się podejrzliwie. - Kryształ z kolekcji Jyrbiana. Kiedy znaleźli się już w holu na drugim piętrze, z dala od przechadzających się gości, poszli śladem Laie aż do zakrętu i spostrzegli, że niewolnica wygląda zza rogu przy skrzyżowaniu. - Komnata jest w tym korytarzu - szepnęła Laie, wskazując przed siebie. - Są strażnicy. Khallayne uśmiechnęła się, rozbawiona zarówno widokiem wybałuszonych oczu niewolnicy, jak i tym, że ramię Lyrralta drgnęło pod jej palcami. - Zabijemy ich? - spytał. - Wszystko w porządku. Spodziewałam się tego. - Bardziej zdenerwowana niż to po sobie pokazywała, Khallayne odsunęła się od niego i wzięła głęboki oddech. Zamknęła oczy, skupiła się i podobnie jak w sali audiencyjnej, dźwięki i zapachy z otoczenia straciły wyrazistość i ostrość. Lyrralt westchnął. Khallayne wiedziała, że wyczuł przyływ magicznej mocy, którą zgarniała wokół siebie niczym poły płaszcza. Drżała ze skupienia, szepcząc słowa, które wydarła z pamięci

ludzkiego czarodzieja. Podniosła rękę, przez chwilę zasłaniając oblicze, jakby chciała je ukryć i znów wymówiła słowa, bezgłośnie poruszając wargami. Lyrralt jeszcze raz westchnął. Niewolnica załkała. Khallayne otworzyła oczy. Tam, gdzie stał Lyrralt, teraz nie było prawie niczego prócz niepokojącego zawirowania powietrza, ciepłego, wonnego podmuchu, jakby muśnięcia ducha. - Co zrobiłaś? - Z nicości dobiegł szept zdumionego i zafascynowanego Lyrralta. - Myślę, że nazwałbyś to zaklęciem... rozpraszania uwagi. Jeśli nie uczynimy hałasu, strażnicy nas nie spostrzegą. - Oczy mnie od niego bolą. - Owszem, nie jest to najprzyjemniejsze zaklęcie, ale w ten sposób łatwiej utrzymać złudzenie. - Odwróciwszy się do niewolnicy, szepnęła: - Laie? Oczy skulonej pod ścianą kobiety były tak okrągłe i wytrzeszczone, że o mało co nie wyskoczyły jej z orbit. - Laie? Idź tym korytarzem. Powiedz strażnikom, że lord Tenal polecił przysłać Powiernicze posiłek. Kiedy wpuszczą cię za próg, przytrzymaj drzwi otwarte tak długo, żebyśmy zdążyli wślizgnąć się do środka. Niewolnica z wyraźnym wysiłkiem opanowała strach. - Ale, pani, co będzie, jeśli mnie nie wpuszczą? - Nie zatrzymają cię. Tylko pamiętaj o otworzeniu drzwi. Idź już! - Khallayne zbliżyła się do kobiety i pchnęła ją. Niewolnica omal nie pisnęła z przerażenia, lecz ruszyła śpiesznie, oglądając się przez ramię, jakby ktoś ją gonił. Wszystko potoczyło się tak, jak powiedziała Khallayne. Strażnicy popatrzyli podejrzliwie. Jeden podniósł róg lnianej serwetki, by obejrzeć tacę, ale przepuścił niewolnicę. Laie zatrzymała się na progu ciężkich drewnianych drzwi i przytrzymała je stopą, udając, że balansuje tacą. Wyczuła, jak mijają ją jeden za drugim widmowe podmuchy powietrza. Jeden ze strażników wziął od niej tacę i postawił ją na stole. - Starsza śpi - szepnął. - Zostaw to i idź sobie. Niewolnica z ulgą kiwnęła głową i czym prędzej wyszła. Takiego przepychu, z jakim urządzona była

komnata Powierniczki, Khallayne nie widziała od chwili przybycia do Takaru. Jedyne światło rzucały dwie ledwo tłące się pochodnie, które dawały więcej drżących cieni niż blasku. Nawet w zadymionym półmroku Khallayne dostrzegła obfitość wyrzeźbionych przez niewolników mebli i błyszczące lustra na ścianach, które obwieszono kosztownymi

gobelinami. Khallayne była pewna, że gdyby mogła przyjrzeć się w świetle słonecznym grubemu dywanowi, po którym stąpała, stwierdziłaby, że jest elfiej roboty. Szepnęła rozkaz, który rozproszył złudzenie i Lyrralt stał się widoczny. -Tak... - sapnęła, nachylając się ku Lyrraltowi w niemal całkowitej ciemności i przyciskając usta do jego ucha - ...tak sama kiedyś będę mieszkała. - Może oboje będziemy. - Przez chwilę jego dłonie zawisły blisko niej. Powierniczka spała na niskiej kozetce przy kominku. Khallayne nie widziała jeszcze tak starego ogra; większość przyjmowała godną śmierć na długo, zanim tak bardzo posunęła się w latach. Przyglądała się pomarszczonej i pobrużdżonej twarzy staruszki, a tymczasem Lyrralt rozgrzebał gasnący żar w kominku i rozpałił niewielki ogień. Z sakiewki wyjął przejrzystą, kryształową kulę i dwa kryształy z fasetami. Jednym był ametyst o dwóch ostrych końcach, a drugim doskonały szafir, ciemnoniebieski jak jego skóra. - Nie byłem pewny, który będzie najlepszy - szepnął, podsuwając je Khallayne do obejrzenia. Wybrała kryształową kulę, najpospolitszy z trzech przedmiotów. Lyrralt miał ochotę się cofnąć, lecz Khallayne chwyciła go za nadgarstek i przyciągnęła do staruszki. - Uklęknij tutaj. Lyrralt płonął z ciekawości, by spytać ją, co teraz robi, w jaki sposób i gdzie się tego nauczyła. Uważnie przyglądał się, jak kładzie ręce na piersi Powierniczki i szepcze niezrozumiałe słowa. Khallayne położyła kulę na ustach Powierniczki. Przez chwilę wydawało się, że kryształ się stoczy, lecz potem znieruchomiał, wznosił się w powietrze i zawisł na wysokości nie więcej niż dwóch palców nad wargami staruszki, jakby unoszony przez jej delikatny oddech. Lyrralt gwizdnął cicho z podziwu. Khallayne stanęła u wezłowania łóżka i nachyliła się nad Powierniczką. Wbiła w Lyrralta przenikliwy, skupiony wzrok. - Zamierzam oprócz swojej energii użyć także twojej - oznajmiła. - Nie zrobię ci krzywdy, ale możesz czuć się... zmęczony. Kiedy już zacznę, nie wydawaj najmniejszego głosu, jeśli nie chcesz go bezpowrotnie stracić. Lyrralt pokiwał głową. Khallayne wzięła głowę Powierniczki w dłonie. Otworzyła szeroko oczy i skupiła się. Prądy mocy przepływały przez komnatę i delikatnie ją ciągnęły.

Wiele razy używała tego zaklęcia, jednakże nigdy jeszcze na kimś z jej własnego gatunku. Czując pod palcami pergaminowe, wyschnięte ciało staruszki, żałowała, że nie zaryzykowała wcześniej rzucenia tego czaru choćby raz na ogra. Koncentrując się i starając odzyskać pewność, w której nagle się zachwiała, wyszeptała słowa zaklęcia i wysłała impuls. Powierniczka jęknęła cicho i poruszyła głowę, jakby wyczuła muśnięcie czaru Khallayne, a potem znieruchomiła. Po chwili między dłońmi czekającej z zapartym tchem Khallayne zjawilo się słabe, pulsujące światełko. Ostrożnie, by nie dać się ogarnąć uniesieniu, powoli i delikatnie uniosła ręce, czując na dłoniach ciężar i dreszcz magii, który przeniknął jej palce i ramiona. Potem Khallayne lekko złożyła dłonie. Promieniejące światło zamigotało, błysnęło i zaczęło spływać do kryształowej kuli. Lyrralt miał wrażenie, że głowę Powierniczki nagle wypełnił blask, który tryskał z jej ust do kryształu zawieszzonego powyżej. Pomieszczenie przesycone było energią. W powietrzu unosił się zapach jak przed burzą. W miarę jak kryształowa kula jaśniała wciąż większym blaskiem i napelniała się złotą tęczą światła, Powierniczka coraz bardziej gasła. Kiedy światło opuściło Powierniczkę i zostało uwięzione w pulsującej kuli, Khallayne jeszcze przez dłuższą chwilę stała nad ciałem staruszki. Potem zabrała kryształ, który wisiał w powietrzu nad jej ustami. Nagłe uwolnienie było wstrząsem dla nerwów Lyrralta. Kiedy wyzwolił się spod władzy czaru, poczuł straszną chęć mówienia. Przytrzymując się mebli, Khallayne odeszła od Powierniczki. Choć drżała od ciężaru brzemienia, trzymała pulsującą

kulę wysoko w górze. - Pieśń Historii - wyszeptła zmęczonym głosem do Lyrralta, który wstał i podszedł do niej. - Udało się. Mężczyzna delikatnie wziął od niej kulę i ostrożnie obrócił ją w dłoni, przysuwając kryształ do ognia, by popatrzeć na przenikające przezeń światło. - Jakie to cudowne! Khallayne osunęła się na stołek. - Tak, cudowne. To dziedzictwo, które nam skradziono. To, które zabrali nam chciwi wielmożowie. Khallayne wyjrzała przez ogromne okno w pokoju Jyrbiana, leniwie tocząc wzrokiem po migoczących w dole światelkach miasta, które iskrzyły się i rozpraszały w ciętym ukośnie szkłe szyby. Jak nudno i smutno, pomyślała, musi być tym, którzy wyglądają z tych domów, z zazdrością spoglądając na migoczące światła zaniku na górze.

Jednak ona była na swoim miejscu. Przez chwilę przyglądała się tuzinom miniaturowych odbić swej twarzy w okiennych szybkach. Niezliczone oblicza lustrzanych Khallayne posyłały jej w odpowiedzi zmęczony uśmiech. - Czy powiesz mi, jak to zrobiłaś? Lyrralt siedział na niskim stołku przed kominkiem. Trzymał kulę w dłoniach, patrząc na tańczące w jej wnętrzu światło. - Powiesz mi, jak to zrobiłaś? - powtórzył. - To czary - odparła beztróska, prawie od niechcenia Khallayne. Odwrócił się i po jej szerokim uśmiechu zorientował się, że stroi sobie z niego żarty. Zbliżyła się i przyklękła na podłodze, wyjmując mu kulę z rąk. - Wiem, że to czary. Gdzie się tego nauczyłaś? Kobieta kilkakrotnie obróciła kryształ w palcach, a potem przetarła go brzegiem swej kamizeli. - Od ludzkich czarodziejów. - Co takiego? Khallayne wyzywająco uniosła podbródek. - Odebrałam tę wiedzę ludzkim czarodziejom, którzy byli niewolnikami w domu mego wuja. Kiedy nie usłyszała słowa potępienia, ciągnęła dalej: - Zawsze szybciej uczyłam się czarów niż moi kuzyni. Kiedy oni wciąż jeszcze bawili się patykami i suchymi liśćmi, ja potrafiłam już zapalić ogień, zagotować wodę i unosić przedmioty w powietrze. Kiedy byłam gotowa do dalszej nauki, nauczyciele powiedzieli mi, że nauczyłam się już tyle, ile wolno poznać dziecku mego stanu. - Zacisnęła dłonie w pięści. Zapomniana kula leżała na jej podołku. - Nie podobał mi się ten zakaz. Nie rozumiałam, czemu ktoś miałby mi czegoś zabraniać. W pobliskim majątku była pewna niewolnica. Wiedziała, że jest czarodziejką, tamtejszy możnowładca był bowiem przyjacielem mego wuja. Przechwalał się, że więzi tę kobietę, przetrzymując jej córkę jako zakładniczkę. Zawarłam z nią układ. Zgodziłam się uwolnić jej córkę w zamian za wiedzę. Zakłęcie, którego użyłam, by to skraść - wskazała kulę - było jedną z rzeczy, jakich się od niej nauczyłam. Przez wiele lat chłonełam magiczną wiedzę ludzkich magów. - Uwolniłaś niewolnicę! - sapał Lyrralt, bardziej wstrząśnięty tym wyznaniem niż czymkolwiek innym. - Oczywiście, że nie - odparła chłodno, wstając, i podchodząc z kulą do okna. - Kiedy już poznałam zakłęcie, nie musiałam niczego robić. Na parapecie pod oknem z ciętego szkła stała uporządkowana kolekcja kryształów, kuli kamyków, z których każdy spoczywał w mosiężnym stojaku lub zwisał na jedwabnej

nici. Khallayne wzięła spory kryształ, umieściła go w pustym stojaku, a na jego miejscu położyła Pieśń Historii. - Co o tym sądzisz? Na tle zbioru barwnych kamieni na parapecie Jyrbiana kula była brzydka i pospolita. Lyrralt objął Khallayne w tali. - Nigdy się nie domyśli, że ona tu jest. Chyba, że zostaniemy wykryci i będziemy mieli powód, by to ujawnić.

Rozdział 4 - Przyjaciel zdrady Siedzący na podwyższeniu lord Teragrym gestem polecił Jyrbianowi zasiąść niżej przed sobą. Nie uchodziło, by młodszy ogr górował nad nim wzrostem. Jowialny i zuchwały Jyrbian ucichł w obecności Teragryma, okazując mu czujny respekt. Teragrym, który dzięki swej ostrożności zasiadał w Radzie Panujących dłużej niż ktokolwiek, zauważył, że Jyrbian wytrzymał jego wzrok. Jyrbian siadł na piętach, kłaniając się przed i po usadowieniu się na posadzce. Niedbałym ruchem nadgarstka rozłożył w wachlarz poły wierzchniej szaty, która przykrywała prostą tunikę i spodnie. Gest ten był tak delikatny i wdzięczny, a jednocześnie naturalny, że wydawał się zaskakujący u kogoś tak masywnego jak Jyrbian. Sala audiencyjna, do której go

wpuszczono, nie była duża, lecz urządzona z przepychem. Kamienną posadzkę ocieplały grube dywany. Zza malowanych parawanów, gobelinów i ciężkich kotar prawie nie było widać kamiennych murów. Sprzęty były nieliczne, a na umeblowanie składały się jedynie stołek dla Teragryma, niski, bogato rzeźbiony stół z boku i biurko z tyłu podwyższenia. Jyrbian ukradkiem rzucił okiem dookoła, zauważając luksus i dyskretną elegancję. Bez trudu widział siebie w tak przytulnym otoczeniu. - Moja córka wspomniała, że wiedząc o moim zainteresowaniu wydarzeniami w Kal-Theraxian, zgłosiłaś swą chęć udania się tam i złożenia mi raportu. Jyrbian uśmiechnął się, a potem przybrał inną minę. - Tak, czcigodny panie. Byłbym uradowany i zaszczycony, mogąc ci służyć. - A czego spodziewasz się w zamian za tę przysługę? Tętno mu gwałtownie przyspieszyło, a do ust cisnęła się odpowiedź: władzy, sławy, bogactwa i stałego stanowiska, jednak nie wyraził tej myśli słowami. - Nie proszę o nic, czcigodny panie. Zaszczycem jest dla mnie po prostu ci służyć. Teragrym uśmiechnął się. Młodzieniec spuścił wzrok na wzorzysty kobierzec, udając pokorę i szacunek, lecz Teragrym wiedział o chciwości tkwiącej w jego duszy i zazdrości w sercu. On sam też był drugim synem, bystrzejszym, śmielszym i bardziej wartościowym od swego pierwotnego brata. - Pałasz żądzą, młody Jyrbianie. Nie jest tak dobrze skryta, jak ci się wydaje - dodał, gdy Jyrbian gwałtownie podniósł głowę. Błysk srebrnych oczu w jego ciemnej twarzy nieznacznie sugerował złe zamiary. - Podróż może okazać się niebezpieczna.

Teragrym zamierzał dodać: - Bardzo niebezpieczna - lecz Jyrbian przerwał: - Wiem o napaściach na górskich szlakach. - Ten raport był przeznaczony wyłącznie dla Rady Panujących. Skąd o tym wiesz? Jyrbian tylko wzruszył ramionami. - Zawsze krążą plotki. Młodzieniec urósł odrobinę w oczach Teragryma. - W porządku, więc wiesz o atakach nasilających się w naszych górach. Czy w związku z tym zabierzesz ze sobą oddział gwardii? - Nie wzbudzę zaufania gubernatora, wjeżdżając do Kal-Theraxian w otoczeniu straży. Poza tym - rzekł wzgardliwie Jyrbian - nie jestem gorzej wyszkolony od gwardzisty. Pojadę sam. Albo może z niewielką drużyną. Znam kogoś, kto przyjaźni się z córką gubernatora. Może moglibyśmy wstąpić do niego z wizytą. - Pochwalam ten pomysł. - Teragrym powoli skinął głową. - Jest chyba jednak coś, o co chciałbyś poprosić? Taką przysługę należy nagrodzić. Jyrbian pokręcił głową. Starannie przemyślał wszystko przed przyjściem. Jeśli poprosi o coś konkretnego, tyle tylko dostanie. Jeśli nie sprecyzuje swych życzeń, nie będzie granic temu, co może otrzymać, gdyby jego misja odniosła powodzenie. - Jeśli uznasz, czcigodny panie, że zasłużyłem na nagrodę, będę tym niewątpliwie zaszczycony. Jednakże będę równie zaszczycony, mogąc po prostu się przysłużyć. Teragrym znów się uśmiechnął, jakby potrafił odgadnąć kalkulacje Jyrbiana. - Zgoda. Przyjmuję twoją propozycję wyświadczenia przysługi. I oczekuję, że doniesiesz o wszystkim mnie - i tylko mnie. Jyrbian sztywno skinął głową. - Muszę wiedzieć... - Teragrym przerwał i zamyślił się. - Muszę wiedzieć o wszystkim. Miej oczy otwarte. Chcę wiedzieć, co Igraine robi, żeby zwiększyć produkcję swoich kopalni. Muszę dowiedzieć się, czy nie mówi czegoś, co można by uznać za zdradę. - Zdradę? - Jyrbian nachylił się bliżej, niecierpliwie oczekując na następne słowa. - Doszły nas pewne pogłoski. Ale czy to przesada, czy prawda... - Teragrym wzruszył ramionami. - Granica pomiędzy działaniem dla dobra ogółu a działaniem dla własnego dobra jest czasami bardzo cienka. Czasami to jedno i to samo. Muszę mieć silne podstawy, by samemu o tym zdecydować. Muszę wiedzieć, o czym się mówi, a o czym nie. Teragrym odczekał chwilę, uważnie mierząc wzrokiem Jyrbiana, po czym odprawił młodzieńca. Jyrbian był tak podniecony, że ledwo mógł nad sobą zapanować do czasu, gdyzejdzie Teragrymowi z oczu. Nagroda za takie zadanie powinna być rzeczywiście wspaniała! Kiedy

wychodził na korytarz, uśmiechał się tak szeroko, że czekająca na wejście ogrzyca zatrzymała się na progu z zaskoczenia. Odprowadzała go wzrokiem, póki nie skręcił za róg, a nawet zawahała się

chwilę. - Kaede? Głos Teragryma wyrwał ją gwałtownie z zamyślenia i sprowadził na ziemię. - Czemu zawdzięczam przyjemność, jaką jest ta wizyta? Kaede ukloniła się i przyklękła, wiedząc, jak Teragrym nie cierpi, gdy ktoś stoi nad nim. - Czcigodny panie, wybacz mi te nie zapowiedziane odwiedziny, lecz przybywam, by prosić o przysługę. - Jakiego rodzaju? Kaede zacisnęła dłonie leżące na podolku, by ukryć swe podniecenie. - Przyszłam prosić, abyś zezwolił mi naprawić krzywdę, jaką wyrządzono mojej rodzinie. Lyrralt zatrzymał się na progu swej kwatery. Kilкома słowami i skinieniem dłoni zapalił świece. Jego komnaty były większe niż Jyrbiana, lecz umieszczone po drugiej stronie korytarza, a więc pozbawione okien. Przez cały poranek spacerował po zimnych korytarzach zamkowych, przysłuchując się rozmowom i przyłączając do grupiek ogrów, by witać nowiny okrzykami wyrażającymi żal i zmartwienie. Powierniczki nie można było obudzić. Leżała jak martwa, lecz oddychała i nikt nie był w stanie przywrócić jej przytomności. Lyrralt wybrał się do pokoi Khallayne, lecz w końcu trafił do siebie. Ogrzyca, z którą spędził noc po tym, jak Khallayne wymówiła się zmęczeniem, znikła z komnaty, nie zostawiając po sobie nawet śladu zapachu, a co dopiero wspomnienia. Nie posiadał gobelinów, które rozjaśniłyby posępne pomieszczenie. Nie miał na podłodze dywanów tłumiących chłód, jakim tchnęło stare zamczysko. Wolał takie wnętrza. Preferował surowe piękno szarych kamiennych ścian i skąpe oświetlenie, a swoje komnaty wypełniał przedmiotami, które były piękne i delikatne, a nie kosztowne. Na pokrytym skomplikowaną snycerką stole pod ścianą stała marmurowa misa z wodą. Uniósł ją ostrożnie, wypłukał usta i splunął do identycznej, mniejszej miski. Zwilżył uszy i powieki. Drżąc z chłodu, zsunął długą szatę, a zamiast niej przywdział pozbawioną rękawów tunikę modlitewną i zasiadł przed ogniem, by pomodlić się, poprosić o wskazówki i dowiedzieć się, co Hiddukel, bóg bogactwa i gromadzenia, sądzi o jego zbliżającym się szczęściu.

Khallayne śniła o magii, o zaklęciach tak potężnych, że jej umysł ledwo mógł je pomieścić. - Khallayne, obudź się! Obudź się! Głos dotarł do niej i wyrwał ze snu w tej samej chwili, co szarpiąca ją za ramię ręka. - Zbudź się! Otworzyła oczy i ocknęła się w ciepłym, złotym słońcu jesiennego poranka. Nad nią nachylała się sylwetka Lyrralta. Jego twarz była niewidoczna w cieniu. - Obudź się - powtórzył. Zaspana, przesłoniła oczy dłonią. Która była godzina? Czyżby spędził w jej komnatach całą noc? Potem przypomniała sobie, że było inaczej i dlaczego tak się stało. Chciał zostać, jednakże wyperswadowała mu to, bowiem miała zamiar położyć kres ich poufałości. - Zbudziłaś się? Pytanie wreszcie dotarło do świadomości kobiety, która usiadła, podciągając puchową kołdrę tak, by zasłonić piersi. Widoczna teraz twarz Lyrralta promieniowała niezadowolaniem, a spod zmarszczonych brwi spoglądały zwięzione i ponure oczy. - Co się stało? Coś złego? - Dziś rano znaleziono Powierniczkę. W całym zamku o tym wiadomo. Serce jej załomotało. Walczyła z ogarniającym ją strachem, przypominając sobie o krokach, jakie podjęła dla własnej obrony. Przez głowę szybko przebiegła jej myśl, że musi wyprosić Lyrralta ze swego pokoju. Niech się oddali najdalej i najprędzej, jak to możliwe. Ostatnią rzeczą, jaką zrobiła przed wymknięciem się z komnaty Powierniczki wczorajszej nocy, było rzucenie zaklęcia maskującego dla zatarcia swej obecności. Jednak esencję Lyrralta, magiczną woń, którą rzeczywiście dobry mag potrafił wykryć, gdyby znał sposób, pozostawiła. Na wszelki wypadek. - Co z tego? - Nie mogą jej dobudzić. Zupełnie jakby była martwa, choć wciąż oddycha. - Czy podejrzewają czary? - Jeszcze nie. Wszyscy zdają się sądzić, że zachorowała albo po prostu jest tak sędziwa. Domyślą się jednak, prawda? Khallayne rozparła się na poduszkach, a kołdra zsunęła jej się z ramion, odsłaniając prześliczną skórę. - Co chcesz przez to powiedzieć?

Lyrralt zacisnął pięści. Miał wielką ochotę zwlec ją z miękkiego łóżka i walnąć jej głową o ścianę! - Ty coś zrobiłaś. Coś, żeby zaprowadzić ich do mnie! - Ależ skądże - zaprotestowała

natychmiast. - Skąd ci coś podobnego przyszło do głowy? Mężczyzna podszedł do kominka i wyszeptał zaklęcie. Z popiołu strzeliły małe płomyki i wkrótce zapłonął niewielki, trzaskający ogień. Runy na jego barku i te nowe, niżej na ramieniu, swędziały. - Zostałem ostrzeżony przed zdradą. Khallayne sięgnęła po suknię i zarzuciła ją na siebie, wychodząc z łóżka. Jedwabne kimono było w dotyku chłodne, miękkie i bardzo miłe dla oka. Mimo gniewu Lyrralt nie mógł oderwać od niej wzroku, co tylko jeszcze bardziej go rozżłościło. Kobieta przeciągnęła się, wznosząc ręce ku sufitowi. - Nie bądź śmieszny - rzekła leniwie. - Jesteśmy całkiem bezpieczni. Powierniczka się nie ocknie. Nikt się nie dowie, co zrobiliśmy, z wyjątkiem Teragrzyma. A on nigdy tego nie wyjawia. - Wzruszyła ramionami, patrząc, jak śledzi oczami ruch jej piersi pod luźno zawiązaną szatą. - Z wszystkimi innymi było tak samo. Kiedy zabrałam im to, co chciałam, zapadali w sen. A potem umierali. Otworzyła drzwi garderoby i wybrała jedną z wiszących wewnątrz tunik. - Teraz musimy tylko czekać. Kiedy Powierniczka umrze, będziemy mogli dobić targu w sprawie Historii. Lyrralt w jednej chwili znalazł się po drugiej stronie pokoju i ścisnął jej ramię tak mocno, że poczuł przez ciało twardą kość. - To piękna mowa, ale nie ufam ci. Hiddukel nie rzuca słów na wiatr! Strzeż się, bo jeśli zostanę oskarżony o tę zbrodnię, nie pójdę do lochów sam! A ty masz więcej do stracenia. Mimo bólu Khallayne nie skrzywiła się. Mógłby jej oderwać rękę, a mimo to nie dałaby mu satysfakcji i nie okazała cierpienia. - Ty natomiast jesteś głupcem, jeśli sądzisz, że naraziłabym nas na ryzyko, mówiąc o tym komukolwiek. Mamy za dużo do stracenia. Za dużo do zyskania. Sam się strzeż, nie pozwolę sobie bezkarnie grozić! Umilkła i rzuciła wściekłym okiem na jego rękę. Chwilę później przeszył ją ostry ból. Lyrralt gwałtownie cofnął dłoń i odsunął się. Khallayne przysunęła się tak blisko, że czuł jej gorący oddech na twarzy. - Nigdy więcej mnie tak nie dotykaj! - Przepraszam bardzo. - Pełen mimowolnego podziwu dla niej uśmiechnął się szeroko i potrząsnął dłonią, by pozbyć się pieczenia. Skłonił się lekko z drwiną i wychodząc z jej sypialni, z hukiem trzasnął drzwiami.

Poranne słońce wyłoniło się już zza zamkowych murów i kończono właśnie objuczać konie, gdy Khallayne zeszła na dziedziniec. Jyrbian przerwał pracę, by popatrzeć, jak kobieta schodzi po schodach, a dokończenie sprawdzania siodeł i juków zostawił Lyrraltowi. - Gotowi? - spytała Khallayne, przerzucając sakwy przez zad swego szarego wałacha. Lyrralt, który przykucnął, by obejrzyć kopyta swego koma, wstał tak szybko, że zwierzę spłoszyło się i skoczyło w bok. Utkwił wzrok w Khallayne, marszcząc czoło z zaskoczenia i gniewu. - Jestem gotowy od wschodu słońca - powiedział Jyrbian. - Wyruszymy, gdy tylko wszyscy zejdą. Nie odrywając oczu od Lyrralta, kobieta spytała: - Wszyscy? - Znasz chyba Briah, prawda? Jedzie z nami, tak samo jej siostra Nylora. Również Tenaj i te jej dwie kuzynki. Nie mogę zapamiętać ich imion. Jakby na zawołanie po schodach zbiegła reszta grupy, której wesoły śmiech i rozmowy wlatywały pod poranne niebo. Tworzyli wielobarwną gromadkę od karnacji niemal tak bladej, jak u Khallayne, do koloru ciemnej morskiej zieleni. Widać było również wszystkie odcienie srebrnych włosów, od barwy błyszczącej rtęci u Briah, do delikatnej cyny kuzynek. Kiedy Jyrbian zajęty był przydzielaniem każdemu konia, Lyrralt ukradkiem zbliżył się do Khallayne. - A ty kiedy postanowiłeś przyłączyć się do wyprawy? - spytała chłodnym, pełnym dezaprobaty tonem. - Kiedy przyszło mi na myśl, że przez jakiś czas bezpieczniejszy będę z dala od zamku. Khallayne chwyciła cugle swego konia. - Nie ma takiego miejsca, w którym byłbyś bezpieczny, gdybym rzeczywiście chciała cię obciążyć! - syknęła. - Wzięłam cię do pomocy, bo sądziłam, że łączą nas wspólne zainteresowania. Wspólny cel. Lyrralt uśmiechnął się do pozostałych, lecz ukradkiem rzekł do niej: - Zaniepokoiliem się, kiedy Powierniczka nie umarła w ciągu dnia czy dwóch, jak mówiłaś. Teraz widzę, że opuszczasz miasto z moim bratem. - Wyciągnął rękę, by pomóc jej wsiąść na konia, myśląc o tym, że o wiele bardziej

wolałby przerzucić ją przez wierzchowca i patrzeć, jak jej mózg rozpryskuje się na bruku dziedzińca.

Khallayne odepchnęła podaną dłoń i dosiadła konia bez niczyjej pomocy. - Od dnia przyjęcia nosiłam się z zamiarem odwiedzenia Kal-Theraxian. Dzięki Jyrbianowi dojadę wygodnie na miejsce. - Jedziemy, czy zamierzacie tak rozmawiać przez cały dzień? - przerwał Jyrbian, podjeżdżając do nich na swym olbrzymim ogierze. - W takim tempie do zmierzchu ledwie miniemy bramy miasta. - Zawrócił konia i ruszył w stronę południowej bramy. Rzuciwszy szybko okiem na Khallayne, Lyrralt dosiadł konia. Zostając w tyle za pozostałymi, podjechał do niej. Po chwili kobieta westchnęła. - Lyrralcie, Powierniczka umrze. Nikt nie dowie się, że skradliśmy Historię. A nawet jeśli prawda wyjdzie na jaw, winą zostanie obciążony Jyrbian. - Zmierzyła go spojrzeniem nieruchomych oczu, czarnych jak bezgwiezdna noc, a jednak jasnych jak słońce. Skośnych, obcych oczu. Bezdennych, bezlitosnych. - Sądziłam, że usunięcie go z drogi ucieszy cię. Jestem przekonana, że nie zawahałby się zrobić tego samego tobie. Kąciki jego ust zadrżały. - Będę na ciebie uważał - powiedział spokojnie, a potem ruszył cwałem przed siebie. Zamek Takar wznosił się wysoko na zboczu góry nad półksiężycem miasta, które otaczało jej podstawę oraz położoną dalej rozległą dolinę, gdzie znajdowały się posiadłości licznych rodów panujących. Przed bitwą pod Denharben Takar było jednym z czterech miast, gdzie mieszkał król. Podróżował między Takarem, Thoradem, Bloten i Persopholus, dzieląc równo czas i uwagę między każde z nich i przez pewien czas po tym, jak Rada Panujących okrzepła i przejęła władzę w imieniu króla, jej członkowie również zachowali zwyczaj podróżowania od miasta do miasta. Jednakże kluczem do ich władzy było przemieszczenie wrogów do odległych rejonów, gdzie leżały gorsze majątki, podczas gdy prawo własności do najlepszych prowincji i posiadłości przeszło w ręce ich najwierniejszych zwolenników. Od tej pory Takar było główną siedzibą władzy. Wspaniały widok na dolinę i fioletowe góry w oddali powoli zniknął, w miarę jak podróżni zjechali z góry serią zygzaków i zeszli do właściwego miasta. Przejeżdżając pod wspaniałym kamiennym łukiem wysadzonym spiżowymi płytami, które przedstawiały starożytne bitwy, znaleźli się w tej części miasta, którą pospólstwo po cichu zwało „dzielnicą zakładników”. Nosiła taką nazwę, kolejnym bowiem krokiem, jaki uczyniła rada w celu umocnienia władzy było zażądanie od bogatych i wpływowych ogrów, by ich rodziny przez cały rok mieszkały w miejskich posiadłościach. Kamienne domy z

ogrodami, które otaczały wysokie mury z glinianych cegieł, były niemal równie wspaniałe jak prywatne kwatery w zamku, a z pewnością obszerniejsze. Lyrralt pojechał naprzód, dołączając do Jyrbiana na czele kawalkady. Do czasu, gdy przejeżdżali przez ruchliwe, głośnie miasto, w którym wrzał codzienny handel, jego mieszkańcy byli już dawno na nogach. Podstawą bogactwa Takaru był handel bogactwami sąsiadujących obszarów, rudą i klejnotami z kopalni, produktami spożywczymi z bogatych gospodarstw w dolinach oraz niewolnikami z odległych równin. W pobliżu południowej części miejskich murów stało ogromne koloseum, gdzie odbywały się igrzyska i bitwy niewolników, które przyciągały ogrów z odległych krain. Rzucano się w oczy z oddali, przesłaniało słońce niczym potężna misa rzucona między domostwa. Drużyna wzdrygnęła się, przejeżdżając przez jej olbrzymi cień. Potem minęli południową bramę i stanęli w jasnym, złotym słońcu. Przez ponad dwie godziny jechali na południe wzdłuż grani nad doliną Takaru, a następnie skręcili na wschód i zaczęli się wspinać po stromych zboczach. Tak dotarli do lasu i wyższej grani, gdzie zamierzali rozbić obóz na noc. Ich wesoła paplanina uciszała świergot ptaków i płoszyła drobne zwierzęta, które znikwały w gęstym leśnym poszyciu. R'ksis wychodziła powoli, na chwilę wyskakując na słońce, a następnie znów zanurzając się w ciemności. Za każdym razem przebywała tam chwilę krócej. Wreszcie została na górze, trzymając się zacienionej strony drzew, ale niedaleko od wejścia do jaskini. Żaden disir nie chciał opuszczać chłodnego, bezpiecznego mroku swego podziemnego domu. Świat na zewnątrz

składał się z gęstego lasu. Przez złote liście nad jej głową przesączało się jasne światło. Pod jej stopami ścieliły się niskie krzewinki i gruby dywan butwiejących liści. Głazy, które zasłaniały wejście do podziemnej pieczary, porastała warstewka szarozielonej pleśni. R'ksis zdrapała jej trochę zakrzywionym pazurem i wsunęła do pyska. Wypluła natychmiast. W porównaniu z bogatym, pleśniowym smakiem podobnego pożywienia pod ziemią to było prawie bez smaku. Było popsute od słońca. Tak czy inaczej, nie dla niego ona i jej towarzysze odważyli się wyjść na powierzchnię. R'ksis węszyła, badając powietrze. Krew. Pot. Cały las przesycił unoszący się w powietrzu zapach koni i ogrów. - To Prastarzy - prawie zasyczała, gestem wzywając do siebie samców.

Ci stali w środku, w przyjemnej ciemności. Kiedy znów na nich skinęła, zasyczelili i zastukali pazurami o kamienne ściany. - Jasne światło. Za jasne. Razi oczy. Słońce za ciepłe - uskarżali się. Zakłęła i zostawiła ich w spokoju, wiedząc, że sami pójdą za nią. W miarę zagłębiania się w las woń Prastarych słabła. R'ksis zmieniła kierunek. Do czasu gdy znów pochwyciła trop, dziesięciu samców dogoniło ją. Mieli czas, by wytarzać się w błocie, kamuflując nim swe bladozielone ciała. Skinęła głową na znak aprobaty, po czym sama szybko obrzuciła się garścią liści i ziemi. - Jedzenie - zaklekotał i zasyczał G'hes, najstarszy samiec, węsząc przy tym dookoła. Teraz sprawiał wrażenie bardziej pewnego siebie. - Prastarzy! - Nachyliła się, podniosła duży kamień i zgmiotła go w łapie, tak jak zmiążdży Prastarych. Ogrowie byli odwiecznymi wrogami, złodziejami, którzy żyli na powierzchni, a mimo to zmuszali swych niewolników do rycia dziur w górach - nie po to, by budować domy, lecz by okradać ziemię. - Prastarzy dobrze smakują? - spytał ochoczo najmłodszy członek drużyny. S'rk jako jedyny z nich nie był jeszcze nigdy na powierzchni. Stał zupełnie wyprostowany z głową wyżej niż inni, a napięte mięśnie krępego ciała zdradzały podniecenie i strach. Pozostali zasyczelili z zadowolenia. Ogrowie byli jeszcze smaczniejsi od tych, którzy ryli tunele, od niewolników ogrów. Znalezienie źródła upajającej woni krwi zajęło im prawie godzinę. Po drodze nie zauważali mijanych drzew, głazów wypchniętych na powierzchnię ziemi i bujnych kęp poszycia leśnego w miejscach, gdzie słońce przeświecało przez korony drzew. Wszystko to oczom przyzwyczajonym do gęstego mroku podziemi i piękna ociekających wilgocią jaskiń wydawało się pustym terenem. Gdy zapach Prastarych stał się nieznośnie silny, G'hes, najstarszy samiec, zagulgotał: - Plemię będzie zadowolone. - Wpierw ich złapmy - ostrzegła go R'ksis. Jyrbian zataczał koniem kręgi od początku kawalkady, gdzie jechał posępny i milczący Lyrralt, do tak samo zachowującej się Khallayne na tyłach. Podjechał do niej po raz trzeci w ciągu ostatnich kilku godzin i zadał to samo pytanie, co uprzednio: - Skąd ta ponura mina? Czyż to nie piękny dzień na przejażdżkę?

Milczała, więc znów pocwałował naprzód. Wtem Tenaj zawołała: - Cisza! Usłuchali jej natychmiast, Tenaj bowiem była w grupie łowczynią, która spędzała wiele godzin na leśnych ścieżkach. Jyrbian zczekał, aż Tenaj dołączy do niego, gestem wysyłając resztę dalej. - Co się stało? - wyszeptał bezgłośnie. Tenaj obejrzała się na ścieżkę, a potem rzuciła okiem na las. Z wyjątkiem niezwyklej ciszy, którą można było przypisać ich przejazdowi, wszystko wydawało się normalne. Pominąwszy wrażenie, że ktoś lub coś może nie tyle ich obserwuje, co wyczekuje. Tenaj potrząsnęła głową. - Coś - rzekła cicho. - Nie wiem. - Potarła kark. - Może powinnam cofnąć się trochę i sprawdzić sytuację. - Tylko nie za daleko, dobrze? Na tej ścieżce miało miejsce kilka napaści na grupy myśliwych. Moim zdaniem nie powinniśmy się zbytnio rozpraszać w tej okolicy. Kiwając głową na zgodę, Tenaj zawróciła swego ogiera. W drodze do Takaru nie spuszczała ręki z miecza. Las był zbyt cichy, całkiem wymarły, choć grupa przejeżdżała tędy jeszcze kilka chwil temu. Wprawilo ją to w niepokój i stało się przyczyną płochliwości jej i tak już narowistego konia. Wyjechała zza zakrętu i ujrzała przyczynę. Cztery disiry na drodze! Mrużyły blade, wodniste ślepia. Do ich oślizgłych ciał poprzylepiały się liście i ziemia. Pewno dalej, w cieniu, jest ich więcej,

pomyślała. Przez chwilę potwory łypały na nią oczami, które pałały nienawiścią i głodem. Potem z lasu dobiegł jakiś dźwięk i krępe, zwarte ciała ruszyły ławą. Tenaj zawróciła i ruszyła galopem. - Disiry! - zawołała, gdy tylko ujrzała pozostałych. - Disiry! Przynajmniej pięć! Khallayne była z tyłu. Kiedy usłyszała krzyk Tenaj, zwolniła i odwróciła się do połowy w siodle. Coś ją uderzyło w ramię od lewej strony. Coś masywnego, śliskiego i dużego. Zabrakło jej tchu w piersi. Poczowała, jak drętwieje jej bark i ramię. Krzyknęła na widok ziemi, która zbliżała się do jej twarzy z zaskakującą prędkością. Upadła na twarde, zbity grunt i wtedy zobaczyła jakąś wilgotną, masywną i pazurzastą istotę o krępych ciele, która poruszała się niesamowicie szybko. Końskie kopyta zatańczyły jej przed oczami. Ból przeszył udo, jakby ktoś rozplatał jej ciało nożem. Rozległy się wrzaski, które dochodziły z góry i wydobywały się z jej własnego gardła. Strach, ostrzeżenie, ból! Jakiś koń zakwiczął z jeszcze większego przerażenia. Oślizgły,

cuchnący octem i zgnilizną stwór przygniótł ją i wrywał kawały ciała. Wszędzie, gdzie jej dotykał, czuła ból. Przez zgiełk usłyszała, że ktoś woła ją po imieniu. Usłyszała okrzyk bojowy, straszny, lecz podtrzymujący na duchu. Zauważyła szaleńczą kotłowaninę nad sobą. A potem z dala od siebie. Prastara zaskoczyła ich! Zapach był tak silny, że nie wyczuli woni ogrzycy na szlaku. Na wydany sykiem rozkaz R'ksis grupa podzieliła się, czmychnęła z powrotem do lasu i ruszyła w pościg, dla szybkości opadając na cztery łapy. Kiedy zaszli Prastarych z boków, woń była oszałamiająca. Słysząc było podniesione głosy spłoszonych ofiar i pełne przerażenia werble, które wybijały na ubitej ziemi kopyta ich koni. Przewodząca grupie R'ksis zaatakowała pierwszą, wykorzystując impet rozpedzonego ciała, by skoczyć na pierwszego Prastarego, na jakiego się natknęła. Wytracona z siodła ogrzyca spadła ciężko na ziemię. Ogarnięty młodzieńczym szałem bojowym S'rk natychmiast skoczył na ogłuszoną ogrzycę. Rozdarł jej nogę i rozplatał mięśnie. Jeszcze raz szarpnął ostrymi kłami. Ogrzyca wrzasnęła, niezdarnie uderzyła napastnika, a potem padła bez czucia. Dla R'ksis nie było miłszego dźwięku niż okrzyk ugodzonego nieprzyjaciela. a ciepła, parująca krew miała najśłodsza woń. Gdy S'rk znów nachylił się nad powaloną ogrzycę, powietrze przeszło przerażające skrzeczenie. R'ksis podniosła głowę i ujrzała, jak ogromny Prastary zeskakuje na ziemię. Samiec, jak sądziła po wyglądzie, który podczas skoku wyciągnął miecz. Dołączyła do niego jeszcze jedna ogrzyca, ta ze szlaku. Sam ich widok wprowadził ją we wściekłość. Zapominając o posiłku, R'ksis poderwała się, by stawić im czoło. Jej nozdrza rozděły się, kiedy poczuła docierający do niej zapach ogrzego potu i strachu. A potem ogrowie rzucili się do ataku! R'ksis zamachnęła się na tego większego, wyciągnąwszy pazury na całą długość. Zasięg jej łap nie mógł się jednak równać z zasięgiem miecza ogra. Klinga drasnęła ją tylko, ześlizgując się z płyt naturalnego pancerza, jakim pokryte były jej ramiona. Ogr zaatakował jeszcze raz, zataczając mieczem niski, świszczący łuk. R'ksis przeturlała się i skoczyła między dwóch napastników, tnąc ich po nogach. Odwrócili się razem z nią i miecz kobiety zaśpiewał w powietrzu nad głową R'ksis. Gdy rozdzielili się, usiłując zająć ją z boków, cofnęła się.

Zewsząd słyszała odgłosy walki. Syki i klekotanie atakujących disirów. Rzenie ranionego zwierzęcia. Syczenie konającego disira. Kiedy ogrowie natarli jednocześnie, R'ksis uchyliła się przed ostrzarni mieczy. Kobieta zmieniła taktykę, robiąc wypad w przód jedną nogą i dźgając klingą. R'ksis niezdarnie odskoczyła poza zasięg oręża. Dwóch z jej samców nie żyło; ich ciała leżały nieruchomo w słońcu. Jednak po drugiej stronie ścieżki G'hes zbliżał się do samicy Prastarej, niecierpliwie wysuwając długi, ostry język. S'rk przyłączył się do walki, skacząc z boku. R'ksis usłyszała, jak miecz ogrzycy wbił się w grubą okrywę na grzbiecie S'rka. Samiec przeturlał się i stanął na nogi, mrużąc z bólu ślepią. R'ksis sama odparła atak napastników, zasłaniając S'rka swym ciałem. Odsuwając się do tyłu, potknęła się i upadłaby, gdyby nie S'rk. Ręce mu się trzęsły. Czuła

ostrą woń posoki disira. - Uciekaj, najmłodszy! Uciekaj daleko! - Odepchnęła go w chwili, gdy ogr zamachnął się mieczem. Straszne, błyszczące ostrze nie trafiło ani jej, ani S'rka. Potem w niewiarygodny sposób zawróciło i cięło wstecz. Ostra jak szpony disira klinga rozplątała gardło S'rkowi. Najmłodszy zacharczał i padając, podniósł na nią oczy. W tej samej chwili, gdy zobaczyła, jak życie gaśnie w oczach S'rka, usłyszała okrzyk konającego G'hesa i ujrzała, jak samiec pada, trzymając się za pierś. Zanim ogrowie znów zdołali zaatakować, wydała pozbawiony słów wrzask, ostrzegając żyjących jeszcze członków grupy, by się wycofali. Następnie rozplynęła się w lesie tak szybko, że wojownicy nie zdołali zareagować. Niebo przechyliło się do góry nogami, a drzewa rosły w bok. Khallayne widziała, jak Jyrbian toczył bój z koszmarnym stworzeniem, które miało pancerne płyty na gumiastym, czworonożnym ciele i ślepia czerwone jak Lunitari. Potwór wznosił się na tylne łapy, stanął jak ogr i ruszył do walki, sycząc i klekocząc jak żuk. Jyrbian zamachnął się mieczem. Z karku stworzenia trysnęła krew, równie czerwona i gęsta jak u każdego ogra. Potwór zacharczał i zwalił się na ziemię. Następna z bestii, która stała w pobliżu Tenaj, rzuciła dookoła spanikowanym wzrokiem i wtopiła się ponownie w las. Niebo znów przechyliło się w sposób przyprawiający o mdłości. Khallayne niczego więcej już nie pamiętała.

18. Dragonlance - Zaginione Opowieści 02 - Irdowie

Kiedy ocknęła się, w nozdrzach miała ziemię i zapach jakiejś zgnilizny wymieszany z wonią własnej krwi. Dłonie, które ją odwracały, nie były łagodne. Przeszył ją tępy ból w barku, udzie i ramionach. Zniekształcone i ledwo tylko rozpoznawalne głosy docierały do jej świadomości przez mgłę. - Ostrożnie. - Jak źle z nią? - Nie dotykaj śluzu wokół ugryzień! Jest trujący. - Tenaj, Leyin, stańcie na straży. - Musimy ruszać. Może być ich więcej. Poznała głos Briah i usiłowała usiąść. Czyjeś dłonie jednak przytrzymały ją w pozycji leżącej. - Jak bardzo z nią źle? - pytał ktoś natarczywie. - Możesz ją uzdrowić? - Tak. - Dłonie obmacywały ranę na jej udzie, powodując wybuch bólu, który przeszył jej nogę jak odłamki szkła. - Jednak trzeba będzie za to zapłacić. Kobieta jęknęła głośno z bólu. - Czy to rozumiesz, Khallayne? Zgadzasz się? Bogowie zawsze żądają zapłaty za uzdrowienie. Wreszcie poznała głos i dłonie. Otworzyła oczy i spojrzała w twarz Lyrralta. - Mogę cię uleczyć, jeśli taka będzie łaska Hiddukela, ale nie za darmo. Prędzej czy później zechce czegoś od ciebie i będziesz musiała spełnić jego żądanie. Rozumiesz? - Zrób to, Lyrralcie! - warknął Jyrbian. - Czy sądzisz, że ona ma jakiś wybór? Teraz w polu jej widzenia pokazały się szkliste oczy i błyszczące od potu, tchnące radością bitewnego szału oblicze Jyrbiana. - Ten stwór rozplątał jej nogę niemal do kości. Jeśli nie wykrwawi się na śmierć, zabije ją jad disira. Bierz się do roboty. Khallayne złapała Lyrralta za rękaw, przypominając sobie dotyk run na jego skórze. Komu będzie musiała zapłacić tę cenę? - Zgadzam się. Położył na niej dłonie i wznosił oczy do nieba, poruszając wargami. Zadrżał. Jego palce zacisnęły się, a potem rozluźniły. Przeszył ją ból gorszy od wszystkiego, co sobie wyobrażała. Kiedy otworzyła usta do krzyku, poczuła, jak poszarpane brzegi rany pełzną, spajają się i zaczynają goić.

Rozdział 5 - Przekazanie daru Posiadłość lorda Igraine, nazwana Khalever od imienia jego córki, nie przypominała Jyrbianowi żadnej z tych, które dotychczas widział. - Co to jest? Czujesz to? -- szepnął do Khallayne, która jechała za nim, obejmując go w pasie. Stwór w lesie zabił jej konia, a ponieważ nikt nie chciał zawracać, jechali na zmianę po dwoje na jednym wierzchowcu. Khallayne potrząsnęła głową. - Nie wiem. - Jedyne wrażenia, jakie odczuwała, były spokój, cisza i zadowolenie. Odgłosów było mnóstwo - szum wiatru w drzewach, brzęczenie pszczoł, głosy ptaków, trzaskanie drzwi, parskanie ich koni i powitalne rżenie jednego ze rumaków Igraine'a, niemniej całość nadal tchnęła głębokim spokojem. Cisza... a jednak czegoś brakowało. Zdumiona Khallayne rozejrzała się niespokojnie i objęła Jyrbiana mocniej. Na końcu długiej alei stał dom z płowego kamienia zdobiony płytami z różowawego łupku, które ułożono wokół lśniących okien. Łagodnie kołyszące się pola zboża ciągnęły się aż ku słonecznym, porośniętym bujną zielenią wzgórzom. Lord Igraine, sam gubernator Kal-Theraxian, wyszedł na obszerny ganek, by powitać przybyszy. Był mężczyzną niewysokim jak na ogra, dobre dwie dłonie niższym od Jyrbiana, odzianym w prosty strój. Jego skóra miała soczyście zielony kolor. Kiedy uśmiechnął się na powitanie, wokół jego oczu pojawiły się zmarszczki. - Zawsze miło widzieć gości z Takaru. Jaką mieliście podróż? Co nowego na dworze? Nylora i Briah odezwały się jednocześnie, opowiadając o napaści w lesie, o odwadze Jyrbiana, który zażegnał niebezpieczeństwo, o śmierci wierzchowca Khallayne i trudach jechania w dwójkę na jednym koniu oraz o nagłym zaśnięciu Powierniczki. Igraine przez cały czas uśmiechał się, odwracając głowę od osoby do osoby, najwyraźniej zafascynowany ich opowieścią. Słuchając każdego po kolei, Igraine poświęcał im taką uwagę, że każde z nich czuło się niezmiernie ważne.

Jego urok osobisty zniewalał. Jyrbian wziął sobie za cel poznanie metody Igraine'a, bowiem przecież każdy może nauczyć się udawania tak wielkiego zainteresowania.

- Jakie to okropne! - Igraine zrobił smutną, zaszokowaną minę, kiedy opowiedziano mu o Powiernicze. - Mam nadzieję, że nie był to dla ciebie zbyt wielki wstrząs - rzekł, kiedy usłyszał, co się zdarzyło Khallayne i jej koniowi. Grupa umilkła, czekając na reakcję ogrzycy. Choć nikt niczego nie powiedział, przez ostatnie trzy dni stosunki między Khallayne i Lyrraltem wyraźnie ochłodziły. - Nic mi nie jest - rzekła, a ponieważ wszyscy nadal czekali, dodała: - Lord Lyrralt uzdrowił mnie. - Ledwo wykrztusiła te odrażające słowa. - Uzdrowiciel! - Igraine zmierzył wzrokiem Lyrralta w szacie z długim rękawem. - Kapłan Hiddukela. Witaj, czcigodny panie, w mym domu. Lyrralt przybrał dumną minę. Jyrbian zmarszczył brwi tak, że prawie się zeszyły. Igraine wykonał zamaszysty ruch ręką, pokazując dom i jego otoczenie. - Wszyscy jesteście mile widziani w mych progach. Natychmiast rozległ się szczebiot. Nylora i kuzynki wznosiły okrzyki podziwu nad pięknem posiadłości Igraine'a, paplały o przyjęciach na dworze oraz temu podobnych sprawach. Khallayne nie musiała podnosić głosu, by ją usłyszano wśród gwaru. - Jesteś na ustach całego dworu, lordzie Igraine! Wszyscy mówią o twym powodzeniu i zastanawiają się, jak to możliwe. Gdy Igraine uśmiechnął się szerzej, zmarszczki wokół oczu pogłębiły się jeszcze bardziej. - Pani, z radością opowiem ci o wszystkim. - Nachylił się nisko nad dłonią ogrzycy, która minęła go i weszła do obszernego holu. Jyrbian spojrzał wściekle na tył jej głowy i wyobraził sobie, że zaciska pałce na jej prześlicznym karku. Bynajmniej nie miał jej za złe bezpośredniości w rozmowie z gubernatorem, lecz jak mogła powiedzieć coś takiego przy wszystkich! W takich sprawach należy zachować dyskrecję. Nie życzył sobie plotek, które popsułyby całe wrażenie, jakie chciał wyrzeć na Teragrymie, kiedy doniesie mu o wszystkim. Jednocześnie był pełen podziwu dla giętkiego umysłu i gładkiego języka Khallayne. Chciałby móc wyrwać jedno i drugie z jej głowy, powoli i boleśnie. - Ja również chętnie posłuchałbym twojej opowieści - rzekł szybko i przybrał pogodny wyraz twarzy, żeby nie wzbudzić podejrzeń gospodarza. - Oczywiście. Proszę, wejdźcie. - Kiedy Igraine odwrócił się, na jego drodze stała prześliczna młoda kobieta, bardzo drobna jak na ogrzycę i niezwykle delikatna. Chwycił ją za rękę i przeciągnął przez próg. - Poznajcie moją córkę, Everlyn, od której właściwie wszystko się zaczyna.

Jyrbian zdawał sobie sprawę, że oczy mu wyszły na wierzch i że się uśmiecha, ale na widok Everlyn nie umiał opanować swej reakcji. Dziewczyna była delikatna jak kwiat i tak promienna i nieskażona, jak najczystszy z kryształów. Jej oczy miały kolor srebrzystej zieleni słońca, które skrzy się w czystej wodzie, a błyszczące włosy wydawały się bardzo bujne przy jej drobnej twarzyczce. Choć, jak sądził, miała co najmniej dwieście pięćdziesiąt lat i była dorosła, czubkiem głowy sięgała zaledwie jego podbródka. Co jeszcze bardziej intrygujące, jej uśmiechnięta twarz tchnęła uczuciem, jakiego jeszcze nie widział w życiu. Stanowiła dla niego zagadkę, której nie potrafił rozwiązać. Jyrbian skłonił się nisko. - Jeśli nawet nie usłyszę niczego, ta podróż nie pójdzie na marne. Zamiast spodziewanej ekscytującej odpowiedzi posłała mu tajemniczy uśmiech i umknęła wzrokiem przed natarczywością jego spojrzenia, szepcząc podziękowania za komplement. Odgrywając rolę troskliwego gospodarza, Igraine zaprowadził ich do wielkiej chłodnej sali, w której mieścił się jego gabinet. Wyłożona ciężką dębową boazerią sprawiałaoby wrażenie mrocznej, gdyby nie rząd wysokich okien, które wychodziły na tyły posiadłości. Sufit pomalowano na kolor nocnego nieba i wyłożono na nim srebrem wzór przedstawiający gwiazdozbiory bogów. Kiedy wszyscy wznosili okrzyki zachwytu nad pięknem komnaty i pytali, jak niewolnicy stworzyli tę ozdobę, Khallayne przeszła się wzdłuż okien i rzuciła okiem w stronę gór, które otaczały majątek Igraine'a. Uważając, by nikt jej nie podpatrzył, wyszeptwała słowa zaklęcia „widzenie”, drżąc od narastającej mocy, która

przebiegła wzdłuż jej nerwów. Spowita już magiczną energią Khallayne uświadomiła sobie, co tak ją niepokoiło w posiadłości Igraine'a. Otworzyła ze zdumienia usta. - Co ci jest? - spytał Jyrbian. Trzymał Everlyn mocno pod ramię i przechadzał się z nią wzdłuż okien, podziwiając widok. Zaszedł Khallayne od tyłu. Kobieta była tak zaskoczona i tak zdumiona, że odpowiedziała, nie bacząc na Everlyn. - Gdzie są znaki strzegące? - Wskazała na posiadłość za oknami. - Nie ma znaków ani niczego innego, co mogłoby zapobiec ucieczce niewolników. Nie ma nawet żadnych straży! Jyrbian omiół wzrokiem obszar widoczny z wysokich okien, lecz właściwie nie musiał potwierdzać jej nowin. Nie myliła się. To więc dlatego odnosił tak dziwne wrażenie! Brak straży.

Choć początkiem majątku Igraine'a było odziedziczone bogactwo, powszechnie wiadano, że największa część jego dochodu pochodziła z kopalni, które leżały na północ od posiadłości. Większość strażników oczywiście powinna być umieszczona w górach. Mimo to Jyrbian spodziewał się zobaczyć przynajmniej garstkę straży w majątku. Choćby gwardię honorową w wymyślnych mundurach, jeśli nic innego. Albo dozorców niewolników, szczególnie w pobliżu ich siedzib. Ale nic takiego nie zobaczył. O ile go oczy nie myliły, było zupełnie pusto. Kolejna osobliwość. Zazwyczaj kwatery niewolników nie znajdowały się tak blisko dworu. Jednak dostrzegali ich chaty - kamienne, kryte błyszczącymi strzechami - a nie nędzne, żalosne lepianki, jakich się spodziewał. Były czyste i wyglądały niemal malowniczo na tle łupkowoszarzych gór, zielonych pól i niebieskiego nieba. Przy licznych domostwach ludzie kopali gracami i motykami maleńkie ogródki. Ludzkie dzieci o nagich, groteskowo wygiętych nóżkach bawiły się niedaleko w błocie. Wiatr przyniósł urywek ludzkiej pieśni, cichej i brzydkiej. Zakrawało to niemal na bluźnierstwo. - Podziwiacie moją posiadłość? - spytał zza ich pleców Igraine. Jyrbian drgnął, zastanawiając się, od jak dawna stał tam i ile z ich uwag zdążył usłyszeć. - Zauważyliśmy, że twoich niewolników nie pilnują ani zakłęcia, ani nadzorca. - Dlatego, że moi niewolnicy są tu szczęśliwi. Nie potrzeba straży, ani magicznych, ani zwykłych. - Szczęśliwi? - Khallayne posmakowała słowa. Niewolnicy nie byli ani szczęśliwi, ani nieszczęśliwi. Po prostu byli niewolnikami. - Jak ten niezwykły stan został osiągnięty? - To najlepiej strzeżony sekret na naszym świecie. - Igraine roześmiał się. - Podzielę się swą wiedzą, jeśli rzeczywiście chcecie ją poznać. Ostrzegam was jednak, że to, co powiem, z początku nie będzie łatwe do zrozumienia. Jest bowiem sprzeczne z wieloma rzeczami, jakich was nauczono, wieloma sprawami, w jakie wierzycie. Musicie posłuchać otwartym umysłem. Otwartym sercem. Spojrzał wpierw na Jyrbiana, a potem na Khallayne, czekając na ich znak, by kontynuować. Jyrbian chciał dowiedzieć się wszystkiego, czego mógł, by donieść Teragrymowi, a następnie zamknąć uszy i nie słyszeć niczego więcej. Skinieniem głowy zachęcił Igraine'a do dalszego opowiadania i tak samo uczyniła Khallayne. - Doskonale. Poznałem rzecz następującą. - Igraine otworzył wysokie okna przed nimi i wpuścił powiew wiatru schłodzonego przez śniegi w wysokich górach. - Wybór.

Lyrralt, który podszedł do nich, miał zdumioną minę, a Khallayne była przekonana, że Igraine kpi z nich sobie. Ukradkiem wymienili spojrzenia, aby upewnić się, że dobrze usłyszeli. - Wszystkie istoty, czy będzie to ogr, człowiek czy elf, pan czy niewolnik, mają wybór. - Żartujesz sobie z nas, panie - rzekł Jyrbian, dokładając starań, by w jego głosie zabrzmiał szacunek. - To oczywiste, że mamy wybór. Co to ma wspólnego z twoją pomyślnością? - Nie rozumiałeś. - Igraine zauważył, że większość grupy podeszła do nich. - Usiądźmy. Pozwólcie, że wam opowiem, jak do tego doszło. Wtedy zrozumiecie, co mam na myśli. - Zaprowadził ich do kręgu krzesel wokół kominka. Kiedy usiedli, rozpoczął swą opowieść, poważnym i przejmującym głosem mówiąc o kopalni, o jękach i płaczu ziemi, o krzyku konającej córki, o wszystkich wydarzeniach, które zdarły zasłonę ślepoty z jego serca. Głęboko wzruszony przerwał na dłuższą chwilę. Kiedy wrócił do opowiadania, w jego głosie pojawił się ton goryczy i samooskarżenia. - W swym samolubstwie i chciwości rozkazałem

niewolnikom opuścić kopalnię. Ściany sztolni wciąż się obsuwały, sklepienie wciąż się waliło. Byli dla mnie zbyt cenni, by ich narażać. - Ale przecież to rozsądne założenie - zaprotestowała Nylora. Większość obecnych przytaknęła jej kiwnięciem głowy. - Co innego mogłeś zrobić? - Mogłem spróbować ocalić moją córkę, jak uczynił to jeden z moich niewolników. Wbrew moim poleceniom zwołał kilku innych. Gołymi rękoma powstrzymali osuwające się kamienie, podczas gdy pozostali pobiegli po belki do podstemplowania sufitu. - Podparli belki własnymi ciałami, a on tymczasem wygrzebał mnie spod ziemi - powiedziała cicho Everlyn, drżąc. - Strasznie było w tej niewielkiej przestrzeni. gdzie zewsząd przyciskały mnie głązy. W powietrzu unosił się duszący kurz. Czulałam krew na twarzy. - Wzdrygnęła się. - A wszystko dlatego, że Everlyn chciała sama wykuć sobie kawałek krwawnika. - Igraine wskazał na córkę, srogo marszcząc brwi, lecz grymas ten ustąpił gorzkosłodkiemu uśmiechowi. Khallayne przyjrzała się pełnym zachwytu twarzom towarzyszy. Nic nie zrozumieli. - Krwawnik? Co to takiego? - spytała Briah. Igraine pokazał okruch skały wielkości pięści, który stał w mosiężnej oprawie na gzymsie nad kominkiem. - To kamień. Zwykły kamień, za miękki, żeby z niego budować

domy, zbyt brzydki, by robić z niego biżuterię. Któż poza Everlyn mógłby zechcieć coś takiego? Któż poza moją dziwną córką, która zbiera takie kamienie i skały! Rzuciwszy na Everlyn pytające spojrzenie, Khallayne podniosła krwawnik. Był wielkości ziemniaka, dymny, tak ciemny, że wydawał się wchłaniać światło i zatrzymywać je, usiany grubymi, czerwonymi żyłkami, które sprawiały wrażenie kropel krwi. Jak uprzedzał Igraine, kamień był dość brzydki i błyszczał jak wypolerowany, choć w dotyku był chropowaty. Khallayne podsunęła go innym, lecz tylko Jyrbian wyciągnął rękę. - Sam jestem kolekcjonerem kryształów - powiedział, obracając skałę w świetle. Everlyn uśmiechnęła się nieśmiało, wzięła kamień w drobne dłonie i znów uciekła wzrokiem od ciekawości błyszczącej w jego oczach. - Po raz pierwszy słyszę o tym, aby nieposłuszeństwo niewolnika przyniosło dobre skutki - rzuciła ostro Briah. Lyrralt wysilał umysł, by zrozumieć opowieść, usiłował dojść do jej znaczenia. Uświadomił sobie, że ta historia ma jakiś głębszy sens, i że Igraine czeka, aż sami go pojną. Ramię mu pulsowało, runy swędziały złowieszczo. - To nie wszystko - wykrztusił. Igraine pokiwał głową. - Nie mogłem pojąć, dlaczego niewolnik tak jawnie sprzeciwił się rozkazowi, dlaczego miałby przekładać cudze życie ponad swoje własne. Lyrralt wyciągnął wnioski wcześniej niż pozostali. - Nie uśmierciłeś go - domyślił się. Khallayne i Jyrbian spojrzeli na Igraine'a ze zdumieniem. Igraine w odpowiedzi uśmiechnął się. - Jak mógłbym? - powiedział po prostu. - Ależ on okazał nieposłuszeństwo - zaprotestowała Khallayne. - Karą za to jest śmierć. - Ocalił życie mojego jedyne dziecko. - Ale prawo... - Eadamm uratował mi życie! - gwałtownie wtrąciła się Everlyn. - Szz... - uciszył ją Igraine. - Niełatwo to zrozumieć. - Nie, ja tego nie rozumiem - obstawała przy swoim Briah. - Niewolnik był nieposłuszny, bez względu na konsekwencje. Skoro nie został uśmiercony... - Przez chwilę milczała, zastanawiając się nad swymi następnymi słowami. - Jeśli go nie uśmiercono, w takim razie ty złamałeś prawo. Złamałeś je dla dobra niewolnika. - Nie złamałem prawa. - Więc niewolnik został stracony? - Wydałem wyrok, wedle którego Eadamm ma umrzeć, kiedy zechcę.

- I jeszcze tego nie zechciałeś? - domyślił się Jyrbian. - Nie. I wątpię, bym kiedykolwiek zechciał Eadamm nie tylko ocalić Everlyn, lecz kiedy go oszczędziłem, okazał się także urodzonym przywódcą. Zorganizował pozostałych niewolników. W ciągu jednego miesiąca wydobyli tyle rudy z niskich kopalni i tyle klejnotów z wysokich, co uprzednio w dwa miesiące. - Dwa razy tyle? - Jyrbian nie mógł uwierzyć. Wciągnął głęboko powietrze do płuc. - Podwoili wydobywanie? Igraine raz już opowiadał tę historię. Widział, jak te same uczucia przemykają przez oblicza jego sąsiadów, krewnych i gości. Najpierw złość, niedowierzanie, potem załębiony podziw i wreszcie chciwość. -

To nie koniec. Po zauważeniu tego postanowiłem zaeksperymentować. Zmniejszyłem restrykcje wobec niewolników. Dałem im odrobinę swobód, takich pozbawionych znaczenia drobiazgów, a jeszcze rzetelniej wzięli się do pracy. Produkowali jeszcze więcej. Tego lata dałem im pozwolenie na chaty i ogródki, które widzicie z okien. Tymczasem moje dochody się potroiły. Teraz pięć par oczu pałało chciwością - oczu każdego, poza Lyrraltem i Khallayne. Jyrbian pomyślał o majątku swojej rodziny, który bardzo przypominał posiadłości Igraine'a, choć był mniejszy: o urodzajnych polach otoczonych przez urwiska i góry pełne kopalni, z których wiele jeszcze nie zgłębiono. Potroić ich dochód! Pomyślał o miastach ogrów zbudowanych wyłącznie z tego cennego zielonego, żyłkowanego na szaro i płowo kamienia, który pochodził ze skalistych wzgórz, jak te za jego domem.

- Musimy się posilić - oznajmił Igraine, zmieniając ton i pozę. - Everlyn, może byś oprowadziła wszystkich po domu? Jestem pewien, że z przyjemnością obejrzą wspaniałe przykłady elfiej rzeźby, jakie znajdują się w naszym posiadaniu. Lyrralt podniósł oczy i napotkał utkwiony w nim wzrok Igraine'a. Nagle poczuł, że runy na jego ręce tańczą gorączkowo. Khallayne posłusznie wstała, by pójść za pozostałymi, jednakże zamiast tego wyszła przez wysokie okno na ganek. Zachodziło słońce i ziemię zaczął okrywać mrok. W siedzibach niewolników zapaliły się ogniki lamp. Chwilę zajęło jej zrozumienie, czemu lampy wydawały jej się nie na miejscu, a potem uświadomiła sobie, że w majątku jej wuja niewolnicy nie mieli światła w kwaterach. Po zmierzchu, jeśli jeszcze nie pracowali, mieli odpoczywać przed następnym dniem.

Stojąc tak i wdychając czyste, chłodne powietrze spostrzegła sylwetkę, która wychyłała zza drzwi na drugim końcu galerii i znikła w cieniach podwórza. Była to niewolnica w szalu zarzuconym na głowę. Zajęta próbami ustalenia, dokąd poszła kobieta, Khallayne nie usłyszała zbliżającego się od tyłu Igraine'a, dopóki nie dotknął jej ramienia. - Nie jesteś głodna, pani? Drgnęła, a potem rozluźniła się, uśmiechając przeprasząco. - Właśnie podziwiałam twoją posiadłość, panie. Zauważyłam też, jak dziwny się wydaje widok światła w chatach niewolników. - Tak, to prawda. Oni jednak są wdzięczni za tę odrobinę czasu dla siebie wieczorami. Oliwa jest racjonowana. W ostatecznym rozrachunku zyskuję więcej niż tracę. Khallayne znów spojrzała w zamyśleniu na oświetlone lampami okna, po czym odwróciła się ku niemu. - To, co robisz, jest bardzo niebezpieczne, prawda? Mężczyzna uniósł brew. - Słyszałam, co się mówi w Takarze - kontynuowała. - Zazdroszczą ci sukcesu, a może trochę się go obawiają. Są tacy, którzy twierdzą, że od chwili gdy rozpocząłeś swój program, liczba zbiegłych niewolników drastycznie się zwiększyła. Ostrzegano nas, byśmy byli ostrożni na szlakach. - Jednak nie mieliście kłopotów - łagodnie zwrócił jej uwagę - przynajmniej nie ze strony niewolników. Wierz mi, od zeszłego lata nie uciekł stąd żaden niewolnik. Wiesz, jak łatwo na dworze puścić w obieg plotkę. Może inni nie umieją zapanować nad swoimi niewolnikami. Jeśli tak, to ja chyba nie ponoszę za to odpowiedzialności ani winy? Jego słowa brzmiały bardzo przekonująco, musiała mu to przyznać. - Tak, oczywiście, masz rację. - Pani Khallayne, wielu przybywa posłuchać o moim powodzeniu. Odchodzą zmienieni, wprawieni w zakłopotanie lub wręcz rozgniewani. Reakcje nielicznych tylko mieszczą się pomiędzy tymi krańcami. Niemniej odnoszę wrażenie, że czujesz się przede wszystkim rozczarowana moimi wyjaśnieniami. - Panie, mam nadzieję, że cię nie obraziłam... - Skądże - odparł. - Mam jednak uczucie, że i tak w rzeczywistości nie przybyłaś tu z tego samego powodu, co pozostali. - Naprawdę? Czemu? - No cóż - przyznał ze śmiechem. - Lord Jyrbian wyznał mi, że nie posiadasz własnego majątku. Jaki pożytek mogłyby ci przynieść moje techniki zarządzania?

Odszedł w cień i usiadł na długiej, niskiej kozetce. - Podejdz tu. - Poklepał miękką poduszkę na siedzeniu. - Opowiedz mi, dlaczego przebyłaś taką długą drogę, żeby się ze mną spotkać. Wszystko w jego zachowaniu - głos, bezpośredniość, urzekający ton, sposób, w jaki spokojnie siedział i

cierpliwie czekał, skłaniało ją do tego, by mu się zwierzyć. Podeszła do kanapy i usiadła przy nim. - Prawdę mówiąc, panie... - Igraine - przerwał. - Po prostu Igraine. Przez chwilę czuła się zaskoczona taką poufałością, lecz nic w jego zachowaniu nie zdradzało fałszu. - Igraine. - Spróbowała powtórzyć imię i stwierdziła, że brzmiało szczerze i dodawało otuchy, jak jego właściciel. - Naprawdę przybyłam po to, by usłyszeć twoją opowieść i dowiedzieć się, w jaki sposób odniosłeś taki sukces, ale myślałam... Cekał w milczeniu, aż dokończy. Wyczuwała, że skupił na niej całą swą uwagę. - Myślałam, że przyczyna twojego powodzenia będzie miała magiczny charakter. Mężczyzna wyprostował się. Na widok jego zaskoczenia Khallayne przeszedł dreszcz zwycięstwa. - Magia? Myślałaś, że zwiększyłem swe zyski czarami? - Łudziłam się... taką nadzieją - przyznała. W napięciu czekała na jego reakcję. - Jyrbian nie powiedział, że należysz do rodu panującego. - Bo nie należę. - Podciągnęła jedną nogę na kanapę, aby móc spojrzeć mu w twarz. - Mimo to wiem wiele. I bardzo pragnę nauczyć się więcej. Wydaje mi się, że mogłabym tak... Przerwała, uświadomiwszy sobie, do czego się przyznała. Zesztywniała, widząc, jak przygląda się jej i porusza wargami. Badanie zakłębieniem, jakie na nią rzucił, przypominało obmacywanie palcami jej skóry, a nawet kości. Wrażenie trwało tylko chwilę, a potem ustąpiło. - Tak - zadumał się. - Bardzo potężna. Cóż. Khallayne... Moje metody zarządzania tą prowincją nie mają nic wspólnego z czarami. Nie należę do rodziny panującej, lecz jako gubernatorowi dano mi pewną swobodę. Z przyjemnością nauczę cię tego, co sam wiem. W ciągu tych kilku chwil, jakie upłynęły od rozpoczęcia rozmowy, słońce zdążyło już zająć. Khallayne wiedziała, że nie mógł zauważyć nagłych rumieńców, jakie wykwitły na jej policzkach, ani rozszerzenia źrenic, lecz z pewnością wyczuł bijący od niej żar i słyszał bicie jej serca. - Naprawdę? - A potem natychmiast dodała: - Dlaczego? Igraine wstał i nachylił się, by pomóc jej wstać. - Jak powiedziałaś, są tacy, którzy nie cenią moich metod. Jestem przekonany, że nadchodzą złe czasy dla mnie i dla wszystkich

ogrów. Sądzę, że posiadanie sprzymierzeńca w twojej osobie byłoby dla mnie wielką korzyścią. - Co musiałabym zrobić? - Pomóż mi rozgłosić nowinę. Pomóż mi zmienić świat. Bądź moją przyjaciółką. Przydałby mi się ktoś tak potężny i umiejący przekonywać jak ty. Mówił prawie jak obłąkany. Nigdy przedtem nie spotkała kogoś podobnego i zastanawiała się, czy przypadkiem nie używa jakiegoś czaru, by wyrzucić na nią wpływ, bowiem mimo tego szaleństwa niczego bardziej na świecie nie pragnęła, jak mu pomóc. - Nie sądzą, żeby świat wymagał zmian, lecz chcę się nauczyć magii. Igraine uściskał ją i uśmiechnął się do niej. - Być może już mogę ci pomóc - dokończyła. - Tym ostrzeżeniem. Jako gubernator odpowiadasz przed panią Enną, prawda? A z zysków tej prowincji musisz płacić jej daninę? Igraine skinął głową. - A twój sukces może... zagrozić pozostałym członkom rodów panujących? Znów skinął głową. Nachyliła się blisko i rzekła prawie szeptem: - W takim razie powinieneś wiedzieć, że Jyrbian przybył z polecenia Teragrzyma. Jyrbian podniósł wzroki spochmurniał na widok Igraine'a, który wszedł do jadalni, prowadząc Khallayne pod ramię. Już teraz był w kwaśnym humorze. Everlyn przyprowadziła go do sali i przedstawiła licznej gromadzie gości i krewnych. Zakrzętała się wokół nich, każąc przynieść dodatkowe talerze i więcej jedzenia. Poprosił, by zjadła z nim kolację, celowo zachowując puste krzesło obok siebie, a nawet popatrzył wrogo na Briah, która usiłowała na nim usiąść. Everlyn jednak znikła w drzwiach kuchennych i już nie wróciła. Teraz wyglądało na to, że Khallayne była na prywatnej audiencji u Igraine'a. Jyrbian zrobił jeszcze bardziej rozgniewaną minę. - Och, jaki on prześliczny - wykrzyknęła Khallayne, puszczając rękę gospodarza, by móc przyjrzeć się z bliska eleganckiemu stołowi bankietowemu, który zajmował prawie całą powierzchnię pomieszczenia. Wyglądał tak, jakby wykonano go z półprzejrystego lodu. - Jest bardzo stary, pochodzi z czasów, gdy moja rodzina zajmowała się handlem elfimi niewolnikami - powiedział Igraine. - Jest zrobiony z kryształu?

- Wyobrażacie sobie całe miasto zbudowane z tego? - Jedna z kobiet, którą Everlyn przedstawiła jako ciotkę, uśmiechnęła się dumnie do Khallayne. Kiedy obie kobiety pograżyły się w dyskusji o elfiej architekturze, Jyrbian odsunął nie dokończoną kolację i podszedł do Igraine'a. - Lordzie Igraine, jeśli mogę się ośmielić? Ten niewolnik, który ocalił Everlyn... - To niezwykle człowiek. - Igraine podchwycił rozmowę już po lekkiej zachęcie. - To od niego nauczyłem się wszystkiego. - Chciałbym poznać tego niezwykle niewolnika. - Ja również. Jyrbian obejrzał się i stwierdził, że za jego plecami stał Lyrralt. Skrzywił się, lecz zanim zdążył powiedzieć bratu, że nie życzy sobie jego towarzystwa, Igraine odparł: - Będzie mi bardzo miło, jeśli zwiedzicie moją posiadłość i spotkacie się z Eadammem. Wśród tych, którzy przybywają odwiedzić mnie i pobierać nauki, zawsze są tacy, którzy widzą więcej niż to, co oczywiste. Mam nadzieję, że tym razem ty będziesz się do nich zaliczał. - Igraine skłonił się i zostawił mężczyzn zastanawiających się, do którego z nich były adresowane te słowa. - A ja? Ja też zawsze widzę więcej niż to, co oczywiste. - Usłyszeli za swymi plecami prześliczny głos. Kiedy się odwrócili, ujrzeli Khallayne, która opierała się wygodnie o mocne elfie krzesło u szczytu stołu. Jej bujne, ciemne włosy wyglądały jak węgiel na tle kryształu, a jej czarne oczy lśniły, jakby płonęły w nich świece. Niewolnik zwany Eadammem nie przypominał żadnego człowieka, z jakim Jyrbian miał do czynienia. Nigdy jeszcze nie widział, żeby któryś z nich nosił się z taką durną i zuchwalstwem. Nie było w nim nic z tej przygarbionej pokory niewolnika, który czeka na kolejne polecenie. Mężczyzna stał wyprostowany z wzniesioną głową i śmiało, bez drżenia patrzył Jyrbianowi w oczy. - Prawie jakby wcale nie uważał się za niewolnika - szepnął Lyrralt. Jyrbian, który zazwyczaj nie przejmował się niewolnikami, dopóki wykonywali swe obowiązki choćby z minimalną sprawnością, poczuł się wytracony z równowagi jego postawą. - Niewolnik nosi ozdoby? - spytał, wskazując na oprawiony w srebro czarno- czerwony kamień, który wisiał na srebrnym łańcuchu na szyi niewolnika.

- Rzeczywiście wygląda trochę zbyt kownie - przyznał Lyrralt. Mimo złych przeczuć dotyczących niewolnika Jyrbian był pod wrażeniem jakości i ilości surowych klejnotów, jakie wydobywano z kopalni. Również pola Igraine'a kwitły. Ile ta filozofia mogła uczynić dla majątku jego ojca? Zerknął w zamyśleniu na brata, który odsunął się na bok i stał obok Everlyn, słuchając, jak niewolnik objaśnia proces wydobywania kopalin. Przemawiał nieznośnie nadętym tonem. Mimo to Everlyn uśmiechała się do niego, jakby jego słowa były równie fascynujące co boskie objawienie. Późnym wieczorem Jyrbian leżał w łóżku, przypominając sobie sposób, w jaki niewolnik przyciągał uwagę Everlyn. Jyrbian jakoś nie mógł uzyskać od niej niczego więcej, prócz miłego, lecz bezosobowego uśmiechu. Pociągnął za sznur nad łóżkiem i w kuchni rozległ się dzwonek. Kiedy kilka chwil później nocna służąca weszła z wahaniem do jego komnaty, stał nagi przy oknie, a jego wspaniała skóra lśniła w świetle księżyca. Lyrralt również nie mógł przegonić niewolnika ze swych myśli. Niemal słyszał przekonujące słowa Igraine'a. - Pomyśl o tym, Lyrralcie, wybór. Prawdziwy wybór. Sam decydujesz, co jest słuszne a co nie. Dobre albo złe. W zaciśniętym pokoju, jaki otrzymał, otworzył butelkę wody, wypłukał usta i splunął, zwilżył uszy i oczy. Gorszy nawet niż oblicze Eadamma był bez przerwy powracający szept, którego nikt inny wtedy nie usłyszał. Kiedy Igraine zauważył, że widok Eadamma i zadowolonych, pewnych siebie niewolników wzbudził jego ciekawość i zdumienie, szepnął: - Wolna wola, Lyrralcie, jaką mają tylko ludzie żyjący na równinach. Możesz nawet wybrać, jakich bogów będziesz czcił! Wyrzucił z pamięci wspomnienie i przygotował się do modlitwy i medytacji. Nie było ostrzeżenia. Żadnego stopniowego swędzenia czy mrowienia. Straszny, palący paroksyzm przeszył jego ciało włócznie gwałtownego bólu. Lyrralt wiał się po zimnej, kamiennej podłodze i wielokrotnie wykrzyczał imię swego boga, póki atak nie minął. Kiedy przyszedł już do siebie i mógł poruszyć ręką bez bólu, podniósł się do pozycji siedzącej. Minęło

kilka chwil, zanim odważył się spojrzeć na ramię. Ku swemu zaskoczeniu, ujrzał na nim tylko jedną runę. Nawet okiem nowicjusza bez trudu odczytał wróżbę. Miała tylko jedno znaczenie: zagłada.

Rozdział 6 - Czary, które przeleją ludzką krew Tego poranka, gdy mieli wyruszyć do Takaru, Khallayne zasnęła. We śnie znalazła się sama w sali audiencyjnej Igraine'a. Kiedy spojrzała na sufit, zaczęły na nim wirować gwiazdozbiory, coraz szybciej i szybciej, aż jasne światełka stały się magicznymi nitkami, strugami srebra, które płynęły po niebie. Jej stopy oderwały się od ziemi. Przedstawiający piekło haft na jej sukni stanął w ogniu. Czowała smak dymu, zapach zwęglonej skóry i spalonych włosów. Potem u jej boku pojawili się Jyrbian, Lyrralt i Briaah z uśmiechami na rozpływających się twarzach, z których spadały na ziemię wielkie kawały ciała. Widoczne wśród ognia i dymu konstelacje wciąż się kręciły. A ona, nietknięta, wirowała w płomieniach i śmiała się, śmiała bez końca. Choć drużyna wyruszająca w drogę powrotną do Takaru składała się z tych samych osób, grupa nie przypominała hałaśliwej, rozbawionej gromadki, jaka wyjechała stamtąd trzy tygodnie temu. Wyciszeni i zamyśleni jechali gęsiego stromą ścieżką. Zamiast wybrać krótszą drogę przez przełęcz Therax, którą przybyli, Jyrbian postanowił wrócić zachodnim szlakiem, który wiódł wokół góry i wzdłuż wysokiej grani. Briaah, jej siostra Nylora, Tenaj i jej dwie kuzynki jechały razem, rozmawiając szeptem. Jyrbian, Khallayne i Lyrralt trzymali się osobno, każde sam na sam ze swymi myślami. Huk spadającej wody prowadził ich pod górę. Na początku stromej ścieżki słychać było tylko odległy syk, lecz dźwięk ten nasilał się w miarę spadku nachylenia szlaku i przeredzania roślinności, którą teraz stanowiły krzewinki i kępy traw. Tuż przy samym wodospadzie huk był ogłuszający. Tęczowa mgiełka unosiła się nad pędzącą wodą, która spadała w głąb doliny niczym srebrna wstążka wijąca się wśród pól. Łany zielonożółtego zboża kołysały się łagodnie na wietrze. Jadąca pośrodku kawalkady Khallayne ściągnęła wodze swego konia i stanęła, by przyjrzeć się przepięknemu widokowi, jaki się przed nią roztaczał. Rzeka przecinała na połowy jeden kąt ziem należących do Igraine'a. Dalej na północnym zachodzie leżał niewidoczny już dwór, a jeszcze dalej znajdowały się kopalnie. Była w nich kiedyś w towarzystwie Igraine'a. Nie widziała tam żadnych specjalnych czarów, jedynie zwykłe czynności niewolników - rozpalanie ognisk do gotowania, pracę pospolitymi narzędziami i pracochłonne wydobywanie drogich kamieni z wnętrza ziemi. W

większości były to przyziemne zadania, których widok ją rozczerował, lecz to, czego Igraine zaczął ją uczyć - zaklęcia dużo przemyślniejsze od tych, które kradła ludziom, oraz niezwykle znaki obronne, były czymś szczególnym. A to jeszcze nie wszystko. Kiedy tylko będzie mogła, zrobi wszystko, co w jej mocy, by tam wrócić. - Co o tym myślisz? - Jyrbian zatrzymał się przy niej, wyrywając ją z rozmarzenia. - Zapiera dech w piersi. - Nie miałem na myśli widoku - odparł zgryźliwie. - Chodziło mi o Igraine'a i jego pomysły. - Sama nie wiem. Jest... Są... - Grała na zwłokę. Doskonale wiedziała, co o tym myśleć. Pomysły Igraine'a w najlepszym przypadku były zagrożeniem, a w najgorszym zdradą. Lyrralt zatrzymał się obok nich. - A gdyby tak wszyscy postanowili w ten sposób postępować? Co by się stało, Khallayne? Podstawą naszego świata jest porządek. Każdy ma swoje miejsce. Wszystko ma swoją przyczynę. Gdzież jego sens, jeśli każdy postanowi zachowywać się tak, jak mu przyjdzie do głowy? - Jeśli chodzi o mnie, jestem za ideą wyboru. - Jyrbian ścisnął konia kolanami i popędził go naprzód. Wolał zostać sam na sam z myślami o Everlyn; zamierzał poprosić o nią, gdy Teragrym zaproponuje mu nagrodę za służbę. - Chyba nie wiesz, co mówisz! - warknął Lyrralt. - Owszem, wiem. - Jyrbian ściągnął wodze wierzchowca. - I wiem, co wybrałbym dla siebie. - Chyba kogo, nieprawdaż? - spytała Khallayne. - Kobiety i seks! - parsknął z pogardą Lyrralt. - O niczym innym nie myślisz! Przez chwilę Jyrbian przyglądał się bratu z miną wyrażającą jakby zdziwienie, po czym wzruszył ramionami i uniósł brwi. - A cóż innego jeszcze istnieje, bracie? - Kiedy Lyrralt nie odpowiedział, Jyrbian wzruszył ramionami i komicznie

wykrzywił twarz z dawnym błyskiem cynizmu w oczach. Khallayne nie roześmiała się. Przez krótką chwilę, tuż zanim Lyrralt przerwał chwilę zadumy, oblicze Jyrbiana wyrażało coś, czego jeszcze nigdy dotąd nie widziała. Przez krótką chwilę był dla niej kimś obcym, przystojnym nieznanym, którego twarz jaśniała czystym, jasnym uczuciem, zupełnie pozbawionym żądy i chciwości. - Ruszajmy w drogę. Powinniśmy zatrzymać się przy Jaskiniach Bogów - oznajmił Lyrralt. Na zakończenie rozmowy odwrócił się plecami od obojga i odjechał.

Jaskinie Bogów, najczęściej odwiedzany zakątek południowych gór Khalkist, znajdowały się w najwyższym punkcie grani Therax, u zbiegu trzech ścieżek. Z tej rozległej, wydeptanej części szlaku wędrowcy mogli udać się w dół wzdłuż północnego zbocza i kontynuować podróż w głąb gór albo zjechać południowym stokiem do Takaru lub nawet jeszcze dalej w dół, a potem przez równinę do miejsca, gdzie wschodnie pasmo południowych Khalkistów otaczało swym opiekuńczym ramieniem prastare miasto Bloten. Jaskinie Bogów były niczym więcej niż płataniną ścieżek wykutych w górze. Niemniej miały trzy wejścia w pobliżu rozdroży, a ścieżki we wnętrzu tworzyły okrągły labirynt połączonych tuneli, z których każdy prowadził do jednego z trzech wylotów. Otwór, którym się wychodziło, górny, środkowy albo dolny, zwiastował odpowiedź bogów na modlitwy. Napastnicy wybiegli z wrót prawdy i sukcesu. Lyrralt zanurzył się w głębiach jaskini, oddalając się od stłumionych głosów towarzyszy na tyle, by słyszeć jedynie monotonne kapanie wody i własne ciche kroki w kurzu. Podróżni i pielgrzymi przez stulecia wykuwali nisze w miękkim kamieniu i zostawiali amulety, talizmany i ikony jako pamiątki swej obecności. Znalazłszy miejsce, gdzie z kamiennej ściany bił podmuch chłodnego powietrza, Lyrralt wetknął pochodnię w obręcz i stanął, by popatrzeć na znikający w ciemności szary dym i migotliwe światło, które padało na kamienie. Wtedy usłyszał głosy - szepty i głuche pomruki wielu osób - ludzkich istot. Szybko zawrócił, ostrzegając towarzyszy krzykiem. Dwukrotnie źle skręcił i musiał się cofnąć. Do czasu, gdy wybiegł na poranne słońce, z górnego wylotu jaskini wyskoczyli niewolnicy. Ze zbocza zbiegali wrzeszczący mężczyźni i kobiety. Khallayne wycierała swego konia kawałkiem starej derki, gdy zwierzę uderzone kamieniem w kłęb zarżało ze złości i bólu. Wierzgnęło tylnymi nogami, odrzucając ją w tył. Kiedy kobieta upadła na miękkie, gliniaste nasyp naprzeciwko jaskiń i ześlizgnęła się po nim, wokół rozszalało się piekło. Wyjący ludzie zeskoczyli z wału nad nią i zaatakowali grupę z drugiej strony. Leżąc na boku i dysząc ciężko, Khallayne w pierwszej chwili miała ochotę się zaśmiać. Wrogów było prawdopodobnie dziesięciu, mężczyzn i kobiet tak obszarpanych i obdartych, jak najgorsi robotnicy kanałowi, tak chudych, że ich ręce i nogi przypominały patyki obciążone brudną skórą. Wymachiwali prostymi narzędziami rolniczymi, motykami, widłami i łopatami, naprędce sporządzonymi pikami i topornymi maczugami.

Po drugiej stronie drogi Briah wskoczyła na konia w chwili, gdy jeden z niewolników ciął ją z rozmachem, zostawiając krwawe pręgi na końskiej łopatce i nodze kobiety. Ochota do śmiechu szybko opuściła Khallayne, ustąpiwszy miejsca fali niedowierzania i strachu. Kiedy armia oberwańców podbiegła do Jyrbiana, ogr wyciągnął miecz, który nosił przypasany na plecach. Znajdująca się w pobliżu Tenaj postąpiła podobnie, jednym susem stając u boku Jyrbiana. Reszta grupy usiłowała zapanować nad swymi wierzchowcami. Zwierzęta kopały, wierzgały i kręciły się w kółko. Banda ludzi rzuciła się na tych dwoje, którzy stali osobno, na Jyrbiana i Tenaj. Zadzźwięczała stal i ucieszyło się serce Jyrbiana, gdy ogr zwarł się w walce ze swym pierwszym przeciwnikiem, brzydkim, poznaczonym szramami mężczyzną uzbrojonym w ostrą, żelazną włócznię, która kiedyś mogła stanowić część bramy. Następnym dźwiękiem było rżenie konającego, Jyrbian bowiem bez trudu sparował pierwsze pchnięcie i poderżnął niewolnikowi gardło. Odzyskawszy panowanie nad swoim wierzchowcem, Lyrralt wskoczył na siodło, wy dobył buławę i podjechał do grupki

niewolników, zadając ciosy na prawo i lewo. Usiłując otrząsnąć się z oszołomienia po tym, jak kolejny człowiek zeskoczył ze skarpy, Khallayne zdołała wymierzyć mężczyźnie kopniaka i zwalić go z nóg. Poturlali się, tworząc kłębowisko rąk i nóg, w które wplątała się ciężka, drewniana maczuga. Choć niewolnik był słabszy, zahartowały go lata mozołu w kopalniach ogrów. Zdołał wylądować na wierzchu, lecz pierwszy cios zadał niezdarnie. Maczuga drasnęła skroń Khallayne. Ogrzyca nie dała mu kolejnej szansy. Wyszarpnąwszy sztylet z pochwy z taką siłą, że ją rozdarła, wbiła klingę między żebra mężczyzny. Krew chlusnęła jej po rękach na brzuch i przemoczyła jej tunikę. Była jasnoczerwona. Śliska. Słonawy zapach miedzi wypełnił nozdrza ogrzycy. Człowiek, którego twarz majaczyła na d nią, sprawiał komiczne wrażenie zaskoczonego, a potem życie zgasło w jego brązowych oczach i zwałił się bezwładnie. Wzdrygnąwszy się, Khallayne odepchnęła go i wstała z trudem. Wszędzie wokół trwała wałka, słychać było brzęk mieczy, bojowe okrzyki atakujących ludzi i rzenie rannych koni. Czuć było zapach krwi oraz kwaśnego potu ludzkich niewolników. Ludzkiego strachu. Zeskoczywszy z siodła, Lyrralt zwracał na siebie uwagę pośród bitewnego zamętu, zaciekle zataczając buławą świszczące łuki. Zadawał niewiele celnych ciosów. Lecz powstrzymywał napastników. Jyrbian i Tenaj stali zwróceniu do siebie plecami. Nylora, Briah i dwie kuzynki również walczyły plecami do siebie. Wszystkie miały w rękach miecze zbroczone krwią. Ziemia była

zasłana trupami ludzi, którzy nierozważnie znaleźli się w zasięgu ich oręża. Pozostali niewolnicy kręcili się wokół dwóch grup, doskakując do nich i wygrażając im. - Khallayne, zrób coś! - krzyknął Lyrralt, wskazując skarpe nad jaskiniami. Widać tam było zbliżających się co najmniej dziesięciu kolejnych ludzi, którzy przedzierali się przez zarośla i drzewa. Wiedziała, o co prosi, lecz oznaczałoby to ujawnienie się... Inni poznają jej moc. I tak zginą, jeśli nieprzyjaciel będzie liczniejszy. Coś w niej zawrzało. Coś zbulgotało z podniecenia. Jeden z ludzi dźgnął włócznią i Briah skoczyła, by zablokować jego cios. Zraniona noga nie utrzymała ciężaru jej ciała i kiedy ogrzyca poślizgnęła się, niewolnica zamachnęła się z całej siły trzymaną bronią. Briah krzyknęła i upadła, przebita grotami gospodarskich wideł. Usiłująca przyjść z pomocą siostrze Nylon również poniosłaby śmierć, gdyby jedna z kuzynek nie podbiegła, by zamknąć lukę i nie odciągnęła jej do tyłu. Jęcząca z bólu Khallayne ścisnęła zakrwawioną rękojeść sztyletu. Rozpierała ją wściekłość, spalał płomień żądzy walki. - Khallayne, teraz! - krzyknął Lyrralt, wskazując nasyp czubkiem maczugi. W ostatniej chwili zamachnął się nią z całej siły i wypruł wnętrzości biegnącemu ku niemu niewolnikowi. Pomimo o b a w przed ujawnieniem s i ę Khallayne zadrżała z niecierpliwości. Rozsadzająca ją moc pulsowała jej we krwi niczym muzyka dudniąca w żyłach. Wrażenie niemal zmysłowej rozkoszy musnęło jej skórę. Ogrzyca wymówiła słowa, które wyrwały jej się z gardła. i gwałtownie rozłożyła ręce. Przeciwnicy Lyrralta stanęli w płomieniach tak niespodziewanie, że nie mieli nawet czasu krzyknąć. Sam Lyrralt o mało co nie zająłby się ogniem. Osmalił sobie maczugę, lecz odskoczył do tyłu i odturlał się od płomieni liżących jego dłonie i ramiona. Khallayne ledwo dostrzegając Lyrralta przez ścianę huczącego wiatru. Z oczami przyćmionymi przez krew i dym wyciągnęła przed siebie ręce i raz jeszcze wymówiła słowa czaru. Zakłęcie paliło ją w gardle żywym ogniem. Niewolników, którzy zsuwali się po nasypie, odrzuciła do tyłu ściana ognia. Nadal nie widząc i nie słysząc, Khallayne wyrzuciła przed siebie ręce, tym razem ciskając ognistą ku tyłu zboczce. Posypały się okruchy szarej skały i czerw liny. W gardle wrzało jej następne zakłęcie, kiedy coś wpadło na nią i przewróciło ją na ziemię.

Ogrzyca po omacku szukała sztyletu. jak przez mgłę wyczuwając dłonią jego rękojeść. Zerwała się do walki ze słowami kolejnego zaklęcia na ustach i wyciągniętymi do uderzenia gołymi pięściami, gdy zdała sobie sprawę, że osobą, którą okłada kułakami, jest Jyrbian. Przez huk dotarło do niej, że woła ją po imieniu. Padła mu w objęcia, zasapana i wycieńczona, lecz jednocześnie

tryskająca radością. Jyrbian podtrzymał ją jednym ramieniem, trzymając miecz w pogotowiu, jednak nieliczni ocaleli niewolnicy zbiegli. – Cokolwiek zrobiłaś – rzekł głosem schrypniętym z podziwu – podziało. Khallayne nie odpowiedziała, jedynie podniosła oczy i spotkała wzrok zbliżającego się Lyrralta. - Nie jesteś ranna? – spytał. Zdołała pokręcić przecząco głową i odsunęła się do Jyrbiana. Ciała zabitych broczyły krwią, która zbierała się w kałuże na twardej ziemi. Las na krawędzi gliniastego zbocza był osmalony, a niewielkie języki płomieni wciąż lizały suche liście. Powyżej jaskiń znajdowały się trzy zwęglone czarne bryły, które ledwo przypominały ludzkie postaci. Słysząc było jedynie głos Nylory, która klęczała przy ciele Briah i zawodziła. Dotykała czoła, szyi i nadgarstka bezwładnego ciała siostry, rozpaczliwie szukając oznak życia. - Pozostali nie mieli wątpliwości, że ich nie było. Rząd równych, okolonych plamami krwi nakłuć biegł ukośnie przez klatkę piersiową Briah. Nylora podniosła oczy i ujrzała Lyrralta. - Uzdrów ją - błagała. Przerwała i dotknęła otworu nad sercem Briah. Jej palce pokryła lepka, czerwona ciecz. - Nie potrafię. - Khallayne usłyszała szept Lyrralta, który zbliżał się do Nylory. - Khallayne ocaliłeś - zarzuciła mu ogrzyca. Jedna z kuzynek nachyliła się i chwyciła ją za ramię, by pomóc jej wstać, lecz Nylora stawiała opór. - Ocaliłeś życie Khallayne! Widziałam, co zrobiła. Widziałam, że użyła czarów! - wrzasnęła. - Jeśli nie uzdrowisz Briah, powiem o tym wszystkim! Lyrralt przykleknął przed nią i chwycił ją za okrwawione dłonie. - Nie potrafię - powtórzył z bólem. - Bogowie nie obdarzyli mnie jeszcze wystarczającą mocą. Nylora wyrwała mu się z rąk, jęcząc: - Oto skutki wolnej woli Igraine'a. - To nie byli niewolnicy Igraine'a - powiedział łagodnie Jyrbian, wyciągając do niej rękę, by mogła wstać.

- Co to za różnica, czyimi byli niewolnikami? - Odtrąciła podaną rękę i wymierzyła w niego palec. - Takie są tego skutki! - Rzuciła w niego krótkim mieczem, lecz broń spadła na ziemię z głuchym brzękiem, nie czyniąc mu krzywdy. Lyrralt rozejrzał się. Wszędzie wokół pełno było krwi, także na jego rękach i szatach. Czuł jej zapach w powietrzu. Runa na jego ramieniu pulsowała. Musiał zadać sobie wiele trudu, by nie ulec chęci wyszeptania słowa „zagłada”, gdy usiłowali pocieszyć Nylorę. Lyrralt spoglądał na zwłoki Briah, przyciskając palce do lewego ramienia. Khallayne rzuciła okiem na spaloną ziemię na ścieżce. Jyrbian objął dowództwo. Tylko Tenaj pozostała niewzruszona, czujna i świadoma możliwości dalszego zagrożenia. - Musimy połapać konie - powiedział do niej. - Co prawda niewolnicy uciekli, ale nie oznacza to, że nie mogą wrócić. Wierzchowiec Briah został zabity, a pozostałe pierzchły w las. Skinąwszy głową, Tenaj oddaliła się, wołając Khallayne, by jej pomogła. Znalezione wreszcie konie były płochliwe; na ich uspokajaniu zeszły cenne chwile, gdy tymczasem Jyrbian popadał w coraz większe wzburzenie, przekonany o czekającej grupę kolejnej napaści. - Położę zwłoki Briah za sobą - oznajmiła Tenaj. Jyrbian pokręcił głową. - Nie. Chcę, żeby najsilniejsi wojownicy jechali pojedynczo na wypadek, gdybyśmy znów zostali zaatakowani. Wkrótce sprawdzili, czy któryś z wierzchowców nie odniósł obrażeń i byli gotowi do drogi. Nylora z oczami pełnymi łez podniosła miecz Briah, zdjęła ciężkie pierścienie z palców siostry i wstała. - To wina Igraine'a. To jego wina, że Briah nie żyje. Kiedy wrócimy do domu, już się postaram, żeby wszyscy się dowiedzieli o jego postępowaniu! Dopilnuję, żeby wszyscy dowiedzieli się wszystkiego! Khallayne sztywno dosiadła konia, nie rzuciwszy nawet okiem na rozhisteryzowaną ogrzycę.

Rozdział 7 - Jeśli to zdrada Rozległ się dźwięczny i majestatyczny głos gongu i jednocześnie otworzyło się pięcioro drzwi wychodzących na podwyższenie w sali Rady Panujących. Wstąpiło na nie pięciu nadętych w poczuciu własnej ważności pisarzy Rady, którzy nieśli przed sobą tace z przyborami do pisania. Publiczność, siedząca w półokrągłych rzędach od stóp platformy do tyłów sali, położyła prawe dłonie na lewych, które dotykały posadzki, i skłoniła się nisko. Najważniejsze

rody bądź ich przedstawiciele zajmowali miejsca z przodu, a co godniejsi członkowie rodów klęczeli wzdłuż środkowej nawy. Sala była wypełniona po brzegi, a z tyłu panował ścisk, jak codziennie od chwili, gdy tydzień temu zmarła Powierniczka. Każdego poranka tyłu ogrów, ile tylko było możliwe, wpychało się do komnaty w nadziei usłyszenia jakiegoś komunikatu w sprawie Historii. Pisarze zajęli miejsca za niskimi stołami rady, lecz nie usiedli. Po następnym sygnale gongu czworo z pięciorga członków Rady Panujących - Teragrym, Enna, Narran i Rendrad - wyszło z naprzeciwległych drzwi i zajęło swoje miejsca za długimi, niewysokimi stołami, zostawiając środkowe miejsce puste. Chwilę później ostatnia członkini, Anel, weszła środkowymi drzwiami i dołączyła do pozostałych. Jej rodzina sprawowała tradycyjnie opiekę nad królem, toteż ona była przywódczynią Rady. Pięcioro członków Rady jednocześnie uklękło na miękkich płóciennych poduszkach, które chroniły ich kolana przed chłodem posadzki. Wykwintne szaty otaczały dostojników kołami jaskrawych kolorów, srebrem haftowanym bielą, delikatną żółcią, błękitem ptasiego jaja, ciemną umbrą barwy przeoranej ziemi, a pośrodku stała przywódczyni w czystej niezdobnej szacie koloru rubinów. - Kim jest pierwszy klient? - Anel rozpoczęła oficjalne posiedzenie Rady rytualnym zapytaniem. - Ja, czcigodna pani. Przez publiczność przebiegł cichy szmer. Głos zabrał nie sekretarz dostojnego Narrana, lecz sam lord. - Przynoszę przed oblicze Rady sprawę rządowego bezpieczeństwa, zatem proszę, by opróżniono salę.

Znów rozległ się głos publiczności, ledwo słyszalny jęk rozczarowania. Rada często spotykała się za zamkniętymi drzwiami, lecz zwykle nie w dzień audiencji. Widzowie jednak zbierali się do wyjścia, wypełniając salę szelestem strojów. Kiedy wyszli już nawet pisarze i dostojnicy zostali sami, a drzwi zamknięto, Anel zwróciła się do Narrana: - Cóż jest tak ważnego, czcigodny panie, aby uzasadnione było takie przedstawienie? - Tego poranka doniesiono mi o sprawie, która moim zdaniem zasługuje na natychmiastowe rozpatrzenie, czcigodna pani. Anel lekko schyliła głowę, zezwalając mu na kontynuowanie wypowiedzi. - Czy ma to związek z Historią? - spytał Rendrad. Narran potrząsnął głową. - Nie, to sprawa jeszcze ważniejsza. Jestem przekonany, że Igraine, gubernator prowincji Kal-Theraxian, jest odpowiedzialny za powstania niewolników, które ostatnio dawały nam się we znaki. Enna omal nie wstała z poduszki. Choć Igraine'a mianowała gubernatorem cała Rada, Kal-Theraxian jej podlegało. Zimowa rezydencja władczyni znajdowała się w tej prowincji, niedaleko posiadłości Igraine'a, z której ściągала podatki stanowiące sporą część jej dochodów. - Narranie, posuwasz się za daleko! Wiem, że zazdrościłeś Igraine'owi zwielokrotnionej produkcji, ale... Narran również wstał, a jego żółtawozielona cera powlokła się ciemnym rumieńcem. - Nie zrobiłem... - Dość tego. - Anel uciszyła gniewne głosy ich obojga jednym cichym słowem. Kiedy oboje się uspokoili, powiedziała do Narrana: - Czy masz dowody na potwierdzenie swego zarzutu? - Znam szczegóły jego postępów. Kiedy już o nich usłyszysz, pewien jestem, że zgodzisz się co do tego, że winien jest zarazem zdrady i herezji. Enna zacisnęła pięść na gładkim pergaminie zaścielającym jej stół. - Herezji, Narranie? Chyba się mylisz! - Herezji - powtórzył stanowczo Narran. Anel westchnęła. - Zatem musimy wysłuchać tych szczegółów. Jeśli masz rację, pošlemy po Igraine'a. - Rzuciła Ennie pocieszające spojrzenie. - Będzie miał okazję, by się wytłumaczyć. - Lord Teragrym nie może cię teraz przyjąć.

Młody ogr w tunice ze smoczym herbem rodu Teragryma usiłował wypchnąć Jyrbiana z niewielkiej, prywatnej poczekalni. Otoczenie było przytulne i bogate, szare kamienne ściany pokrywały pyszne kobierce, a w palenisku trzaskał mały wesoły ogień, którego błyski odbijały się w marmurach kominka. Przy ogniu znajdował się stółek, na którym Teragrym zasiadał w komnacie audiencji. Wydawało się, że od tamtej chwili minęły miesiące, a nie zaledwie cztery tygodnie. Jyrbian otrzepał brudną tunikę i musnął krwawe plamy na rękawach, żalując, że nie poświęcił chwili

na przebranie się przed złożeniem raportu Teragrymowi. Im bardziej jednak w drodze powrotnej drużyna zbliżała się do Takaru, tym większą odczuwał potrzebę pośpiechu. Zbyt wiele osób wiedziało, co się dzieje, a Teragrym nie nagrodzi go za nowinę, którą może usłyszeć w jadalni. - Czy powiedziałeś mu, w jak ważnej sprawie muszę się z nim widzieć? - zapytał ogra, wyrывая się z jego rąk. - Czy powiadomiłeś go, że przed chwilą wróciłem z Kal-Theraxian, gdzie zostaliśmy napadnięci przez bandę zbiegłych niewolników? Nie dając się zbyć tak łatwo, młodszy ogr uśmiechnął się uprzejmie, skłonił i ponownie chwycił Jyrbiana za łokieć. - Ależ oczywiście. Jednak w tej chwili lord jest bardzo zajęty. Może jutro... Okazując widoczny brak manier, Jyrbian jednym haustem wypił kielich wina, który w drodze do komnaty Teragryma wziął od niewolnika na korytarzu. Delikatny, słodki płyn przyniósł ukojenie jego wyschniętemu gardłu i skołatany nerwom. - Zdaję sobie sprawę, że lord jest zajęty, jednakże muszę przekazać nowiny, które przyniosłem. Informacje o gubernatorze Igraine... - Nie dzisiaj. - Uprzejmy ton ogra znikł, zastąpiony przez kamienny chłód. - O tym lord Teragrym słyszał już dziś wystarczająco dużo. - Co chcesz przez to powiedzieć? - Nie słyszałeś? Rada właśnie wydała nakaz zatrzymania gubernatora. Został oskarżony o herezję. Jyrbian był tak osłupiały, że pozwolił się wypchnąć za drzwi. Khallayne czekała na korytarzu. W przeciwieństwie do niego wykapała się, zmieniła ubranie i wyszczotkowała swoje długie, czarne włosy. Miała na sobie jedwabną tunikę i haftowaną kamizelę. Uśmiechnęła się uprzejmie, jakby go ledwo znała, po czym pozwoliła, by służący Teragryma wpuścił ją do środka.

18. Dragonlance - Zaginione Opowieści 02 - Irdowie

Jyrbian kipiał z nieopanowanej wściekłości. Wyobrażał już sobie, jak Everlyn wyslizguje mu się z rąk. Zawiodły go nadzieje na otrzymanie posiadłości. Rzucił kieliszkiem w ścianę naprzeciw drzwi Teragryma. Okruchy posypały się na podłogę. Wewnątrz komnaty Khallayne zatrzymała się i uśmiechnęła, słysząc brzęk tłuczonego szkła. - Co to było? - spytał służący Teragryma. - Przypuszczalnie Jyrbian dał ujście swej frustracji. Teragrym nie kazał jej czekać długo. Kiedy wszedł, Khallayne położyła w błagalnym geście otwarte dłonie na podłodze wewnętrzną stroną do góry i nisko się skłoniła. Dopiero kiedy padł na nią cień lorda, powoli wyprostowała się. Teragrym siedział przed nią na stołku. - Panie... - Przybyłaś z Kal-Theraxian - przerwał jej. Zawahała się i zająknęła. Przez całą powrotną drogę powtarzała sobie w myślach, co mu powie. Nigdy tak bardzo nie pragnęła jego nauki. Nigdy jeszcze tak bardzo nie potrzebowała jego wsparcia. Powtarzała w myślach słowa, które znała na pamięć, zanim jeszcze ujrzała kościanobiałe wstęgi na miejskich bramach, barwy żałoby po Powiernicze. Teraz ledwo mogła je wykrztusić: - T... tak. By... byłam w Kal-Theraxian. - Z trudem odzyskała panowanie nad sobą. - Kilku znajomych pojechało tam z wizytą, a ja się przyłączyłam. Przykro mi, czcigodny panie. Czy powinnam była cię o tym powiadomić? - Powiedz mi, co tam widziałaś. - Co widziałam? Nie rozumiem. Widzieliśmy posiadłość i kopalnię. Gubernator Igraine... - Nie nadużywaj mojej cierpliwości! - warknął Teragrym. - Jestem pewien, że wiesz, co mam na myśli. Jak się zachowywał Igraine? Czy byłaś świadkiem czegoś, co można było uznać za zdradę? - Zawahał się, przeciągając ostatnie słowo, jakby spodziewając się, że wciągnie ją w pułapkę. - Zdradę... - Głos ugrzązł jej w gardle i ucichł w jej przyspieszonym oddechu. - Czcigodny panie, ja... - Przed oczami stanął jej Igraine mówiący w ciemności: „Być może któregoś dnia będziesz mogła mi pomóc”. Jednak jeśli skłamię Teragrymowi, a łgarstwo to zostanie wykryte... -Ja...

- Więc zauważyłaś jakieś zdradzieckie postępowanie czy nie? - Czcigodny panie, zechciej mi wybaczyć. Zaskoczyłeś mnie tak mocnym słowem. Widzieliśmy... ja widziałam Igraine'a i jego majątek. Poznałam jego rodzinę. Pokazał nam swoje nowe metody zwiększania dochodów z pracy niewolników. - A czy te metody nie sprawiały wrażenia zdradzieckich? Dokonała wyboru. Musiała stanąć po stronie Igraine'a. Zaczepnęła głęboko tchu. - Nie. - Słowo padło z jej ust, zanim się spostrzegła i nie można już było go cofnąć. Teragrym pokiwał głową. Jego oblicze było nieprzeniknione. - Czcigodny panie, przychodzę w sprawie próby. Mam coś, nad czym mógłbyś się zastanowić. - Próby? - Powiedziałaś, że gdybym udowodniła swoją wartość, zastanowiłbyś się nad przyjęciem mnie na swój dwór. - To wykluczone, nie mogę teraz zajmować się takimi sprawami. - Teragrym wstał. - Jestem pewien, że to zrozumiesz. Teraz, kiedy tak wiele dzieje się w sprawie Igraine'a, mam po prostu zbyt wiele spraw na głowie. - Co się dzieje? - Spojrzała na niego z osłupieniem i niedowierzaniem. Nie jest zainteresowany próbą? Jak może twierdzić, że nie jest zainteresowany? - Tak. Igraine został oskarżony o zdradę i herezję. Wysłano posła i strażę, by go aresztować i postawić przed obliczem Rady. Z pewnością jednak wszystko zakończy się pomyślnie, skoro ty byłaś w jego majątku i nie widziałaś niczego nadzwyczajnego. - Kapitanie. - Wysłannik Rady Panujących stał na górkim zboczu za zasłoną drzew, skąd rozciągał się widok na Khalever, posiadłość gubernatora Kal-Theraxian. Dla ochrony przed wilgotnym chłodem poranka zarzucił koc na mundur. Upłynie jeszcze wiele tygodni, zanim po jesieni nadejdzie zima. Ale już teraz niektóre z

wyższych przełęczy górskich były nieprzejezdne. Nawet na mniejszych wysokościach poranki i wieczory zrobiły się chłodne. Posłowi towarzyszyło pięciu strażników, po jednym na każdego członka Rady, akurat tyle, by ochronić go przed niebezpieczeństwami podróży. Nawet wysłanie tych pięciu poprzedziła zażarta debata Rady, podczas której Enna utrzymywała, że wystarczy tylko wysłać Igraine'owi wezwanie. Ostatecznie przekonało ich sprawozdanie Narrana. Poseł cieszył się, że ma ochronę.

Kapitan straży podeszła do niego z dwoma kubkami parującej herbaty. Nie potrzebowała koca, bowiem gwardziści nosili zimowe mundury z grubymi pelerynami. Wysłannik przyjął od niej herbatę z wdzięcznością i przed wypiciem pierwszego łyka ścisnął metalowy kubek w zziębniętych palcach. - Wydaje mi się, że będzie lepiej, jeśli nie będziecie się rzucać w oczy i pozwolicie mi zejść samemu. W końcu Igraine jest gubernatorem. Powinniśmy pozwolić mu godnie okazać posłuszeństwo bez stosowania przemocy. Kapitan, którym była ogrzyca o pół dłoni wyższa od wysłannika, wzruszyła ramionami. - To pańska misja. - Powiedziała to tak, jakby mu wcale nie zazdrościła. Wzięła z powrotem kubek i odprowadziwszy wysłannika do konia, przyglądała się, jak znika w głębi lasu. Na horyzoncie widoczne było już słońce, kiedy dostrzegła posła wyjeżdżającego spomiędzy drzew i udającego się w stronę długiej drogi, która wiodła do domu Igraine'a. Kapitan wróciła do swych żołnierzy, żeby sprawdzić, czy dobrze sobie radzą po kolejnej ciężkiej nocy spędzonej na szlaku. Podobnie jak ona nie byli przyzwyczajeni do nocy spędzonych w chłodzie na pustkowiu, lecz dumą napawał ją fakt, jak świetnie się przystosowali. Było już późne popołudnie, gdy jeden ze strażników postawionych na czatach zbliżył się do niej biegiem i oznajmił, że widział posła, który wracał z dworu tą samą drogą. - Czy był z nim Igraine? - spytała. - Był sam, kapitanie - rzekł zasapany młodzieniec. - Jestem jednak pewien, że to był on. Rozpoznałem jego konia. Jakiś czas później koń przyklusował do nich z przywiązany do siodła wysłannikiem, którego głowa odchyłała się do tyłu pod niemożliwym kątem. Odznaka Rady Panujących na przodzie jego munduru została zerwana. Powrotna podróż do Takaru zajęła straży jedynie cztery dni. Przybyli wyczerpani, ledwo trzymający się w siodłach, i natychmiast stawili się przed obliczem Rady. Drugiego posła wysłano pod ochroną dziesięciu strażników i rozkazami od Narrana, by pojmać Igraine'a. Grad strzał zaskoczył straże, zanim zdążyli wyjść z lasu na granicy majątku. Jedna z pierwszych utkwiała między oczami wysłannika. Gwardziści byli dobrze wyszkoleni i nieustraszeni, lecz nie widząc wroga, nie mogli walczyć. Tylko sześciu wróciło do Takaru.

Khallayne spędziła te dni na czekaniu, usilnie starając się zachować cierpliwość. Tydzień po powrocie straży wysłała Teragrymowi starannie sformułowany liścik zawierający sugestie, iż mogłaby przerwać ten impas, lecz nie otrzymała odpowiedzi. Choć po ataku niewolników w lesie jej stosunki z Lyrraltem nabrały bardziej przyjacielskiego charakteru, ogr znów przestał się do niej odzywać. Od Jyrbiana dowiedział się o jej wizycie u Teragryma i oskarżył ją o próbę przejścia , ponad jego głowę i odbieranie mu należnej nagrody. Jyrbian był naburmuszony, niedostępny i nie odzywał się do nikogo. Tak więc Khallayne grała ze znajomymi w gry planszowe i karciane, życząc sobie wreszcie zakończenia tego całego zamieszania, aby mogła wrócić do Kal-Theraxian i podjąć przerwane studia. Nie mogąc już dłużej wysiedzieć w zamku, z entuzjazmem dołączyła do większości dworzan, którzy wybrali się na ostatnie w tym sezonie wyścigi niewolników. Wstał jasny, słoneczny i wyjątkowo na tę porę roku ciepły dzień. Na zawodach zjawiała się połowa miasta. Olbrzymi owalny stadion był przepełniony roześmianymi, rozbawionymi ogrami. Zgiełk tak wielu osób stłoczonych w jednym miejscu był równie ogłuszający, co oślepiający był widok ich jaskrawych szat we wszystkich barwach tęczy. Zwykle Khallayne otrzymałaby zaproszenie od kogoś, kto miał dobre miejsca, lecz nie miała ochoty roztaczać swych wdzięków, więc przyszła sama i postanowiła zająć miejsce w

obszarze zarezerwowanym dla swego wuja. Choć brat jej matki kupił jej miejsce na dworze, unikała kontaktów z rodziną, jeśli tylko było to możliwe. Miała nadzieję, że jej obecność nie przypomni mu o długu. Sygnał rogu oznajmił rozpoczęcie pierwszych zawodów i Khallayne wraz z resztą widzów pochyliła się do przodu, by zobaczyć wyskakujących z bloków startowych biegaczy. Dziś jednak zawodnicy sprawiali wrażenie ociężałych i apatycznych. Sadzili nieśpiesznymi susami, najwyraźniej nie przejawiając zainteresowania sportową rywalizacją. - Widocznie trenerzy nie przedstawili im odpowiedniej motywacji - zauważył siedzący obok niej ogr, odległy kuzyn, który przyjechał do miasta z wizytą. Znudzona Khallayne wachlowała się. -- Jak trudne może być wytłumaczenie im tego? - odparła. - Biegaj albo zgiń. Odnieś zwycięstwo i żyj. Przyczyna zapewne leży jedynie w zakończeniu sezonu. Niewolnicy zawsze są wtedy zmęczeni. Ogr mruknął coś i pochylił się do przodu, gdy ogłoszono rozpoczęcie drugiego wyścigu. Khallayne nie wysilała się, by obserwować.

Drugi wyścig był równie nudny jak pierwszy. Nie było rywalizacji. Kiedy niewolnicy przekroczyli linię mety prawie ramię w ramię, ich trenerzy wyszli zza kulis, by pokazać się publiczności. Na widok batów w ich rękach okrzyki niezadowolenia zmieniły się w pochwalny ryk. Teraz Khallayne wychyliła się w przód, ludzi z toru zaprowadzono bowiem do słupów wznoszących się pośrodku stadionu. Wyczuwała falę podniecenia, które ogarnęło widzów. Pierwszy trzask bata uderzającego o ciało zabrzmiał niczym muzyka, pieśń bólu, której żaden ogr nie mógł się oprzeć. Khallayne zamknęła oczy, a potem z zaskoczeniem znów je otworzyła, słysząc nagły ryk tłumu po drugiej stronie stadionu. Cokolwiek się działo w pobliżu miejskiej bramy, najwyraźniej było bardziej podniecające od chłostania niewolników. Nowina dotarła do niej w ciągu kilku zaledwie chwil. Do miasta sprowadzono Igraine'a, aby postawić go przed Radą. Do czasu, gdy zrozumiała, co się dzieje, tłum już ją pchał w stronę wysokiego brzegu stadionu nad główną ulicą. Dotarła do odległej nawy i zeszła po szerokich stopniach na dół. W ciemnych korytarzach, które prowadziły na ulicę, panował prawie taki sam zamęt jak na górze. Nie była jedyną osobą, której przyszło na myśl wyjść na ulicę i popatrzeć. Przeciskała się przez zbiegowisko, nie zważając na protesty popychanych i potrącanych, którzy z kolei wpadali na nią. Używała odrobiny magii, tu szturchając jednego ogra, tam kłując innego, dyskretnie, lecz dość silnie, by usunąć ich ze swej drogi. Wyszła na ulicę i stanęła w słońcu, które oślepiło ją tak samo jak kłębiący się tłum. Orszak Igraine'a już przeszedł. Khallayne wahała się, kręcąc bez celu po szerokim chodniku i ze wstrętem myśląc o powrocie do środka. Dzięki temu dowiedziała się czegoś, czego nigdy by się nie domyśliła, gdyby nie znalazła się w cizbie kupców i pospólstwa. Wyglądało na to, że nie wszyscy byli przychylni wydanej przez Radę decyzji o przesłuchaniu Igraine'a. Dla niej było to objawienie, bowiem wychowano ją w przeświadczeniu, że nie wolno sprzeciwiać się rozkazom przełożonych. Jakże naiwna była, sądząc, że tylko ona jedna sprzyja Igraine'owi! Poszła po swego konia i natychmiast wróciła do zamku. W stajni i na dziedzińcu, a nawet w korytarzach panowało niemal takie samo podniecenie jak na stadionie. Wystarczyło tylko trochę powęszyć, by stwierdzić, że Igraine przebywa jako „gość” w skrzydle Enny, a dzięki niewielkiej łapówce zdołała wślizgnąć się przez mały korytarz do wyznaczonego mu apartamentu.

Igraine siedział przed trzaskającym ogniem, wyciągnąwszy do niego dłonie i stopy obute w wysokie buty. Kiedy Khallayne wychynęła zza drzwi, podniósł wzrok i uśmiechnął się smutno. - Zapomniałem już, jakie przeciągi panują w tym zamku. Komnatę czuć było chłodem i wilgocią dawno nie zamieszkanego pomieszczenia. Sprzęty w niej były nie mniej bogate niż w innych częściach zamku, ogromne łoże uginało się od koców, a na stoliku z boku stały przykryte tace z jedzeniem, lecz sama komnata wciąż przywodziła na myśl celę więzienną. - Nie powinnaś była przychodzić, Khallayne. - Igraine wstał i odpowiedział na jej szybki ukłon lekkim skinieniem głowy. - Musiałam

przyjść. Musiałam... - Co musiałaś, dziecko? - Zbliżył się do niej, ścisnął jej zimne palce i przyciągnął ją do ognia. - Nie wiem - przyznała, zaskoczona tym, że rzeczywiście nie wie. - Chcę, żebyś wiedział, że jednemu z członków Rady powiedziałam, że nie zauważyłam niczego, co moim zdaniem zasługiwałoby na miano zdrady. - Dziękuję. - Poklepał ją po dłoni. - Nie jest zdradą próba zwiększenia dochodów jednej z prowincji państwa. Nie jest zdradą próba ratowania swego narodu. - Dlaczego więc zabiłeś wysłanników? - To nie ja. - Usiadł ciężko na krześle. Uczynili to moi niewolnicy za pozwoleniem niektórych członków mojej rodziny. Nie wiedziałem o niczym, dopóki nie przyjechał trzeci. Khallayne westchnęła z ulgą. - W takim razie wszystko będzie dobrze. Wystarczy, że im powiesz i... Smutek na jego obliczu jeszcze się pogłębił. - Niczego nie rozumiałaś, prawda? Nic z tego, o czym ci opowiadałem przez te dni w Kal-Theraxian. Oczywiście, że rozumiała. ale... - Nie mogę poświęcić swych niewolników, żeby samemu się ratować! Jeśli to uczynię, moje przekonania okażą się nic niewarte! - Ależ przecież to tylko niewolnicy. Zawsze możesz kupić następnych. Igraine zerwał się z krzesła z twarzą wykrzywioną grymasem i wtedy po raz pierwszy Khallayne ujrzała potężnego i strasznego gubernatora Kal-Theraxian, w którego prowincji panował największy spokój w górach. - Oprócz zabójstw ci niewolnicy niczemu nie są winni! Gniew Igraine'a zgasł równie szybko, jak się pojawił, a jego miejsce ponownie zajął smutek. Nagle gubernator wydał jej się bardzo stary.

- Khallayne, czy nie widzisz, co się dzieje z naszym światem? Czy nie widzisz, że jeśli teraz nie dokonamy zmian, czeka nas zagłada? Wyciągnął do niej rękę, aby podeszła bliżej. - Nasza cywilizacja niegdyś kipiała bujnym życiem. Nasi obywatele byli wojownikami i złodziejami. Zagarnialiśmy z całego kontynentu wszystko, co najlepsze. Teraz prawie niczego nie robimy sami. Nasi wojownicy są zniewieściali i bezużyteczni, a nasz naród sfrustrowany. Nasze okrucieństwo domaga się cierpienia innych. Khallayne uklękła przed nim, urzeczona siłą jego głosu i oczarowana logiką rozumowania. - Igraine, gubernatorze Kal-Theraxian, zostałeś oskarżony o zdradę i herezję oraz narażanie życia sąsiadów i przyjaciół przez zachęcanie niewolników do powstania. Khallayne klęczała jak uprzednio w pokoju Igraine'a, lecz teraz była wciśnięta między Jyrbiana i nieznaną ogrzycę. Igraine natomiast przedstawiał swoje racje przed Radą. - Nie jest zdradą dziesięciokrotne powiększenie dochodów mojego majątku - argumentował. - Nie jest herezją łagodne traktowanie niewolników, jeśli pracują dwukrotnie ciężiej. - A owa filozofia wyboru, którą głosisz? - spytał Narran. - To, co nazywasz „wolną wolą”? - Nasze obyczaje są surowe - odparł z dumą Igraine, na tyle głośno, by nikt nie wątpił, że wierzy w to, co mówi. - Jesteśmy samolubni, będąc jednocześnie orędownikami ładu i posłuszeństwa. Zniewoliły nas nasze żądze. Przez to staliśmy się oziębli, a w naszych wnętrzach gości pustka. Dzień po dniu toczy nas rozkład, a wewnętrzna brzydota zaczyna być widoczna na zewnątrz. Zgromadzeni westchnęli. Niektórzy zasyczeli cicho przez zęby, lecz to go nie powstrzymało. - Czas już, żebyśmy sami zdecydowali o własnej przyszłości i przeznaczeniu. Jesteśmy pierwotnymi dziećmi bogów, najbardziej błyskotliwymi, najlepszymi. Najpiękniejszymi. Czyż nie czas już, abyśmy dorośli i zrealizowali swój potencjał? Khallayne drgnęła niezauważalnie. Było duszno i gorąco, a w powietrzu wisiała ciężka woń perfum i zapach ciał. Zatęskniła za świeżym, orzeźwiającym podmuchem. Słowa Igraine'a, które wczorajszego dnia wydawały się tak rozsądne, przed obliczem Rady nosiły znamię szaleństwa. Mimo to, rozejrzawszy się, spostrzegła, że nie wszyscy mieli

go za niespełna rozumu. Niewielka, bardzo niewielka grupka przyglądała mu się tak jak ona wczoraj, urzeczona siłą jego głosu. Igraine zakończył swą żarliwą przemowę, odwracając się plecami do Rady i otwierając ramiona, jakby chciał wziąć w objęcia wszystkich słuchaczy. - Jestem przekonany, że wielu z was zgadza się ze mną i podziela moje poglądy. Przyłączcie się do mnie.

Pokażcie swojej Radzie, że nie mamy złych zamiarów. Khallayne oddech uwiązał w gardle. Kilkoro sąsiadów i członków rodziny Igraine'a, którzy znajdowali się wśród publiczności, podniosło się z miejsc i stanęło obok niego przed obliczem Rady. Spojrzenie Igraine'a omiotło salę, zachęcając następnych do wystąpienia, i dłużej zatrzymało się na niej. Jego wzrok przypominał jej ból uzdrowienia Lyrralta. Wahala się, cała spięta. Kiedy właśnie zamierzała wstać, Jyrbian położył rękę na jej przedramieniu. Wyglądało to na niewinny gest, lecz palce przekazały ciężar całego ciała. - Sądzę, że czeka go bardzo zły los - szepnął Jyrbian, nachylając się bardzo blisko, ledwo poruszając wargami. - I to samo będzie z każdym, kto się od niego nie odsunie.

Rozdział 8 - Zewsząd czyha niebezpieczeństwo Khallayne zakradła się na palcach na swoje miejsce tuż zanim zaczęto ogłaszać wyrok. Wyciągnęła szyję i zajrzała w głąb nawy na przód sali, gdzie przy tronowym podwyższeniu klęczeli członkowie rodów. Tylko rodzinom i sprzymierzeńcom Rady Panujących wolno było klęczeć w obecności króla. Reszta stała w szeregach w kolejności, o której decydowała ich ważność i dziedzictwo. Inni w głębi sali audiencyjnej, podobnie jak Khallayne, przestępowali z nogi na nogę i wyciągali szyje, by ujrzeć swego władcę. Publiczne wystąpienia króla były rzadkim zjawiskiem, prawdopodobnie nie wróży to niczego dobrego dla Igraine'a, pomyślała. W świetle dnia ogromna sala, w której rozstrzygano sprawę gubernatora, wyglądała zupełnie inaczej niż wtedy, gdy Khallayne ją ostatnio widziała. Sufit nikiel w mroku nie rozjaśnionym blaskiem świec, ściany znów były z zimnego granitu, który odbijał echa najłżejszego szeptu czy skrzypnięcia buta. Nie odśpiewano Historii. Khallayne poczuła ukłucie żalu. Jak dziwne wydawało jej się rozpoczęcie oficjalnego posiedzenia bez przypomnienia o tym, skąd się wzięli. Teragrym nadal nie chciał się z nią widzieć. Nawet Lyrralt ulitował się i porozmawiał z nią o tym. Wychyliła się jeszcze dalej w głąb nawy, łudząc się, że go dostrzeże, lecz nie była pewna, gdzie stoi. Żal nie był wystarczającym powodem, by skłonić ją do oddania Pieśni zamkniętej w kryształ. Słuchając jej od urodzenia, wszyscy ogrowie znali jej słowa na pamięć, lecz splot skomplikowanych melodii, kolejne warstwy znaczenia, subtelne zmiany tonu ze słowa na słowo, a czasami z sylaby na sylabę, nie były tak łatwe do odtworzenia. To pozostawało zamknięte w kuli. Rozprawę otworzyło wezwanie, aby wystąpić i poddać się osądowi. Nastąpiło ożywienie, otworzyły się bowiem wielkie drzwi na końcu sali i rozpoczęła się procesja, wpierw drobnych urzędników i podwładnych, a następnie pomniejszej szlachty. Wreszcie, po długiej przerwie, weszła Rada Panujących, olśniewając wszystkich jaskrawymi barwami swych tunik, a za każdym z jej członków stapał chorąży z proporcem. Następnie, po kolejnej chwili oczekiwania, wszedł król otoczony chorążymi i nosicielami buław, a za nim największy i najwspanialej odziany orszak.

Kiedy wszyscy podeszli powoli do podwyższenia i zajęli miejsca, królewski marszałek z wielkim namaszczeniem weszła po stopniach i skłoniła się królowi. Khallayne dreptała w miejscu, życząc sobie, aby się pośpieszyli. Czowała zimną i nierówną podłogę przez podeszwy cienkich, eleganckich pantofelków. Dostojniczka, chuda, lecz szeroka w ramionach ogrzyca o twarzy pobrużdżonej wiekiem, stuknęła trzykrotnie okutym stalą trzonkiem laski o posadzkę. - Czcigodny Igraine, gubernatorze Kal-Theraxian, stań przed nami i wysłuchaj osądu! - zawołała dudniącym głosem. Khallayne zrobiła głęboki wdech i cofnęła się na swoje miejsce, usuwając się wszystkim z oczu. Nagle pożałowała, że przyszła. Obecność była obowiązkowa, lecz z pewnością nikt by nie zauważył, że jej nie ma. Po kolejnej długiej przerwie Igraine powoli ruszył długą nawą, trzymając głowę wysoko i dumnie. Przez salę przebiegł szmer, wszyscy bowiem zauważyli, że nie szedł sam, jak zwykle oskarżeni o poważne zbrodnie. Za nim kroczyli odziani w odświętne szaty przedstawiciele odgałęzień jego rodziny i przywódcy sąsiednich klanów, niektórzy nawet z bardzo odległych prowincji. Khallayne wypatrzyła Jyrbiana, który przepychał się przez tłum krewnych do

przejścia po drugiej stronie nawy, bliżej przodu sali. Podobnie jak ona, byli tak wstrząśnięci liczebnością grupy za Igraine'em, że zignorowali to niewybaczalne zachowanie młodzieńca. Khallayne słyszała monotony głos dostojniczki, która odczytywała oficjalne oskarżenia i zarzuty z powództwa wzajemnego. Ramię w ramię z Igraine'em stało niemal pięćdziesięciu ogrów, uczestnicząc w tym bezprecedensowym pokazie solidarności. Czy zdawali sobie sprawę, że to nie było posiedzenie Rady, na którym mogli wyrazić swe opinie? Wczorajsze ryzyko skażenia przez obcowanie z Igraine'em było niczym w porównaniu z tym publicznym popisem. Jeśli zostanie uznany winnym zdrady i herezji, stojący u jego boku zostaną również obciążeni tym samym wyrokiem! Poszukała w tłumie Lyrralta. Nigdzie nie było go widać, lecz Jyrbian wciąż stał tuż przy przejściu, wpatrując się - z otwartymi ustami w plecy sprzymierzeńców Igraine'a. Jakby wyczuwając jej wzrok, odwrócił się i spojrzał na nią. Zauważywszy dezaprobatę w grymasie jej warg i ściągnięciu brwi, wzruszył ramionami, lekko unosząc dłonie. Czy to ją ocali przed podejrzeniami, ten ostentacyjny pokaz łaskawości ze strony tak wielu ogrow?

Werdykt odczytywał jeden z urzędników Rady głosem zbyt cichym, by można go było posłyszeć, lecz słowa zostały podchwyczone na przedzie i dotarły jak echo na krańce sali, zanim jeszcze dostojniczka zdążyła je obwieścić. Oto wyrok sądu. - Niespełna rozumu... - Herezja... - Winny... - Winny... - Winny... Głosy wznosiły się i opadały w osłupieniu, radości i rozpacz. Khallayne gwałtownie odwróciła głowę. Na chwilę straciła grunt pod nogami, odbierając szepty jak wymierzony jej policzek. Winny! Winny! Winny! Co teraz się stanie? Ogień. Czerwony. Pałacy. Przed nią majaczyła jakaś usiana mięsistymi naroślami i wykrzywiona chytrze twarz, w której łypały mętne i szalone oczy. Dłoń o palcach pokrzywionych jak karłowate gałązki złapała ją za ramię. Khallayne otworzyła usta do krzyku. - Khallayne, obudź się! Sen urwał się gwałtownie, brutalnie przechodząc w rzeczywistość. Ogrzyca zdusiła krzyk, budząc się w ciemności i czując zapach Jyrbiana. Nachylał się nad jej posłaniem, budząc ją potrząsaniem za ramię. Żar w kominku rzucał bardzo słaby blask, więc nie dostrzegała jego twarzy, lecz z głoszącego sposobu, w jaki ścisnął ją za ramię, można było wyczytać napięcie. - Zbudź się! Odepchnęła jego rękę i usiadła. - Co tam? Co się stało? - Musimy jechać. Ubieraj się. - Szarpnięciem zerwał z niej koce, ledwo rzucając okiem na jej nagość. Khallayne szybko wstała i sięgnęła po narzutkę. - Zostaw to. Ubierz się w strój podróżny. Mocne ubranie, dobre buty. - Jyrbian podszedł do jej garderoby i przejrzał wiszące tam szaty. Khallayne prędko przywdziała bieliznę, mimo jego poleceń decydując się na umieszczenie najbliższej skóry warstwy delikatnego jedwabiu, a na wierzch narzuciła wytrzymałszy strój z płótna.

Jyrbian wyrzucał z szafy ubrania - spodnie do konnej jazdy, bluzkę z długimi rękawami, tunikę i pelerynę. - Co się stało? - spytała, ubierając się. - Dwóch stronników Igraine'a nie żyje. Oficjalnie zginęli podczas próby ucieczki. Nieoficjalnie od noża jednego z oprawców służących Radzie. - Oprawców? - Katów. Zostali zamęczeni na śmierć. Straceni za popieranie Igraine'a. Khallayne zamarła bez ruchu z palcami wplątanymi w sznurowadła wysokich butów do konnej jazdy. Zamęczeni. Straceni. Nagle jej palce zaczęły żyć własnym życiem, szybko kończąc swoje zadanie. - Dokąd jedziemy? - wyszeptała. - Zwolennicy Igraine'a pomagają mu zbiec dziś w nocy. Pojedziesz z nimi na północ. - Nie rozumiem. - Zwolennicy Igraine'a... - Ale czemu musimy z nimi jechać? - przerwała. - Nie wstaliśmy razem z nim. - Lyrralt widział listę podejrzanych o sympatyzowanie. Twoje imię jest na niej. Moje też. Khallayne tupnęła o posadzkę, zarówno po to, by dać ujście złości i frustracji, jak i po to, by buty ułożyły się wygodniej na nogach. - Gdzie na północ? - Być może do Thoradu. Albo Sancronu. Może będziemy zmuszeni wybudować własne miasto. - W jego głosie pobrzmiwało podniecenie. Północ. Skinęła głową, przełykając ślinę i ukrywając strach. Całe życie czekała, by rozwinąć swą magię. Teraz... nie było innego wyjścia. - Tu są moje sakwy podróżne. -

Wyrzuciła zawartość bogato rzeźbionego kufra na podłogę i rzuciła Jyrbianowi ciężką skórzaną torbę do zawieszenia przy siodle. Ogr chwycił skórzaną sakwę. - Masz ekwipunek podróżny na zimę? Na północnych przełęczach będzie zimno. - Tutaj. - Wskazała kolejną skrzynię pod oknem. Kiedy Jyrbian zajęty był upychaniem wełnianych spodni i jej zimowej peleryny do toreb, zapakowała szczotkę do włosów, perfumy, kilka klejnotów i jedyną ludzką księgę czarów, której nie miała serca zniszczyć. Był to bardzo stary tom z bardzo podstawowymi zaklęciami, lecz okładka i pismo były tak piękne, że nigdy nie odważyła się go spalić. Przerzuciwszy sobie ciężkie, wypchane sakwy przez ramię, Jyrbian chwycił Khallayne za rękę w chwili, gdy wsuwała księgę do torby. Przechylił jej nadgarstek, aż jasny blask z

kominka padł na ciemnoczerwoną okładkę i załśnił srebrzyście we wklęsłych runach. - Nauczysz mnie? - spytał cicho. Khallayne była zdumiona lekliwym szacunkiem, a jednocześnie pożądaniem w jego głosie. Kierowana starymi powodami chciała już mu odmówić, gdy nagle uświadomiła sobie, że teraz może postępować wedle własnej woli. - Czemu nie? Jyrbian wybuchnął śmiechem wraz z nią i chwyciwszy Khallayne za rękę, wyciągnął ją na ciemny korytarz. Razem pobiegli do stajni. Kiedy opuścili budynek, przyłączyły się do nich inne ciemne postaci, które bezszelestnie przemykały w ślad za Jyrbianem od cienia do cienia. W stajni i przy południowej bramie na ziemi leżały zakrwawione zwłoki strażników z poderżniętymi gardłami lub pierzastymi strzałami sterczącymi z ciał. Żaden nie wyciągnął broni. Wszyscy zginęli w nieświadomości, nie zdążywszy ogłosić alarmu. Opuszczając galopem dziedziniec z pozostałymi, Khallayne obejrzała się na leżące ciała. Nie ma już powrotu dla żadnego z nich. Przejechali szybko przez uśpione dzielnice, wybierając boczne uliczki i zaułki za wspaniałymi domami. Konie miały kopyta owinięte szmatami, a oni sami byli tak pozastłaniani połami peleryn i płaszczy, że Khallayne rozpoznała jedynie Tenaj, i to tylko po jej na wpół dzikim ogierze, którego nikt inny nie potrafił dosiąść. Zatrzymali się w pobliżu dzielnicy handlowej. Jyrbian i dwóch innych zsiadło i szybko zerwało sznurek, którym przymocowano szmaty do końskich kopyt. Na wydane szeptem polecenie grupa podzieliła się na dwójki i trójki. Wśród nocnej krzątany i zgiełku panującego w okolicy magazynów i karczem prawie nie zwracano na nich uwagi. Khallayne jadąca między Jyrbianem a kimś, kogo nie знаła, nie wypuszczała sztyletu z ręki, czekając w napięciu na jakąś przeszkodę czy zawadę. Kiedy nad głowami zaświszczła im alarmowa raca z zamku, nie byli tym zaskoczeni. Khallayne obejrzała się przez ramię i dostrzegła strzelający w niebo nad zamkiem słup białych iskier i ognia. Wtedy nie mieli już czasu na strach ani zastanawianie się. Usłyszała syk Jyrbiana: - Jedź! - i ścisnęła boki wierzchowca, zmuszając go do galopu. Serce jej podskoczyło, gdy kopyta zwierzęcia poślizgnęły się na brukowanej ulicy. Przez chwilę obawiała się, że się przewróci, lecz chwilę potem koń odzyskał równowagę i popędził za ogierem Jyrbiana. Gnali w stronę południowej bramy, tej samej, którą drużyna wybrała się zaledwie kilka tygodni temu w podróż do Kal-Theraxian.

Czy Jyrbian nie wspominał, że jadą na północ? Słyszała jednak za sobą tętent koni reszty grupy, która galopowała w ślad za Jyrbianem. Popuściła wodze swemu wierzchowcowi i miała nadzieję, że Jyrbian wie, co robi. Mimo niebezpieczeństwa, jakie wiązało się z tak szaleńczą jazdą w ciemności, bez przeszkód minęli ciemny stadion i miejską bramę. Jeśli teraz spadnie, co najwyżej naje się ziemi, zamiast roztrzaskać sobie czaszkę jak skorupkę jajka na nierównym bruku ulicy. W miejscu, gdzie rozwidlenie zwężającej się drogi nikło w lesie, grupa licząca mniej więcej piętnaście osób stanęła i zaczęła się kręcić bez celu. Khallayne zauważyła, że Jyrbian i Lyrralt wyklócili się z Tenaj i nieznaną kobietą. - ...północ - mówiła Tenaj. - Dołączyć do pozostałych. Czyż nie spodziewają się, że wrócimy do Kal-Theraxian? - To pierwsze miejsce, gdzie wyślą wojska - przyznała kobieta. - Ja wracam do Kal-Theraxian - oznajmił Jyrbian tak spokojnie i stanowczo, iż nie uległo

wątpliwości, że nie zmieni zdania. - Zgadzam się jednak, że powinniście jechać na północ. Twierdzą tylko, że powinniście zawrócić przez las do głównego traktu. Pierwszą rzeczą, jaką zrobią, będzie wystawienie straży przy wszystkich miejskich bramach. Jeśli zawrócicie wzdłuż murów i pojedziecie na północ, będziecie musieli minąć wschodnią bramę. Lyrralt potwierdzają kiwnął głową. - On ma rację. - Czy zdołamy jednak przejechać przez las? - spytała Khallayne. - Ja znam ścieżkę myśliwych - rzekła Tenaj. Bez dalszych sporów zawrócili na południe w stronę gór. Jechali szybko, bez zatrzymywania się. Khallayne słyszała, jak koń ciężko pod nią dyszy, robiąc bokami podczas wspinaczki po stromym szlaku. Wreszcie dotarli do skrzyżowania na myśliwskiej ścieżce, zaledwie większego odstępu między grubymi pniami drzew. Za milczącą zgodą wszystkich zatrzymali się i zsiadli z koni. Khallayne ledwo mogła chodzić. Na uginających się nogach doszła do pobocza ścieżki, usiadła i popatrzyła w szarą nicość nieba przed świtem. Ktoś podał jej manierkę z wodą. Piła tak łapczywie, że woda kapała jej z podbródka. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek czuła się tak zmęczona i wyczerpana. Powoli docierał do niej fakt, że współtowarzysze podróży byli równie wycieńczeni i podobnie jak ona siadali gdzie popadło.

Tylko Jyrbian i Tenaj byli na nogach, wędrując od konia do konia, głaszcząc zwierzęta i wyklócając się. Tenaj usiłowała przekonać Jyrbiana, że koniecznie powinien jechać z nimi przez grań na północ do Thoradu. Khallayne wstała z wrazeniem, że cały ciężar gór spoczywa na jej kościach i podeszła do Lyrralta, który siedział oparty o chropowaty pień drzewa w takiej pozycji, jakby jego kark nie miał już siły utrzymywać głowy. Po raz pierwszy od tygodni uśmiechnął się do niej bez złośliwości, podając jej bukłak. W środku było słodkie wino, dużo lepsze od letniej wody, którą wypija kilka chwil temu. - Czemu Jyrbian upiera się przy powrocie do majątku Igraine'a? - spytała, pociągnąwszy głęboki łyk płynu i poczuwszy, jak jego siła i ogień spływają jej w gardło. - Dla kobiety. Dla czegoż innego? Sama Everlyn, otulona narzuconym na nocny strój ciepłym szalem, otworzyła drzwi Jyrbianowi, który natarczywie walił w bramę majątku Khalever. Uchyliła odrobinę ciężkie, rzeźbione wrota i spojrzała lękliwie na niego i na pięcioosobową drużynę, która wciąż siedziała na koniach w pobliżu schodów. Na jej widok uśmiechnął się. Była taka drobna, taka delikatna, taka piękna. Potem uświadomił sobie, że sądząc z jej szeroko rozwartych, wielkich oczu, jego pojawienie się musiało ją przerazić. - Czcigodna pani, wybacz mi. - Złożył jej zamaszysty ukłon, którego jak sięgał pamięcią, nigdy dotychczas nie wykonał bez nonszalancji. - Przybyłem na polecenie twego ojca, by zabrać cię w bezpieczne miejsce. - Mojego ojca! - Everlyn otworzyła drzwi na oścież. - Och, proszę, powiedz, czy jemu nic nie grozi? Jyrbian obrzucił wzrokiem poblady i przerażonych ludzi i ogrów, którzy zbili się w gromadkę na korytarzu za jej plecami. - Tak. W chwili, gdy o tym mówimy, zabierają go w bezpieczne miejsce na północy. Jej ciemnosrebrne oczy, które dotychczas były smutne i zimne niczym granit, rozpromieniły się wewnętrznym światłem. Odmiana przypominała cudowny wschód słońca, który wypełnił Jyrbiana ciepłem i światłem. Jej radość równie szybko zmieniła się w zakłopotanie. - Zabrano go w bezpieczne miejsce? Nic nie rozumiem. Nie przyjedzie do domu? Jyrbian chciał wyjaśnić, lecz brzęk uprzęży i niecierpliwe tupanie koni przypominało mu o ważności misji. - Pani... - Wziął ją za łokieć i odprowadził z powrotem do domu. W

korytarzu wciąż panował półmrok i chłód wczesnego poranka. - Rada uznała, że twój ojciec jest niespełna rozumu. - Niespełna rozumu! Za co? Głos był znajomy, bezczelny. irytował Jyrbiana. Ogr odwrócił się i ujrzał Eadamma, który stał w drzwiach sali audiencyjnej. Niewolnik patrzył mu prosto w oczy. Za nim stała następna grupka niewolników ubranych w stroje służby domowej. Jak gdyby wyczuwając jego rozdrażnienie, Everlyn położyła dłoń na ramieniu Jyrbiana i zaprowadziła go do pokoju, wymijając Eadamma. - Proszę, Jyrbianie, co się stało z moim ojcem? Łatwo było pójść za jej

słodkim głosem, odwrócić się od brzydkiego, zadufanego w sobie człowieka i skupić na niej uwagę. Zauważył ostrzegawcze spojrzenie, jakie posłała niewolnikowi. - Rada uznała go winnym zdrady i herezji z powodu głoszonych przez niego nauk. W słabym świetle ciemnozielona cera Everlyn wydawała się woskowa. - Zdrada. - Tak. Miał jednak wielu popleczników, którzy zbiegli z nim na północ. Przybyłem, żeby ciebie też zabrać. Wzrok Everlyn powędrował od Jyrbiana ku grupie niewolników. - Mam stąd wyjechać? - szepnęła. - Everlyn, tu już nie jest bezpiecznie. To pierwsze miejsce, w którym królewscy żołnierze będą szukać twego ojca. Zebrani spojrzeli wpierw na niego, a potem na siebie. W ich oczach powoli zaczynało świtać zrozumienie. Jedna z ogrzyć podeszła do wysokiego okna i wyjrzała na zewnątrz. Kiedy się odwróciła, ponuro skinęła głową do pozostałych. - On ma rację. Powinniśmy jechać. Tylko Everlyn nie była pewna. Jyrbian dostrzegł niezdecydowanie w ułożeniu jej delikatnych ramion i lśniącej wilgoci, jaka zbierała się w kącikach jej oczu. Podeszła do kominka i wzięła krwawnik. Tuląc go w dłoniach, szepnęła: - Ale tu jest mój dom. Zanim Jyrbian zdążył odpowiedzieć, Eadamm odparł szybko i zdecydowanie: - Czcigodny pan ma rację, panienko. Nie byłabyś tu bezpieczna. Pomyśl. co mogliby zrobić twemu ojcu, gdyby wzięli cię jako zakładniczkę. Spełniłby każde ich żądanie, nawet gdyby musiał pójść na śmierć.

Świadom minut, jakie upłynęły podczas ich debaty, Jyrbian okiełznał chęć powiedzenia ludzkiej istocie kilku ostrych słów. Jeśli ten człowiek zdoła przekonać Everlyn, chwilowo puści mu wykroczenia płazem. Wciąż nieprzekonana, ogrzyca przyciskała duży kamień do piersi. - Nie mają prawa... - Mają wszelkie prawo - odparł Jyrbian. - Ta ziemia z ich woli jest własnością twego ojca. - Zaatakują nas - powiedział Eadamm. - A ci ludzie zginą, broniąc cię. - Wskazał na zebranych ogrów i niewolników. Ze łzami płynącymi po twarzy Everlyn skinęła głową na zgodę. - Pojadę - szepnęła. Wciąż ściskając w dłoni krwawnik, gestem poleciła dwóm niewolnikom iść za sobą. - Zabiorę swoje rzeczy. Eadammmie, pójdziesz ze mną? Mam polecenia dla pozostałych. Musimy też wysłać gońców z ostrzeżeniem dla sąsiadów. Kiedy decyzja została już podjęta, Everlyn i jej rodzina wzięła się szybko i sprawnie do roboty, budząc resztę domowników, karmiąc dzieci, pakując ubrania, narzędzia, jedzenie i broń. Do czasu, gdy wszyscy zebrali się przed domem, niewielka, czteroosobowa drużyna Jyrbiana powiększyła się do czternaściorga dorosłych i trójki dzieci, a każdy z nich dosiadał dobrego konia. Zachowywali ład i porządek, jakby uczyli się tego przez całe życie. Obeszli dom prowadzeni przez Everlyn ścieżką przez falujące łąny, którą, jej zdaniem, dotrą dużo szybciej do górskiego szlaku wiodącego w stronę jaskiń. Kiedy wyszli z za rogu dworu, Jyrbian dostrzegł gwałtowny ruch w rejonie chat niewolników. Kobiety i dzieci objuczone tobołkami z dobytkiem na plecach znikwały w wysokim zbożu. Na innych ścieżkach w falującym morzu złota dostrzegł broń połyskującą w porannym słońcu. Ogr wyprostował się i stanął w strzemionach, sięgając po miecz. Everlyn powstrzymała go, łapiąc wodze jego konia. - Nie ma powodu do niepokoju - rzekła. Coś w jej głosie przeczyło temu, jakieś drobne zająknięcie, zadyszanie. - Niewolnicy uciekają - oznajmił. - Zbroją się! - Tak - odparła, tym razem zalęknionym głosem jak zbuntowane i wystraszone dziecko, które stoi przed rodzicem. Obejrzała się ze smutkiem, który szpecił jej śliczną twarz. - Będą strzec naszej ucieczki. A co do zbiegów... Mogą iść, gdzie chcą. Darowałam im wolność. - Darowałaś im wolność! - Poczul przerażenie, zdumienie i brak zdecydowania. Już było za późno, by zawrócić i wyłapać uciekających niewolników. Było ich zbyt wielu, a ogrów za mało i nie mieli czasu do zmarnowania. Wtedy nagle uświadomił sobie, co zrobiła.

Wszystkie jego uczucia ustąpiły podziwowi. - Na bogów - rzekł do niej, ściskając jej dłoń - cóż za podstęp! Kiedy przybędzie królewski regiment i stwierdzi, że niewolnicy zbiegli, nawet nie pomyśli o pościgu. To było genialne! Dał koniowi ostrogę i pognął naprzód. Przejazd Jyrbiana

splószył stado ptaków. Z chrapliwym krzykiem protestu zerwały się z zarośli i wzbiły w niebo, wybijając brązowymi skrzydłami takt jego pulsu, muskając jego twarz podmuchami ciepłego powietrza. Obejrzawszy się przez ramię, by się upewnić, czy pozostali jadą za nim, ścisnął boki konia i pomknął przed siebie, wyobrażając sobie, że on również rozpostarł skrzydła. Jadący przypominali barwną wstążkę z jedwabiu i wełny, która wije się przez złote pole. Nad pszenicą unosiły się gęste jak kurz obłoki sploszonych owadów, które trzepotały opalizującymi skrzydłami. Jechali przez pola i rozległe łąki. Przez rzekę, której woda pokrywała cienką, srebrzystą warstwę podłoże z białych kamyków. Podczas przejazdu wzbili w powietrze hałaśliwą fontannę kropel iskrzących się jak ogień w porannym słońcu. Everlyn dotrzymywała kroku Jyrbianowi, pokazując drogę przez pola, bezpieczne miejsca, któredy można było skręcić i przeciąć łąki. Jechali coraz wyżej w góry pod osłoną gęstej wiecznie zielonej roślinności oraz dębów, które chroniły ich przed upałem i słońcem. Hałas, jaki czynili przechodząc z trawiastej łąki na twardo ubitą ziemię, ranił uszy Jyrbiana. Chyba słysząc ich było w całym lesie. Znów wysunął się naprzód, galopując co sił stromą górską ścieżką. Kiedy zniżyli się do Jaskiń Bogów, zwolnił i wysłał wpierw zwiadowcę, by się upewnić, że okolica jest bezpieczna. Potwierdziwszy to, zarządził postój. Pierwszy dotknął stopami ziemi, zeskakując zwinnie, aby pomóc Everlyn zsiąść z konia. Dziewczyna wyglądała blado i przez chwilę wspierała się na jego ramieniu, rozprostowując nogi. - Jak sobie dajesz radę, pani? - Szybko wrócił do swego konia i przyniósł jej bukłak pełen wina. Upiła delikatnie łyk i oddała mu manierkę. - Ciężka jazda. Kiedy pozostali zsiadli z koni, wszędzie dały się słyszeć jęki i westchnienia, zarówno radości, jak i bólu. Zdawało się, że jazda nie miała wpływu tylko na dzieci, które uganiały się dookoła, śmiejąc się i wrzeszcząc. Ciotka Everlyn chwyciła jedno z przebiegających obok starszych dzieci. - Wpierw zadbajcie o wasze wierzchowce - wydała gniewnie polecenie. - Potem możecie się bawić.

Konie były spienione i wciąż zdyszane. Kiedy Jyrbian również poszedł napić swego ogiera, wytrzeć go i nakarmić garścią owsa, zdał sobie sprawę, że grupa, z którą rozpoczął wyprawę, podwoiła swą liczebność. Na otwartej przestrzeni przed wejściami do grot kłębił się tłum. Do czasu, gdy zarządził kolejny postój, drużyna znów się powiększyła i tak działo się przy każdym następnym przystanku, aż Jyrbian stanął na czele grupy liczącej przeszło sto osób.

Rozdział 9 - Bitwy wygrane i przegrane Osoby, które się przyłączyły, nie wpłynęły znacznie na spowolnienie tempa marszu. Dwa tygodnie później, na rozstajnych drogach wysoko w górach na północ od Takaru, Jyrbian dogonił mniejszą drużynę, która opuściła miasto wraz z nim. Trzy dni później sprowadził ich do niewielkiej kotliny, gdzie dołączyli do grupy, która zbiegła z Igraine'em. - Nie mam pojęcia, skąd oni się wszyscy wzięli - zdumiał się Jyrbian. - Są z Kal-Theraxian. Z majątków graniczących z moim - odparł Igraine, wcale nie zdziwiony wielkością podążającej za nim kawalkady. - Pochodzą z rozmaitych dzielnic. Z miejsc, z których ogrowie wyruszyli, by obrać nową drogę życia. Everlyn, która trzymała ojca za rękę, jakby nie chciała go już nigdy wypuścić, rozejrzała się i zobaczyła znajome twarze. - Tam jest lord Nerrad z Bloten i pani Rychal. Jej ziemie graniczą z naszymi na wschodzie. Wydaje mi się również, że to większość klanu Aliehów... - Wskazała na liczną gromadkę w większości młodych ogrów, którzy sprawiali wrażenie, jakby byli na pikniku, a nie uciekali w obawie o życie. Piknik przerwał pędzący na złamanie karku ogr, który przejechał im po kocach, rozpędzając dorosłych oraz dzieci i rozrzucając jedzenie. Jeździec brutalnie szarpał za wodze, usiłując zwolnić, aż wreszcie zwierzę stanęło dęba i zatrzymało się. Jeden z Aliehów już podchodził do konnego z miną, która niedwuznacznie świadczyła o jego zamiarach, lecz słowa jeźdźca sprawiły, że stanął jak wryty. - Królewska konnica! - Przybysz machnął ręką w stronę, z której przyjechał. - Szybko się zbliża! - Przeklęty idiota...! - Jyrbian ruszył w stronę ogra, a jego

następne słowa utonęły w zgiewku jęków i krzyków tłumu, który napierał na przybysza. Jakieś dziecko zniosło się przenikliwym płaczem, który podjęły inne dzieci. Jyrbian dotarł do jeźdźca i ściągnął go z konia. Inny ogr, prawie wzrostu Jyrbiana, choć nie tak muskularny, dobiegł do nich obu i wyciągnął rękę. Jyrbian przypomniał sobie, że widział go wśród tłumu w Khalever, kiedy wyjeżdżali. - Co to ma znaczyć? - warknął. - Jestem Butyr, siostrzeniec Igraine'a - odparł ogr, próbując złapać niedawno przybyłego jeźdźca. Jyrbian nie chciał go jednak wypuścić z rąk i odwróciwszy się, wyprowadził młodzieńca ze środka zbiegowiska, tak potrząsając nim po drodze, że ten szedł niemal na palcach.

- Wysłałem zwiadowców na zachodni szlak, żeby jechali za nami - oznajmił Butyr, dołączając do Igraine'a, Everlyn, Lyrralta, Tenaj i dwóch innych, nieznanymi Jyrbianowi, którzy szybko otoczyli ich kręgiem. Wreszcie Butyrowi udało się wyrwać jeźdźca z rąk Jyrbiana. Ogr spojrzał na niego wściekle. Wysłanie zwiadowców było doskonałym pomysłem, który powinien wyjść od niego. Wtrąciła się Tenaj: - Czy polecieś im też wjechać do obozu i wszcząć panikę? - warknęła. Butyr zwęził groźnie małe oczka. - Jasne, że nie! - Powiedziałeś, że jadą konni? - wtrącił płynnie Igraine, mówiąc do zwiadowcy. Ogr pokiwał głową. Był blady. - Szybko się zbliżają. Podążają naszym śladem, ale poruszają się tak, jakby już wiedzieli, gdzie jesteśmy. Butyr popatrzył na Jyrbiana z odrazą, jakby to on ponosił winę za tę sytuację. - Oni pewnie też rozesłali zwiadowców. Jak daleko są za nami? - spytał Butyr. - Trzydzieści minut. Może czterdzieści. Jechałem najszybciej, jak mogłem. - Ilu? - zacięła się Tenaj. - Nie umiem powiedzieć. Pięćdziesięciu, siedemdziesięciu, może więcej. Wjeżdżali na grań w miejscu, gdzie ścieżka jest wąska. Jadą po dwóch w szeregu, więc nie widziałem końca oddziału. Butyr klepnął ogra po ramieniu. - Świetnie się spisałeś, Eilec. Dajesz nam czas na zorganizowanie obrony. Butyr zawołał po imieniu kilku swoich kuzynów, machając do nich ręką, by podeszli. Jyrbian rozpaczliwie wodził wzrokiem, próbując zorientować się w układzie topograficznym terenu zasłanianym przez rozgorączkowany tłum. Znajdowali się w kotlinie na rozdrożu szlaków, które rozchodziły się we wszystkie strony świata. Butyr przykucnął i szybko narysował na ziemi półkole, przedstawiające plan obrony. - Możemy wysłać rodziny w dalszą drogę. Rozstawimy wszystkich, którzy potrafią dobrze władać mieczem, tu i tu. - Wskazał punkty po obu stronach drogi. - Nasi łucznicy powinni znaleźć się tutaj. Jyrbian popatrzył na pobliski tłum. Łucznicy? Z tego, co mówił Butyr, prawie spodziewał się ujrzeć pułk elegancko odzianych wojowników, a nie zmęczoną rzeszę uciekinierów. Ach tak, przypomniał sobie, że niektórzy poplecznicy Igraine'a nosili łuki przewieszane przez ramię. Rzadko też zdarzał się ogr, którego nie nauczono w dzieciństwie posługiwać się bolasami na zawodach. Całe letnie wieczory spędzano na tym zajęciu, które uważano za umiejętność odpowiednią dla osób z wyższych sfer.

Tak więc plan Butyra potencjalnie mógłby się powieść, gdyby nie wysokość, na jakiej się znajdowali. Las był rzadki, a cienkie drzewa o bladej korze stanowiły kiepską osłonę. Jyrbian usiłował przypomnieć sobie ścieżki na północ i na zachód. - Czy jedna z nich przypadkiem nie prowadziła w górę, a potem wiodła po równym terenie, by znów wznieść się przed samym szczytem? - szepnął do Tenaj, która spojrzała wprawdzie na północ, potem na zachód, przypominając coś sobie, a następnie wskazała na północ. Igraine kiwał głową, przyglądając się znakom narysowanym przez Butyra na ziemi. Jyrbian zerknął prędko na Lyrralta i wystąpił naprzód. - Nieprzyjaciel zaatakuje z góry - rzekł szorstko. - Zostaniemy wycięci w pień. Everlyn pobladła na twarzy. Jyrbian dostrzegł, jak zaciska palce na ramieniu ojca. Butyrowi oczy pociemniały z gniewu. Wstał powoli i stanął naprzeciw Jyrbiana. - Zapewne chciałbyś, abyśmy odjechali najszybciej, jak to możliwe - rzucił szydyczko. Jyrbian wyprostował się. Górował wzrostem nad mniejszym mężczyzną. Spośród przysłuchujących się oarów tylko jego brat był równie wysoki. - Chciałem jedynie powiedzieć, że powinniśmy wycofać się północnym szlakiem do miejsca, gdzie grunt się wyrównuje. - Pogardliwym

gestem stał plan Butyra i narysował nowy. - Wtedy możemy postawić łuczników tutaj, w miejscu, gdzie królewska kawaleria będzie jechać pod górę. Szermierze mogą poczekać w tyle na każdego, kto będzie dość śmiały lub głupi, by się przedrzeć. Pamiętajcie, królewskie wojsko składa się w głównej mierze z gwardii honorowej, która wprawiała się w pełnieniu ceremonialnych obowiązków, noszeniu sztandarów i tym podobnych rzeczach. - A ty zapewne wprawiałeś się w posługiwaniu się mieczem, wielmożny Jyrbianie - rzekł Butyr. Zanim Jyrbian zdążył odpowiedzieć, wtrącił się Igraine: - To dobry plan, który zawdzięczamy wam obu - rzekł, kładąc duży nacisk na słowo „obu”. - Everlyn powiedz pozostałym, żeby pomogli ci wyprawić dzieci w drogę. Jyrbianie, ty pojedziesz naprzód i wybierzesz stanowiska. Butyr podzielił wszystkich na grupy. Jyrbian skinął głową i złożywszy szybki ukłon Everlyn, oddalił się długimi krokami. Lyrralt poszedł z nim w milczeniu, dosiadł konia i pojechał za nim północną ścieżką. Jyrbian rzucił mu wodze i pieszo wspiął się na najwyższy punkt drogi, żeby rozejrzeć się z góry. Kiedy przyglądali się długiej kawalkadzie mijających ich rodzin i starszych ogrów, Jyrbian spytał: - Gdzie jest Khallayne? Przydałaby mi się na tym wzniesieniu.

Lyrralt spojrział na niego jak na szaleńca, lecz powiedział tylko: - Poszła naprzód z pozostałymi. - Co ci jest, bracie? Lyrralt spojrział na niego, a potem znów w dół na dzielących się na grupy towarzyszy, z których część już wydobyła miecze. Widział słońce lśniące w ich ostrych klingach. - Czy cię to wcale nie niepokoi, że będziemy walczyć z naszym królem? - To ich szyje, nie nasze - odparł ostro Jyrbian. Kiedy Lyrralt nie odpowiedział, dokończył jeszcze surowiej: - Jeśli nie chcesz walczyć, idź z dziećmi. Nie płacz się pod nogami. Lyrralt zeszywniał, reagując wściekłością na gniewne spojrzenie Jyrbiana. - Będę walczył, bracie. Po prostu to mi się nie podoba. Mimo ostrych słów, jakie posłał Lyrraltowi, Jyrbian był wstrząśnięty, kiedy wśród szarżującej pod górę królewskiej konnicy ujrzał twarze, które widywał na turniejach, kolacjach i zebraniach. Łucznicy okazali się niezwykle skuteczni i zmusiliby wroga do odwrotu, gdyby było ich wystarczająco wielu. Byli dość liczni, by spowodować straty i opóźnić pochód nieprzyjaciela, lecz nie na tyle, by powstrzymać nieuniknione natarcie na górę. Natchniony szaloną odwagą Jyrbian wyszedł pieszo na spotkanie gwardii. Kiedy zwałił pierwszego ogra z konia, a jego miecz zderzył się z drugim wysoko w powietrzu, poczuł w krwi i kościach zew bitwy. Zapomniał o strachu. Wróg był tuż tuż, więc zadawał ciosy na lewo i prawo, nie ustępując pola, ani też nie cofając się nawet o krok podczas parowania. Lyrralt, Tenaj i Butyr byli zmuszeni zostać u jego boku albo pozwolić mu zginąć. Pokrzepieni jego odwagą i przyciągnięci jego morderczym szałem inni ogrowie przyłączyli się do walki z równie dzikimi i wykrzywionymi wściekłością twarzami. Klinga przedostała się przez gardło Jyrbiana i musnęła jego bok, lecz nie poczuł bólu. Ciepła, śliska wilgoć pociekła po ciele wewnątrz tuniki; kiedy przycisnął rękę do mokrego miejsca, nie zaprzestając walki, poczuł jedynie uniesienie. Jego miecz zataczał doskonale łuki, które były tak harmonijne i płynne, jak poezja w powietrzu. Królewska kawaleria przewyższała ich samą liczebnością, lecz Jyrbian dobrze wybrał miejsce. Jadąca pod górę gwardia nie miała szans. Ziemia zmieniła się w krwawe błoto. Mieli pod nogami trupy poległych towarzyszy. Wróg zrezygnował wreszcie i wycofał się, zostawiając pole walki usiane pierwszymi ofiarami wojny Igraine'a. Jyrbian wzniosł ręce gestem radości i dziękczynienia. Żądza krwi, boskie błogosławieństwo, spłynęło na niego i jego wojowników.

Nadał jechał na czele oddziału w stroju, w którym walczył, ubraniu przesiąkniętym krwią własną i wroga. W poplamionych, porwanych jedwabkach sam wyglądał jak bóg ciemności, dumny, arogancki i triumfujący. Jadąc szybko, bez trudu dogonili grupę wysłaną przodem. Przepelnione podziwem i wdzięcznością oczy mężczyzn, kobiet i dzieci śledziły Jyrbiana, który wjeżdżał do obozowiska na czele swych wojowników. Nie wzbudził tylko podziwu jednej osoby, tej, na której najbardziej mu zależało. Everlyn, z twarzą pobruźdowaną od troski, wbiegła w tłum matek witających

synów, mężów witających żony i dzieci płaczących się wszędzie pod nogami, rozpaczliwie szukając swego ojca. Kiedy znalazła go u boku Jyrbiana, jej oblicze rozpromienił uśmiech. - Pani - rzekł Jyrbian, kłaniając się. - Obym ja wywoływał taki uśmiech na twojej twarzy. Zarumieniona dziewczyna odwróciła się, by powitać ojca. W tym momencie Jyrbian postanowił, że stanie się każdym, kim będzie musiał, i zrobi wszystko, co będzie konieczne, by jej twarz chochlika rozpromieniła się tak na jego widok. Za to oblicze Khallayne rozjaśniło się na widok jego i Lyrralta, który wciąż snuł się za nim niczym milczące, nadąsane widmo. Wyciągnęła ramiona do Jyrbiana i uściskała go z całych sił, jakby nie chciała go nigdy wypuścić, jakby byli dawno rozdzielonymi kochankami. - Bałam się... - szepnęła, obejmując go mocno. - Już myślałam, że cię nigdy nie zobaczę. W chwilowym przyływie dobrego humoru przycisnął ją mocno do siebie i bez trudu zakręcił dookoła, choć dorównywała mu wzrostem. - Tęskniłaś więc za mną? - szepnął, odwracając głowę tak, że jego oddech łaskotał ją w kark. - Okropnie - zaśmiała się Khallayne, lecz kiedy odsunęła się i spojrzała na Lyrralta, jej twarz spoważniała. - Co się stało? - Jesteś ranny? Sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego. Wzięła go za rękę. Były zimne jak lód. Jyrbian parsknął i odwrócił się na pięcie, zostawiając ich wpatrzonych w siebie i ściskających się za dłonie, jakby reszta świata przestała istnieć. Poszedł poszukać innego uzdrowiciela, który zajmie się jego raną na boku. Nie ufał własnemu bratu na tyle, by powierzyć mu jej wyleczenie. Khallayne ledwo rzuciła okiem na oddalającego się ogra. Widziała, że Lyrralt bardziej cierpi. - Lyrralcie? Mocniej ścisnął jej palce. - Khallayne, czy wiesz, co widziałem? - szepnął głosem pełnym napięcia. - Koniec... Zagładę. Potrząsnęła głową.

18. Dragonlance - Zaginione Opowieści 02 - Irdowie

Mamrotał ledwo zrozumiałe słowa o bitwie, o oglądaniu ciał znajomych ogrów, o krwi, odłamkach kości i mieczach błyszczących w słońcu. Coś o przyszłości i runach. I znów słowo zagłada. Jego palce wiły się w jej dłoni. Wyrwała dłoń z cichym krzykiem. - Khallayne? - Lyrralt wyciągnął do niej rękę i tym razem jego dotyk był delikatny. - Przepraszam. Nie chciałem cię przerazić. Tylko... tylko... - Co? - Nic. - Odwrócił się, szukając oczami Igraine'a i znajdując go. Musiał czym prędzej położyć kres temu szaleństwu. Poszedł za falującą ciżbą, która zbiła się wokół Jyrbiana. Jego brat, odziany już w czystą tunikę i bez śladów rany, argumentował za podziałem grupy zwolenników Igraine'a i wysłaniem rodzin z dziećmi przodem. - Wojownicy zostaną strzec tyłów. Wiem, że Takar nie zrezygnuje tak łatwo. Obserwujący go Lyrralt nagle przypomniał sobie, jak kiedyś Jyrbian w paradnym mundurze głosił, że pewnego dnia wojownicy znów będą potrzebni. Butyr był przeciwny rozdzielaniu grupy. - Pokonaliśmy najlepszych żołnierzy, jakich może wysłać dwór. Chwilowo nie mamy czego się obawiać. Ponaglani przez Igraine'a ogrowie dosiedli koni i ruszyli w drogę, nie osiągnąwszy porozumienia. Przez następny tydzień, jaki zajęła im podróż przez najbardziej wysuniętą na południe część gór Khalkist na północ od Takaru, Butyr i Jyrbian wiedli żaźarty spór. Podzielić się czy zostać razem. Udać się na północ czy na zachód. Próbować osiedlić się w Thoradzie czy wybudować sobie własny nowy dom. Igraine, który mógłby położyć kres wszystkim kłótniom, przysłuchiwał się i nie wyrażał własnej opinii. Rozpoczęli wspinaczkę w głąb gór. Szlaki, dotychczas szerokie i uczęszczane, zwężyły się, całymi milami prowadziły przez wertepy, a na koniec zarosły korzeniami. Gęste poszycie leśne znikło, na miejscu dębów rosły drzewa iglaste, a grunt był skalisty. Noce stały się chłodniejsze. Obfita dotychczas zwierzyna łowna, dzięki której ich wieczorne obozowiska wypełniał zapach smakowitego gulaszu, stała się teraz rzadkością. Kłótnie ustały. Grupa skręciła na zachód, przedzierając się ku gościnniejszej okolicy. Khallayne starała się jechać jak najczęściej obok Jyrbiana albo Lyrralta. Żaden z nich nie był idealnym towarzyszem podróży. Jyrbian spędzał wieczory na dyskusjach z Butyrem albo siedział bez słowa przy ognisku Igraine'a jak najbliżej Everlyn.

Lyrralt zamknął się w sobie, był nieobecny duchem i poświęcał wieczory na obcowanie ze swym bogiem. - Odnoszę wrażenie, jakbyśmy ugrzęźli - oznajmił. - Jakbyśmy dryfowali. - Dziecinne bzdury - odparł Jyrbian. Khallayne jednak wiedziała, że to coś więcej. Wyczuwała moc Lyrralta me gorzej od swojej własnej. - Zagłada. - nalegała. - Dlaczego to powtarzasz? - Ponieważ powiedział mi o tym Hiddukel. - Tylko tyle usłyszała od niego. Khallayne otworzyła usta, by zadać kolejne pytanie, gdy koń przed nią stanął dęba. Dosiadająca go kobieta upadła na plecy ze strzałą sterczącą z piersi! Krzyknęło dziecko. Wokół rozszalało się piekło. Strzały latały gęsto jak pszczoły. Konie wpadły w popłoch. Tenaj, która spadła, kiedy wierzchowiec przed nimi stanął dęba, krzyknęła, omal nie stratowana przez spłoszone zwierzęta. Nie wiadomo skąd pojawił się Jyrbian i chwyciwszy w garść poję jej tuniki, ściągnął ją spod kopyt spłoszonych koni. Kiedy nad głowami świsnęła im strzała, wypuścił tunikę ogrzycy z rąk. - Schyl się! - krzyknął, ściskając boki swego konia. - Wszyscy pochylić się! Khallayne wykonywała wolty, usiłując zobaczyć, kto atakuje i skąd. Strzały zdawały się nadlatywać z każdej strony. Na pytanie, kim był napastnik, otrzymała odpowiedź natychmiast. Mężczyzna za Khallayne pochylił się bezwładnie. Strzała ogrów w jego czole nosiła jaskrawe barwy klanu Redienhów. Ogrzyca schyliła się niżej nad końskim karkiem. Mięśnie zwierzęcia drżały pod

jedwabistą skórą. Khallayne miała ochotę zanurkować w gęste zarośla porastające obie strony szlaku, lecz brakło jej odwagi. Nie śmiała nawet zsiąść z konia. Słyszała w oddali głos Jyrbiana, który wydawał rozkazy. Pojechała w jego kierunku. Z prawej strony dobiegł ją śpiew stali zderzającej się ze stałą oraz bitewne okrzyki i domyśliła się, że jej towarzysze opuścili ścieżkę i w pogoni za przeciwnikiem zagłębili się w lesie. Wyprzedzający ją na drodze Jyrbian rzucił się w wir żartowej walki niczym mroczny bóg wojny, straszny i piękny. Stał w strzemionach pośród świszczących wokół niego strzał. Jedną ręką jakimś cudem panował nad koniem, podczas gdy drugą dawał znaki łucznikom, by zasypali strzałami lewą stronę drogi, a ogrom z mieczami, by zsiadli z koni i zaszli wroga z prawej strony.

Widząc, jak Jyrbian świetnie panuje nad sytuacją i jak jest nieustraszony, Khallayne sama przestała się bać. Rzuciła się w odmęt walki. Zapach krwi odurzył ją i wprowadził w czystą euforię. Rozkoszne uczucie możliwości użycia magii bez żadnych ograniczeń sprawiło, że wszelkie obrazy i dźwięki przestały do niej docierać. Moc wypełniła ją tak gwałtownie, że nawet nie musiała kierować nią dłońmi. Rozproszona wiązka wystrzeliła z jej umysłu. Wrogi gwardzista, który znajdował się najbliżej Jyrbiana, unosił łuk. Padł natychmiast z pękniętym sercem. Strużka krwi, która ciekła mu z kącika ust, była jedynym widocznym śladem obrażeń. Khallayne odczuła tę śmierć, tę nagłą eksplozję drobnych żyłek i podtrzymujących życie arterii, jako porażający przyływ mocy. Zgięła się w pół, uderzona w klatkę piersiową śmiercią ogra jak pięścią. Nie było jednak czasu na zastanawianie się. Odwróciła się, znów wysłała falę magii i poczuła wzbierającą energię, zginęło bowiem dwóch kolejnych ogrów. I jeszcze dwóch. - Khallayne! Khallayne! Tam! Wchłonęła z powrotem dość mocy, by odzyskać zdolność widzenia. Jyrbian nadal stał w strzemionach z wzniesionym mieczem, który ociekał krwią. Lyrralt był u jego boku. Jyrbian wskazał na prawo od niej, w stronę lasu. - Tam! Zawrócił konia i niemal stratował jednego ze swych żołnierzy, żeby podjechać do niej. - Tam! - Znów wyciągnął rękę. - Łucznicy. Możesz trafić łuczników? Spojrzała w tę stronę, lecz widziała jedynie barwne plamy tu i tam wśród gęstwiny drzew i pnączy. Tylko grad nadlatujących stamtąd strzał dawał jej pewność, że nieprzyjaciel tam jest. Stojąc pomiędzy Lyrraltem po jednej stronie i Jyrbianem po drugiej, zamknęła oczy i wyobraziła sobie las, poszycie i ogrów, którzy czają się pod jego osłoną, wyłaniają się, by wypuścić strzałę i znów się chowają. Budziła się w niej magiczna moc, która wrzaskiem i miotaniem się żądała uwolnienia. Khallayne wyzwoliła ją. Las ożył. Tam gdzie pokazywał Jyrbian, wszystkie pnącza, źdźbła trawy i liście drgnęły, przeciągnęły się, poruszyły i nabrały życia. Ogr na prawo od Jyrbiana wrzasnął. Odpowiedziały mu jak echo jeden po drugim kolejne krzyki w dalszych szeregach walczących. Jyrbian na chwilę zamarł w bezruchu. Chłód ściał wszystkie mięśnie w jego ciele. - Khallayne! - krzyknął załamującym się, a potem silniejszym głosem na widok pnącza pełzającego mu nad głową. - Khallayne, zapanuj nad tym!

Nie wiedział, czy go usłyszała, lecz las odwrócił się od sprzymierzeńców Igraine'a do napastników. Usłyszał krzyki wrogów, wpierw zaskoczone, a potem ostrzegawcze, pełne cierpienia, niepewności i przerażenia. Puściwszy luźno wodze, Khallayne siedziała sztywno w siodle, patrząc przed siebie szklistym wzrokiem. Jyrbian rozejrzał się wokół. W pobliżu zauważył znów dosiadającą konia Tenaj. - Pilnuj jej - polecił, pokazując Khallayne. Nie wiedział, czy to bezpieczne, lecz mimo to zjechał z ścieżki w las. Wszystko się poruszało - liście, pnącza, obumarłe gałęzie - łapało, oplątywało i zabijało. Nieprzyjaciel tkwił w ich morderczym uścisku. Pnącza grube jak jego ramię oplotły i owinęły łuczników. Zgniatwały ich ciała na miazgę. Dalej w gęstwinie były kolejne potworności, kolejne zmiażdżone ciała i trupy wbite na grube gałęzie żywych drzew. Chorąży wypuścił z rąk buławę; zwłoki leżące obok mej pokrywały pełzające, wijące się liście. Cienkie i ostre jak żyłotka pnącze zsunęło się z gałęzi i zaatakowało Jyrbiana jak wąż. Ogr cofnął się i przeciął

je mieczem. Z odciętej gałęzi trysnęła zielona posoka. Coś zasyczało. Jyrbian zawrócił konia i wbił mocno pięty w jego boki. Bakrell odwrócił się od widoku na zamkowy dziedziniec i Takar o poranku. - Kaede, nie możesz tego zrobić! Kiedy jego siostra wyjmowała ubrania z szafy i zanosila je na łóżko, Bakrell chodził za nią krok w krok. Wyjęte torby podróżne były już częściowo wypełnione. Kaede ułożyła kolejny stos ubrań obok tego, który już tam leżał, zdjęła następne narzędzie z wieka pobliskiego kufra, po czym odpowiedziała: - Czemu nie? - Ponieważ... Ponieważ to szaleństwo. To niebezpieczne, oto czemu! Kobieta parsknęła śmiechem. - Stałeś się miękki, Bakrell, zbyt przyzwyczajony do jedwabiu i niewolników. - Potarła brokatowe wyłogi jego wyszywanej kamizeli. Umilkłszy na chwilę, ogr obserwował, jak jego siostra wyciąga wszystkie zapakowane rzeczy, by znów je przejrzeć. Ułożyła na łóżku niewiarygodną kolekcję zarówno luksusowych, jak i praktycznych przedmiotów, w tym wysadzaną klejnotami bransoletę, która była warta tyle, co wszystko pozostałe razem. - Po co ci to? - Podniósł jedwabną koszulkę, tak miękką i delikatną, jakby utkały ją pająki.

Kaede wyrwała mu ją z rąk i uniosła brew. - Nigdy nie wiadomo, co się może przydać. Nie wyrzekam się kompletnie cywilizacji. - Ty rzeczywiście aż się palisz do tej przygody, prawda? Nie masz żadnych oporów przed rezygnacją z tych wygod. - Zatoczył krąg ręką, wskazując urządzonej z przepychem pokój. - Rzeczywiście, nie mam. - Wzięła od niego bransoletkę i przyglądając mu się figlarnie, wsunęła ją na nadgarstek, chowając pod mankietem kosztownej, skórzanej kurtki do konnej jazdy. Ogr przyglądał się torbom na łóżku jeszcze tylko przez chwilę, po czym podjął decyzję. - W porządku, pojedę z tobą. - Co takiego? - Możesz jeszcze trochę odwlec podróż, póki się nie spakuję. I tak nie mogę zrozumieć, czemu musimy wymykać się w środku nocy - rzucił przez ramię w drodze do drzwi. - Może wolałbyś opuścić zamek jutro rano po obfitym śniadaniu, ogłaszając wszystkim w zasięgu słuchu, że chcesz przyłączyć się do tego heretyka Igraine'a? - zawołała do niego. Zatrzymał się na progu, uśmiechając się szeroko, a w jego oczach błysnęło podniecenie. - Nie zapomnij zapakować jedzenia. Obszarpani, okrwawieni, pokonani członkowie klanu Redienhów wjechali do kamienistego parowu. Popołudniowe słońce jarzyło, a z czerwonych, skalistych ścian po obu stronach szerokiej ścieżki promieniowało odbite ciepło. Za milczącą zgodą wszystkich grupa zwolniła tempo, kiedy tylko opuścili las i znaleźli się w wąwozie. Jadąca na czele drużyny Dana obejrzała się za siebie, upewniając się, że jej brat wyjechał spośród drzew. Wzdrygnęła się na wspomnienie konarów trzeszczących przy energicznych ruchach i pnączy, które pełzły po ziemi ku niej. W najstraszniejszych koszmarach nie śniło jej się coś podobnego! Kiedy zaczął się atak, Raell trzymał się blisko niej, choć był szermierzem, a ona łuczniczką. Uważał, że osłania młodszą siostrę. O mało co nie przypłacił tego życiem. Kiedy las ożył... Mimo słonecznego ciepła ściślej otuliła ramiona peleryną. Zacisnęła w garści srebrną zapinkę z wizerunkiem kondora, symbolem Sargonnasa, którą miała pod szyją. Oboje mieli szczęście, że uszli z życiem.

Tak pogrążyła się w rozmyślaniach, że spostrzegła ożywienie w szeregach dopiero wtedy, gdy Raell podjechał do niej galopem. - Co się dzieje? - spytała, nagle zauważając jakieś zamieszanie na przedzie. Spójrz! - Wskazał na widoczne na końcu wąwozu barwne stroje żołnierzy, którzy wyjeżdżali im na spotkanie i łopoczące nad nimi żywo proporce w kolorach klanu Signet, a w szczególności na jeden ze znakami wodza klanu. - Posiłki! Posiłki. To oznaczało zawrócenie, być może kolejną bitwę. Myśl o następnych potyczkach nie budziła w niej niechęci. Natomiast myśl o powrocie przez las - owszem. Siedzący wysoko w koronie drzewa cień wyplątał się z gęstwiny i szybko zsunął na ziemię, czasami przeskakując ponad pół metra z konaru na konar. Ludzie na dole wzdychali za każdym razem, gdy dziewczyna wypuszczała gałąź z dłoni i za każdym razem, gdy chwyciła następną. Eadamm uśmiechnął się od ucha do ucha, gdy zatrzymała się na ostatniej gałęzi,

zawisając niebezpiecznie kilka metrów nad ziemią. - Przestań się popisywać - zawołał z udawaną surowością. - Powiedz, co widziałaś. Dziewczyna zeskoczyła z wysokości ostatnich trzech metrów i wylądowała na ziemi z donośnym łomotem. - Dwie albo trzy nowe kompanie ogrów w żółtych strojach z błyszczącą gwiazdą tutaj. - Narysowała kwadrat nad lewą piersią. - Niedobitki tamtej grupy przyłączyły się do nich. - Klan Signet - przerwał jej Eadamm. - Co robią? Dziewczyna uśmiechnęła się. - Obozują. Eadamm wykrzywił wargi w dzikim grymasie. Jego zęby błysnęły biało w ciemnej twarzy. - Zaatakujemy o zmierzchu. - Zupełnie nie rozumiem, po co mamy w ogóle atakować - zaprotestował Jeb, jeden z generałów Eadamma. - Jesteśmy wolni. Mamy niecałe trzy dni drogi do równin. Do domu! Eadamm poprawił na biodrach skradziony ogrzy miecz. Choć niektórzy przywdziali skradzione ogromne piękne szaty, on nie chciał nałożyć nawet peleryny swoich byłych panów. Nosił koc z wyciętymi dziurami na ręce i głowę, który narzucił na porwane i brudne ubranie niewolnika. - Jak długo twoim zdaniem będziemy wolni, jeśli nie uczynimy ni- czego dla powstrzymania ogrów? Może ty dożyłbyś końca swego życia jako wolny człowiek. A co z naszym ludem? Jeśli nie powstrzymamy ogrów, złapią po prostu nowych niewolników i zaczną od początku. Jeb zerknął na niego. - Chcesz tylko ochronić swego byłego pana!

Eadamm miał już coś odpowiedzieć, lecz zamiast tego tylko wzruszył ramionami. - Powtarzam, jeśli tego nie zrobimy, jak będziemy mogli kiedykolwiek czuć się bezpieczni w swych domach? Zwolennicy Igraine'a muszą zwyciężyć. Dla naszego bezpieczeństwa. Jeb popatrzył na plany, jakie Eadamm rysował na ubitej ziemi. - Nie zgadzam się. - Nie musisz zostawać z nami, jeśli nie chcesz - rzeki łagodnie Eadamm. Jeb wyprostował się, sięgając po wsunięty za pasek sztylet, zanim zorientował się, że Eadamm nie zamierzał go urazić. Przez dłuższą chwilę przyglądał się przyjacielowi. - Nie mam dokąd pójść. Czy musimy jednak atakować w ciemności? - Nie będzie ciemniej niż w kopalni. Dopóki nie będziemy gotowi na światło - dodał tajemniczo. Eadamm miał rację. Być może dla ogrów, którzy przez lata nie pracowali w mroku, była noc. Dla niego, choć była to wczesna pora przed brzaskiem, najciemniejsza godzina przed wschodem słońca, skalisty kanion wybrany przez ogrów na miejsce snu był widoczny jak na dłoni. Głazy i strome ściany wąwozu spowijał cień i, co było dziwne - namioty ogrzych wojsk rzucały się wyraźnie w oczy. Błysnęły w blasku księżyca klingi ogrzych mieczy w rękach ludzi, którzy zbiegli do obozu, wpadając do niego z obu końców i odcinając wszelką drogę odwrotu. Ludzie Eadamma uzbrojeni byli w broń skradzioną i wykonaną własnoręcznie - przepiękne miecze elfiej roboty, które zabrano z jakiegoś bogatego majątku, wystrugane z wiązu piki zakończone grotami ręcznie wykutymi z metalu, siekiery skradzione prosto ze stert drewna, motyki, widły i kosy, które wciąż jeszcze roztaczały zapach pól uprawnych. Eadamm stanął na czele pierwszego natarcia, jadąc na przedzie swych ludzi. Panował niesamowity zgiełk; wrzaski wściekłości i mającej się za chwilę spełnić zemsty odbijały się echem od ścian kanionu. Ich dźwięk rozpałił w nim krew i podsycił żądzę walki. Dopadł pierwszego przeciwnika, strażnika o oszalałym wzroku i rozplątał go jednym, szybkim ciosem. Ogrowie zareagowali na atak ospale, lecz zawzięcie. Zaatakowani z dwóch stron wybiegli z namiotów i wyskoczyli spod derek, by stawić czoło ludziom Eadamma. Powietrze wypełniły wrzaski i okrzyki konających. Miecz uderzał z brzękiem o miecz, pika o pikę. Wśród zgiełku oręza Eadamm usłyszał, jak dowódca ogrów usiłuje zgromadzić swych łuczników. Zawrócił konia i zaszarżował w kierunku, z którego dochodził głos. Ogr zdążył jeszcze przed śmiercią z jego ręki wypuścić strzałę, która świsnęła Eadammowi koło ucha.

Ludzie podłożyli ogień pod namioty ogrów, zapalając niesamowite światło, w którym rzucali wielokrotnie powiększone tańczące cienie na ściany wąwozu. Będący początkowo w rozsypce ogrowie szybko zgromadzili siły, tworząc grupy broniące się przed naporem ludzkich istot.

Chwyciwszy za tarcze i piki, walczyli zwrócenii do siebie plecami, osłaniając łuczników, którzy zasypywali ludzi gradem strzał. Pociski śmigły w górę i wylatywały z kręgów ogrów, pojawiając się jak za dotknięciem magicznej różdżki. Raz po raz ludzie Eadamma nacierali na szeregi nieprzyjaciela, przebijając włócznią jednego ogra tu, drugiego tam. Jednak raz po raz ataki ludzkich istot były odpierane. Maruderzy, zaskoczeni zbyt późno, by przyłączyć się do ochronnych kręgów, toczyli zacieklą walkę na tle oświetlających ich płomieni. Ludzie chwycili za łuki i kołczany ze strzałami i zestrzeliwali tych ogrów, którzy sądzili, że uda im się wspiąć po ścianach kanionu i bezpiecznie zbiec. Pod względem zaciekłości istoty ludzkie dorównywały większym, lepiej uzbrojonym ogrom. Jednak pod względem samej siły nie mogły się z nimi mierzyć. Przy każdym zabitym człowieku Eadamm miał wrażenie, że jego siły są dziesiątkowane. Za każdym razem, gdy ginął ogr, inny występował naprzód i zajmował jego miejsce. Eadamm stanął w strzemionach i krzyknął do jednego ze swych żołnierzy, by przyniósł mu łuk i strzałę. Zapalił pierzysko od płonącego namiotu, szybko naciągnął strzałę i wypuścił ją z łuku. Płomienisty sygnał poszybował wysokim łukiem nad walczącymi. Zanim jeszcze szaleńczo tańczące płomienie zgasty nad ich głowami, w niebo strzeliła błękitna smuga ognia niczym odwrócony piorun. Choć Eadamm spodziewał się tego, jej jasność oślepiła go i spłoszyła jego ogiera. Wielkie zwierzę stanęło dęba, wymachując przednimi nogami. Eadamm poczuł, jak pęd rumaka odrzuca go do tyłu. Poszybował w powietrzu i wylądował na ziemi z donośnym łomotem. Kiedy usiłował złapać oddech, zrobiło mu się ciemno przed oczami. Zobaczył wszystkie gwiazdy, jednak nie wiedział, czy powodem był upadek, czy błyskawica. Odzyskawszy zdolność widzenia, ujrzał jak przez mgłę dwie postaci, obie na koniach. Kiedy wyteżył wzrok, większa postać zeskoczyła z siodła, zwalając mniejszą na ziemię. Mgła ustąpiła przed jego oczu, odsłaniając Jeba splecionego w śmiertelnym uścisku z wielką ogrzycą. Eadamm próbował wstać i przyjść Jebowi z pomocą, lecz nie mógł utrzymać równowagi. Zachwiał się i padł na kolana. Ledwo dostrzegł, że większa z postaci wznosi lśniący srebrny sztylet. Ogrzyca uniosła go wysoko w powietrze, a potem puściła, raz i

jeszcze raz. Mężczyzna, który był zastępcą Eadamma od czasu ucieczki z Khalever, znieruchomiał. Kobieta, która uciekła z Bloten, podbiegła do Eadamma. Kiedy pomagała mu usiąść, znów strzelił piorun, oświetlając niebiosa tak jasno, jak słońce rozjaśnia dzień. Słyszac ostrzegawczy świst narastającej energii zakłęcia, kobieta zasłoniła oczy. Tym razem Eadamm był pewien, że to magiczna błyskawica jednego z ludzkich czarodziejów spowodowała kolorowe światła, które tańczyły mu pod powiekami. Nie widział dalej niż na pół metra. Pomimo dezorientacji wstał i dosiadł spłoszonego konia. Wszędzie wokół ogrowie byli w rozsypce, oślepieni i przerażeni magicznym rozbłyskiem światła. Starannie powiązane konie pozrywały pęta i cwałowały przez obozowisko. Eadamm skoczył jak szalenciec na wielką grupę ogrów, zostawiając za sobą krwawy pokos. Rąbał skradzionym mieczem, kłuł i ciął, przedzierając się na drugą stronę kręgu. Natchniona jego odwagą grupa ludzi rzuciła się za nim, siekąc wroga na lewo i prawo. Przez kilka chwil po magicznym piorunie znajdował się w wirze walki. Nurkujący w płomieniach i dymie ludzie korzystali ze swej przewagi. Ogrowie rozpaczliwie starali się zorganizować obronę, lecz bez skutku. Ludzie otoczyli kilka ostatnich grup ogrów, tnąc i wyrabując sobie drogę ku zwycięstwu. Aż wreszcie sam widok tak wielu zboczonych krwią istot ludzkich wystarczył, by nieliczni pozostali przy życiu ogrowie złamali szyki i się rozpierzchli. Ludzie rzucili się w pogoń, lecz Eadanim zawołał ich z powrotem. - Oszczędźcie kilku, by zanieśli wieść reszcie - krzyknął. Dwa księżycy Krynny, bliskie zachodu, wisały nisko na niebie. Wydawało się, że od chwili rozpoczęcia bitwy upłynęło zaledwie kilka minut, a nie ponad godzina. Jeb leżał martwy, przeszyty tyloma dźgnięciami, iż zdawało się, że ogrzyca starała się go unicestwić, a nie tylko pozbawić życia. Eadanim ukląkł obok

przyjaciela i nakrył jego zwłoki piękną wełnianą peleryną, którą prawie całkiem z niego zdarto. Była zabłocona, porwana, poplamiona krwią ogrów i samego Jeba. - Zwyciężyliśmy - rzekł Eadamm do przyjaciela. Dopiero wtedy uświadomił sobie, jaka cisza panowała w wąwozie.

Rozdział 10 - Wskazówki z niebios Anel przyjrzała się ogrzycy, która stała przed obliczem Rady Panujących. Choć ani jeden włoszek nie wysuwał się z jej zgrabnie zaplecionego warkocza, kobieta wciąż sprawiała wrażenie załężnionej i wystraszonej. - Las ich zabił? - spytała Anel z niedowierzaniem, choć słyszała już podobne doniesienia od trzech strażników, którzy uszli z życiem. Zerknęła na pozostałych członków Rady. Na ich obliczach malowało się podobne osłupienie. Wojowniczką skinęła głową. - Mieliśmy szczęście. Przywódca naszego oddziału zauważył niebezpieczeństwo, toteż zdążyliśmy się wycofać, odpocząć i przegrupować. Potem, gdy już byliśmy gotowi do kolejnego natarcia, zostaliśmy zaskoczeni przez ludzi. Byliśmy... na tyłach. Ledwo zdołaliśmy ująć z życiem. Mój brat... Rad... - Głos jej się załamał. - On nie miał tyle szczęścia. Anel pokiwała głową ze współczuciem. - Uczcimy pieśnią twoją stratę. - Skinęła na pomocnika, by wyprowadził kobietę. Nie musiała zgłębiać jej umysłu. Poznała już myśli poprzednich trzech osób. Pominawszy drobne szczegóły, czwarta opowieść potwierdziła poprzednie. - Musimy wysłać kolejną kompanię - zaczął Teragrym, zanim jeszcze drzwi się zamknęły. - Silniejszą, przygotowaną absolutnie na wszystko. - Kogo proponujesz? - odparła zgryźliwie Enna. - Pokonali naszych najlepszych żołnierzy. I skąd ich weźmiemy? Potrzebujemy więcej straży do pilnowania dróg w naszych majątkach. Dziś rano dwa kolejne tabory z prowiantem zostały napadnięte przez zbiegłych niewolników. I gdzie ich pošlemy? Nasi zwiadowcy zginęli razem z większością wojowników Redienhów. - Zatem musimy rozpocząć rekrutację wśród pospólstwa. Szkolić ich solidniej, szybciej i lepiej - oznajmił oschle Teragrym. - Musimy też wysłać magów. Narran rozłożył patkę nagłym ruchem, wysyłając pod sufit olśniewający zygzak światła. Iskra zaskwierczała i zgasła. - Kogo z nas proponujesz, Teragrymie? -- spytał ze złością. - A może chcesz wysłać któreś ze swoich dzieci? - Czary musimy zwalczać czarami, nie mieczem. Wolałbym nie wystawiać swej rodziny na niebezpieczeństwo, lecz zrobię to, co będę musiał. Wy również. - Posłał Narranowi kipiące wściekłością spojrzenie. - Nie martwcie się jednak. Chwilowo nie was mam na myśli, lecz kogoś innego, kto poprowadzi kontratak.

- Zatem możesz przystąpić do działania, Teragrymie - rzekła Anel. - Enno, ty zajmiesz się ułożeniem programu doboru i szkolenia następnych strażników. Spokój. Cisza. Osiem dni bezpieczeństwa. Wśród poległych znalazła się młodsza siostra Butyra, podobnie jak dwaj synowie dzikiego klanu Aliehów i pięcioro innych, których stratę boleśnie odczuto. Jednak nie przerwano wędrówki. Ostatnie dni były porą leczenia, porą spokoju, choć brakło wygod, wśród jakich dorastała Khallayne, a jedzenia, i to źle ugotowanego, ledwo starczało. Nogi ją bolały, w brzuchu jej burczało, była bezdomna i nigdy nie czuła się szczęśliwsza. Jelindra, jadąca u boku Khallayne młoda, ledwo stuletnia ogrzyca o białych włosach wciąż związanych dziecinnymi wstążkami, łapczywie wsłuchiwała się w każde jej słowo, ucząc się zaklęcia zmiany wyglądu. - Jesteśmy już blisko, Khallayne. - Tenaj wróciła na tył kawalkady, przerywając im lekcję. Jelindra skrzywiła się z rozczarowania, lecz posłusznie odjechała, wciąż odliczając na palcach wersy zaklęcia. Khallayne z uśmiechem obserwowała oddalającą się dziewczynkę. - Sądzę, że któregoś dnia będzie świetna. Doskonale chłonie moc. - Też chciałabym się nauczyć - powiedziała Tenaj bardzo cicho i bardzo nieśmiało. - Nigdy nie byłam w tym dobra, ale... Twarz Khallayne rozpromienił uśmiech szczerego zadowolenia. - Och, Tenaj, nie masz pojęcia. Trudno w to uwierzyć. Przez całe życie musiałam ukrywać swą magiczną moc. Teraz wszyscy o niej wiedzą i zamiast mnie ukarać, proszą o jej częstsze używanie! Z radością nauczę cię wszystkiego, czego będziesz chciała. Obie musiały ruszyć

galopem, by dogonić Lyrralta. Cała drużyna chciała wjechać do miasta, lecz rozumiała niebezpieczeństwo, jakie się z tym wiązało. Lyrralt nie chciał jechać, lecz został wybrany, by razem z Tenaj i Khallayne udać się do miasta na przeszeptki. Thorad tak się różnił od Takaru, jak majątek ojca Lyrralta od letniej posiadłości króla. Podobnie jak Takar był ośrodkiem handlu, lecz w odróżnieniu od niego nie otaczały go mury. Młode miasto, wzniesione w samym sercu Khalkistów już po tym, jak Rada Panujących zaprowadziła pokój, stało się centrum imperium ogrów. Zbudowano je w schludnym starym stylu na planie koła od wozu, w którego zewnętrznym pierścieniu stały głównie karczmy i gospody. Wszystkie budynki miały wysokie

stromie dachy, by zimą lepiej radzić sobie z obfitymi opadami Śniegu, a okna były wyposażone w składane okiennice, które chroniły przed żywiołami. Tego wyjątkowo ciepłego, jesiennego dnia wszystkie okna otworzono na oścież, aby wpuścić gorące promienie słońca. Lyrralt ucieszył się na widok ulic pełnych kupców, rzemieślników i podróżnych. Zwolnił nieco, zastanawiając się, w którą stronę należałoby się udać. Potrzebowali informacji i prowiantu, lecz trzeba było go zdobyć bez wzbudzania podejrzeń. - Co o tym sądzisz? - Tenaj zatrzymała konia obok niego. - Cóż, w zamku najprostszym sposobem uzyskania informacji było wejście do sali jadalnej. Mało znam się na takich miejscach. - Wskazał stojące po obu stronach ulicy karczmy i oberże o niezbyt zachęcającym wyglądzie. - Myślę, że to chyba najlepsze miejsce, aby zacząć. Tenaj skinęła głową i wskazała jedną z gospód po przeciwnej stronie drogi. Przed jej drzwiami stało kilka koni uwiązanych do palików. Ogr wzruszył ramionami i ruszył w tamtym kierunku. Karczma wybrana przez Tenaj nie była gorsza od innych. W środku panował mrok, lecz od trzaskającego ognia w kominku, wielkim jak w zamku, biło ciepło. W sali znajdowało się może z dwudziestu gości, przeważnie przy barze. Stoły i krzesła w ciasnej części jadalnej były z szarego kamienia i gdy tylko Lyrralt i Tenaj usiedli na nich, ogr natychmiast zrozumiał, dlaczego palił się tak wielki ogień. Od kamienia ciągnął ziąb, który przenikał pelerynę na wylot. Ogr z ogromnym medalionem ze znakiem Hiddukela przyniósł trójce podróżnych wino. Skłonił się Lyrraltowi, mówiąc: - Jesteś mile widziany w mej gospodzie, czcigodny panie. Lyrralt natychmiast się odprężył, widząc, że trafili we właściwe miejsce. Wszyscy kupcy czcili Hiddukela, boga nieuczciwego zarobku i chciwości, lecz w obawie przed urażeniem klientów, którzy wyznawali innych bogów, niewielu czyniło to otwarcie. Lyrralt nachylił się, aby móc porozmawiać bez obaw, że zostanie podsłuchany. - Jeśli szczęście nam dopisze, wydobędę od niego potrzebne nam informacje. Tenaj pokiwała głową. - Gdybym stanęła przy kontuarze, mogłabym przysłuchiwać się rozmowom. - A ja poszukałabym innej oberży. - Khallayne upiła łyk wina i skrzywiła się. - W miarę możliwości z lepszym jedzeniem i napojami. Lyrralt pokiwał głową i gestem dłoni wezwał je bliżej. - Słuchajcie wszystkiego, co może nam zdradzić zamysły Rady. Wszystkiego. Duże zamówienie na prowiant albo zbyt

przepełniona gospoda mogą oznaczać oddział wojska w drodze. I słuchajcie wszystkiego, co dotyczy Igraine'a. Co o nim sądzą tutejsi mieszkańcy? Co słyszeli? - Większość to rzemieślnicy. Znaczoną część roku spędzają w podróży. Moglibyśmy od nich dowiedzieć się o jakimś miejscu do założenia osady. Inni nie posłuchają tego z radością, ale moim zdaniem nie ma już dla nas bezpiecznego miejsca w Khalkistach. - Zgadza się - rozległ się głos za plecami Lyrralta. Lyrralt odwrócił się gwałtownie, odruchowo wsuwając dłoń pod szatę po szyję. Jakim cudem tych dwoje, którzy patrzyli na niego z góry, zakradło się do nich niepostrzeżenie? - Kim jesteście? - spytała podejrzliwie Tenaj, również chowając dłoń pod stołem. - Nazywam się Bakrell. To moja siostra, Kaede. Nie chcieliśmy was przestraszyć. - Czekaliśmy na was - powiedziała miłym tonem ogrzyca. Brat i siostra uśmiechnęli się jednakowo i bez zaproszenia zasiedli na kamiennej ławie po obu stronach Lyrralta. Pominawszy uśmiech, tak bardzo różnili się od siebie, że Khallayne natychmiast

domyśliła się, że mieli różnych ojców. Kaede, podobnie jak Jyrbian i Lyrralt, miała cerę koloru indyga i oczy tak bladoszrebrne, że prawie białe. Jej brat miał skórę barwy średniego błękitu, srebrne oczy, był niewysoki i niezbyt umięśniony. Mógłby wtopić się w każde otoczenie, od członków rodziny królewskiej do najpospolitszych kramarzy. Gdyby tylko pominąć wyraz jego twarzy. Pomimo uśmiechu przyglądał im się spod brwi z dziwną przenikliwością. Khallayne zadrżała. Odniosła wrażenie, że temperatura właśnie spadła o dziesięć stopni. - Czekaliście na nas? - Owszem. A raczej nie na was, lecz na kogoś z Takaru. Na kogoś, kto podróżuje z lordem Igraine'em. Słyszeliśmy... o wielu sprawach. - Chcieliśmy dowiedzieć się więcej. - Głos Kaede był równie pogodny i uroczy, jak jej brata srogi. - Chcemy... Chcemy przyłączyć się do was. Jesteście na ustach wszystkich. O niczym innym się nie mówi, jak tylko o nowym życiu, które dzięki wam - lordowi Igraine - powstanie ze starego. Ja... my chcemy mieć w tym swój udział. Khallayne przyglądała jej się spod przymrużonych powiek. Miała wrażenie, że powinna znać tę kobietę. Czyżby gdzieś już ją widziała? - Mówiłeś, że góry nie są bezpieczne?

Bakrell pokiwał głową. - Opuściliśmy Takar w tydzień po ucieczce lorda Igraine'a. Zmuszeni byliśmy podróżować bocznymi drogami, żeby uniknąć spotkania z wojskiem. Dwoje przybyszy trzymało ręce na stole tak, aby były dobrze widoczne. Lyrralt odpreżył się trochę i wyjął dłoń zza pazuchy. - Od jak dawna tu jesteście? Upił łyk wina. - Ponad tydzień. Wiedzieliśmy... cóż, mieliśmy nadzieję, że ktoś będzie tędy jechał. Przypuszczaliśmy, że będziecie potrzebować prowiantu. - Potrzeba nam informacji - rzekła Tenaj. - O Takarze. - Z tego, co ostatnio słyszeliśmy, w Takarze mówi się o stanowczych posunięciach, jakie podjęła Rada Panujących w celu złapania Igraine'a. Nie wiemy, czy to prawda, ale główne trakty wiodące do miasta są pod ścisłą obserwacją. Tenaj skrzywiła się. - Tego się spodziewaliśmy. - Co więc teraz zrobimy? Zamieszkamy na równinach z istotami ludzkimi? - spytała na wpół sarkastycznie Khallayne. Kaede rozpromieniła się i zwróciła do brata: - To byłoby ekscytujące, prawda? - Wśród ludzi? - powtórzył. - Chyba istnieje jakieś lepsze rozwiązanie? Khallayne popatrzyła na Kaede. - Czy my się nie spotkałyśmy? Mam wrażenie, że cię znam. - Być może widziałas mnie w zamku. Bakrell i ja czasami przyjeżdżaliśmy tam w odwiedziny. Ja jestem pewna, że cię widziałam. Dlatego wiedziałam, że jesteś z Takaru. Zawsze podziwiałam twoją niezwykłą urodę. Tak się cieszę, że was zauważyliśmy. Obserwowaliśmy karczmy od wielu dni. Kaede sprawiała wrażenie szczerzej. Ich opowieść brzmiała prawdziwie. Wszystko wyglądało prawdziwie z wyjątkiem ich strojów. Mieli na sobie proste ubrania, które na tle otoczenia nie wyróżniały się niczym specjalnym, dopóki nie zwróciło się uwagi na ich jakość. Khallayne ubrana była w najwytrzymalszy strój, jaki posiadała, na którym jednak podróż wycisnęła już swoje piętno. Tuniki i peleryny Kaede i Bakrella uszyto z najświetniejszych tkanin. Zapinka pod szyją jej płaszcz pokryta była złotem, a on miał na nadgarstkach srebrne bransolety. Sprawiali wrażenie bardzo niezwykłych uciekinierów. - Kupujemy prowiant na drogę od chwili, gdy tu przybyliśmy - mówił Bakrell. - Po trochu każdego dnia w różnych miejscach. Sądziliśmy, że może się przydać, jeśli ktoś przyjedzie. - Jestem pewien, że Igraine przyjmie was oboje z otwartymi rękoma. - Lyrralt złożył im lekki pokłon powitalny.

Po kilku ciężkich dniach na szlaku sceptyczna opinia Khallayne o rodzeństwie nadal nie uległa zmianie. Oboje wykonywali wszystkie polecenia - Bakrell z dumą, szukając wzrokiem osób go podziwiających. Kaede nosiła wodę i zapalała ogniska z takim wdziękiem, jakby była na dworze. Nie ulegało jednak wątpliwości, że interesuje ją nie tyle zwrócenie na siebie uwagi wielu osób w ciągu jednego dnia, co przyciągnięcie spojrzenia tylko jednej - Jyrbiana. Khallayne z rozbawieniem zauważyła, że Jyrbian był równie ślepy na uwielbienie Kaede, jak Everlyn na jego zaloty. Lyrralt siedział w sporym oddaleniu od pozostałych, za zakrętem rowu. Odkorkował butelkę wody, którą

zawsze nosił ze sobą. Migotliwy blask ognia ledwo rozpraszał zapadający mrok. Uciekinierzy rozbili obóz na rozległej, otwartej przestrzeni niemal całkowicie wolnej od gęstych zarośli, które ich otaczały podczas podróży. W ciepłym blasku zachodzącego słońca z perci rozciągał się przepiękny widok, wspaniała panorama gór Khalkist skąpanych w odcieniach różu, pomarańczy i złota. Historia głosiła, że te łysiny powstały, gdy bogowie uderzyli pięściami w góry. Siedząc jednak na ziemi, której cisza wsiąkała w jego kości i przemawiała do jego serca, Lyrralt czuł, że to prastary pożar wypalił drzewa, zostawiając jedynie trawę. Miał wrażenie, że to odpowiednie miejsce na medytację. Jak co dzień Lyrralt wzniósł oczy ku niebu, ku gwiazdozbiorowi Hiddukela i wyszeptał modlitwę, prosząc o wskazanie drogi. Od czasu szalonej ucieczki z Takaru czuł, że błądzi. płynie bez steru. Hiddukel nie odezwał się więcej do niego. Lyrralt wiedział jedynie, że przeznaczenie jego i Khallayne są ze sobą związane i że nauki Igraine'a oznaczają zagładę. W przyszłości czekało także oślepienie, coś, czego nie będzie umiał zobaczyć. Być może dzisiejszej nocy otrzyma wskazówki. Rozejrzawszy się jeszcze raz, aby upewnić się, że nikt go nie obserwuje, Lyrralt zsunął tunikę do pasa, wystawiając barki i ramiona na chłód nocy. Runy na jego skórze lśniły białym, mlecznym połyskiem, który odzwierciedlał blask gwiazd na aksamitnym niebie. Czekał, poruszając wargami w niemal rozpaczliwej prośbie, modląc się o wskazówkę od boga i jego czuły dotyk. Skóra na wewnętrznej stronie ramienia zapiekła go tak lekko, że mogło być to tylko muśnięcie wiatru. Lyrralt wstrzymał oddech. Znowu pieczenie. Wrażenie było tak złożone i

skomplikowane, że nie sposób było go rozwikłać, oddzielić od pozostałych. Wtem wzdłuż jego nerwów przebiegła pieśń pochwalna bólu i pragnienia. Chciał popatrzeć na pismo, jakie pokaże się na jego ciele, lecz nie mógł. Cierpienie i rozkosz sprawiły, że odchylił głowę do tyłu i wciągał wielkie hausty powietrza. Mógł jedynie wyciągnąć rękę ku niebu i czekać, aż próba się zakończy. Gdy Lyrralt znowu odzyskał przytomność, gwiazdy przesunęły się na niebie. Czuł jedynie swędzenie skóry. Miał nadzieję, że znaki nie okażą się zbyt tajemnicze, skoro nie miał doświadczonego kapłana, który mógłby mu pomóc. Jednak z drugiej strony miał teraz najwyższego rangą doradcę, samego Hiddukela. A z takim przewodnikiem czyż mógł ponieść klęskę? Lyrralt spuścił oczy i ujrzał pasmo run otaczające jego ramię tuż pod tą jedną, jaka pojawiła się w Kal-Theraxian. Przysunął się bliżej do ognia i rozgrzebał żar, aż zapłonął ogień. Zaparło mu dech w piersi. Symbole były łatwe do przeczytania nawet dla nowicjusza. Śmierć. Nieuchwytność. Igraine - ten symbol już widział na swej ręce. Tak samo następny - martwa królowa - Khallayne. Nie umiał jednak powiedzieć, co pojawiło się obok jej imienia. Będzie musiał przyjrzeć się temu uważnie. Tymczasem już te znaki, które Lyrralt umiał odczytać, wystarczyły, by zakręciło mu się w głowie. Wydostanie Igraine'a spod ochrony Jyrbiana i Everlyn nie będzie proste. Było jednak konieczne. Igraine dla większości grupy stał się kimś niemal świętym. Każdej nocy inna gromadka zbierała się wokół niego przy ognisku i łapczywie wsłuchiwała się w jego słowa, jakby były mądrością samych bogów. Lyrralt będzie musiał obserwować, czekać i układać plany. Zagasił ogień i wrócił do obozu. Jechali na północ, wspinając się wyżej w góry, by uniknąć głównych szlaków. Jazda bocznymi drogami zmusiła ich do zmniejszenia tempa. Jakimś sposobem znaleźli ich kolejni uciekinierzy, niektórzy z Takaru, inni z Thoradu, garstka nawet z odległego Bloten, a wzrost liczebności grupy sprawił, że poruszali się jeszcze wolniej. Z nieba lał tak ulewny deszcz, że zdaniem Tenaj bogowie musieli płakać. Woda kapiała z liści, wypłukiwała rowki w ścieżkach, lala się, dopóki na podróżnych nie zostało suchej nitki.

Każdego poranka Lyrralt budził się przemoczony i nieszczęśliwy. Szukał oczami nowych osypisk na odległym zboczach góry. Zawsze było przynajmniej jedno - brzydka blizna, która szpeciła zielone stoki, rana barwy gliny w miejscu, gdzie ziemia po prostu poddała się i ustąpiła. Po każdej lawinie

jechał z coraz większym niepokojem, zastanawiając się, czy następna nie spadnie mu na głowę. Ścieżka rozwidlała się, wiodła wąskim przesmykiem, a następnie znikła za nagą ścianą urwiska w pobliżu wodospadu. Droga na północny wschód omijała ten sam klif i schodziła szerokimi i gładkimi zakolami ku przełęczy Thordyn. Drużyna zsiadła z koni i zgromadziła się wokół mapy, nad którą nachylał się Jyrbian. Przyciskał ją z całych sił do ciała, by ochronić od deszczu. Mapa była stara i zapewne niedokładna, lecz nie mieli innej. Ta część gór składała się wyłącznie z gołych klifów i kamienistych ścian. Nikt poza złodziejami i zbrodniarzami nie potrzebował mapy tej okolicy. Lyrralt zajął bratu przez ramię. Ścieżka na wschód była niemal dwa razy dłuższa i wiała się wąską doliną, która mogła być doskonałym miejscem na zasadzkę, jeśli las był tam wystarczająco gęsty. - Myślę, że powinniśmy wybrać drogę na zachód. - Złożywszy mapę, Jyrbian schował ją do torby przy siodle. Lyrralt szybko wsiadł na konia, a bicie jego serca było tak głośne jak stuk kropli deszczu o liście nad ich głowami. Zanim był gotów do drogi, Butyr i Everlyn opowiedzieli się za wyborem łatwiejszej ścieżki. - Jyrbianie, wciąż pada. Ten szlak będzie niebezpieczny. - Ale też istnieją najmniejsze szanse, że wpadniemy na nim w zasadzkę, nie wspominając o tym, że jest o połowę krótszy - obstawał przy swoim Jyrbian. Lyrralt odetchnął z ulgą, widząc, że Jyrbian był dość rozsądny, by oprzeć się Everlyn. Skierował konia ku wąskiej dróżce. Deszcz zmienił się w kapuśniaczek, który pokrył nawierzchnię warstwą wilgoci. Skalista perć była goła i śliska i tak wąska, że nogami będą się ocierać o granitową ścianę. Będą zmuszeni jechać gęsiego. Łatwo też może się zdarzyć, że koń się potknie, mokre kopyta się poślizgną, a jeździec spadnie ze stromego urwiska... - O czym myślisz? Lyrralt odwrócił się i zobaczył obok siebie Igraine'a. Ogr przyglądał mu się poważnym, przenikliwym wzrokiem. Patrzył na niego, nie na ścieżkę, jakby potrafił zajrzeć w głąb jego serca.

Hieroglify na ramieniu Lyrralta zaczęły się więc i swędzieć. - Jest bardzo wąska. Śliska i niebezpieczna. Niemniej krótsza i... - Nadal ją wolisz? - Tak - odparł Lyrralt, odwracając oczy w nagłym przeświadczeniu, że Igraine zna jego plany i wie, że myślał o tym, jak niewiele trzeba, by na wąskiej ścieżce koń Igraine'a przypadkowo zwałił się w przepaść. - Cieszę się, że się zgadzasz, bracie - rzekł Jyrbian, przejeżdżając obok i odtrącając na bok konia Lyrralta swym wierzchowcem. Lyrralt obejrzał się i zobaczył Everlyn, Khallayne i Tenaj, a za nimi dwoje nowych przybyszów, Bakrella i Kaede. Butyr został w tyle, krzywiąc się i gestykulując zamasyście podczas rozmowy z jednym ze swych kuzynów. Dwaj ogrowie, którzy zawsze głośno popierali Jyrbiana i mianowali się jego przybocznymi, przejechali obok Lyrralta, zanim zdołał wsunąć się do szeregu. - Za tobą, panie - rzekł Lyrralt, kiedy już go minęli, i uprzejmie puścił Igraine'a przodem.

Rozdział 11 - Sława i niebezpieczeństwo Wjechali na skalną półkę. Odczuwany przez wszystkich strach był jak szara mgła, dość gęsta, by go ujrzyć i posmakować. Lyrralt skupił uwagę na szerokich plecach Igraine'a i czekał na stosowny moment. Skalny występ, którym jechali, był tak wąski, że przy każdym stąpieniu ich koni z klifu sypały się drobne kamyki i obluzowany żwir. Nie ma odwrotu. Lyrralt oderwał oczy od Igraine'a i spojrzał w olbrzymią otwartą przestrzeń, która rozciągała się pomiędzy nim a ziemią w dole. Nie ma odwrotu. Te słowa przewijały się w jego myślach niczym uporczywy refren. Huk rzeki, szum wodospadu i bicie jego serca wznosiły hymn do Hiddukela. W jego rytmie wyszeptał zaklęcie wymierzone w Igraine'a i konia, którego dosiadał. Popędził swego wierzchowca, podjeżdżając tak blisko Igraine'a, jak pozwalała mu odwaga. Koń Igraine'a podskoczył, co znaczyło, że zaklęcie Lyrralta podziałało. Zwierzę potrzęsnęło jedwabistą grzywą, a potem przysiadło na zadzie, zamierzając stanąć dęba. Igraine zeszytniał, walcząc z ogarniającym go strachem. Jakimś cudem opanował się i powstrzymał konia. Lyrralt odważył się wypuścić cugle i dotknął ramienia, czerpiąc magiczną moc z run. Czuł, jak energia przesącza się przez niego i płynie w stronę ogra i jego rumaka na przedzie. Jakiś wrzask! Lyrralt drgnął, a potem zdrętwiał od nagłego

skurczu wszystkich mięśni ciała. Urwana raptem magia run rozproszyła się. - Nie zatrzymujcie się! Jedźcie dalej! - dźwięczało echo słów, które dobiegały gdzieś z oddali, może z przodu, a może z tyłu. Może był to głos Jyrbiana. A może jego własny. Krzyczały już następne osoby, nie tylko jedna. Rozległ się trzask przypominający uderzenie bitem o ścianę urwiska i na plecy posypał mu się grad kamyków. Znow usłyszał krzyki, a po nich gdzieś z tyłu okropny odgłos towarzyszący spadaniu w przepaść konia wraz z jeźdźcem. Krzyk ucichł i urwał się raptownie wraz z okropnym, donośnym łomotem ciał roztrzaskujących się o skały. Zarażony paniką koń Lyrralta usiłował rzucić się do galopu. Kopyta ślizgały mu się i rozjeżdżały na ścieżce. Jeździec za nim krzyknął ostrzegawczo.

Lyrralt trzymał się skalnej ściany jedną ręką, a drugą szarpał za wodze, trzymając mocniej wierzchowca i modląc się, by zwierzę się nie przewróciło. Jeździec z tyłu znow krzyknął, koń Lyrralta bowiem zatoczył się do tyłu. Lyrralt zdarł sobie paznokcie, usiłując wczepić je w skałę, szczelinę, cokolwiek. Skoczył. Pod palcami czuł tylko śliską skałę. Potem stracił oparcie pod nogami i zawisł w powietrzu na czubkach palców. Z impetem zderzył się ze ścianą. Kiedy powietrze wyleciało ze świstem z jego płuc, ostra skała wyslizgnęła mu się z rąk i wiedział, że z rozpędu spadnie z urwiska. Coś - ktoś - go złapał. Silne ręce chwyciły go za nadgarstek i pociągnęły naprzód. Lyrralt poszukał stopami trwałego oparcia, znalazł je, podniósł głowę i napotkał wzrok Igraine'a. Ogr trzymał go za nadgarstek z wyrazem napięcia na twarzy, wyciągając rękę pod bolesnym kątem przez koński zad, usiłując zapanować nad zwierzęciem i samemu nie stracić równowagi. - Nie puszczaj! - jęknął Lyrralt. Igraine raz skinął głową i pociągnął mocniej, olbrzymim wysiłkiem prostując się i uspokajając konia. Naprężywszy mięśnie do ostateczności, Lyrralt zsuwał się tak długo, aż dotknął stopami ścieżki. Zemdlałby, gdyby nie ból przeszywający całe ciało, gdyby nie utkwione w nim stalowoszare oczy, które utrzymywały ich obu na nogach prawie samą siłą woli. - Powoli... - rzekł z przejściem Igraine, oglądając się na drogę. - Powoli. Siądź na siodle za mną. Teraz! Wsiadaj! - Igraine pociągnął go za zranione ramię. Lyrralt zawył z bólu, który przeszył jego stawy. Ktoś wrzasnął z tyłu. Coś pacnęło o ścianę urwiska nad nim. Na plecy posypały mu się kamyki. Znow się zaczynało! Znow krzyki, znow sypiące się kamienie. Odłamek wielkości pięści trafił go w bark. Coś uderzyło Igraine'a, który wypuścił Lyrralta. Ogr poleciał do tyłu i przywarł plecami do granitowej ściany. Spod skalnej półki wysunęły się upstrzone brązowymi, mięsistymi pierścieniami upiornie żółte macki, które pełzały po ścieżce, przeszukując i obmacując przestrzeń między jeźdźcami. Niczego nie znalazłszy, podniosły się - najpierw jedna macka, a potem druga - i uderzyły z całych sił w ścianę, rozpryskując na wszystkie strony deszcz kamyków i skalnych okruchów. Kiedy macki wróciły do poszukiwań, Lyrralt uświadomił sobie, że słyszy mlaszczący, gulgoczący syk. Dotknął ramienia, przyciskając palce do run, by dodały mu sił. Zamknął oczy

i wyszeptał prośbę do Hiddukela o tarczę, cokolwiek, by mógł się zasłonić się przed pełzającymi mackami. Krzyk głośniejszy i straszniejszy niż wszystkie przedtem przywołał go do rzeczywistości. Lyrralt szybko podniósł powieki. Macki znalazły ofiarę! Na oczach Lyrralta zgarnęły z półki jeździec wraz z koniem i wciągnęły gdzieś pod spód, w niewidoczne miejsce. Odgłosy, które rozległy się później, były nie do opisania. Lyrralt nie był w stanie opanować skurczów żołądka. Uczepiwszy się skalnej ściany, ugiął kolana i zwymiotował w przepaść. - Musimy ruszać. Szybko. - Igraine odwrócił się na koniu, wyciągając rękę. Zdawało się, że był bardzo daleko. Odległość pomiędzy Lyrraltem a końskim grzbietem wydawała się nie do pokonania. Lyrralt potrząsnął głową. - Nie mogę. - Możesz iść? Lyrralt skinął głową. Zrobił krok, przytrzymał się mocniej ściany urwiska i powoli sunął naprzód. Stopy miał zdrętwiałe. Jeden krok. Drugi. Jakimś cudem nogi się pod nim nie załamały. Ręka, choć obolała, ścisnęła kurczowo skałę. Po chwili Igraine łagodnie popędził konia naprzód. Lyrralt ośmielił się obejrzeć na ogra na ścieżce za nim. Pokiwali do siebie głowami i Lyrralt zdobył

się na następny krok, a potem jeszcze jeden i jeszcze jeden. Znowu zaczął padać deszcz o kroplach tak dużych, że czuł, jak spływają mu po karku. Cały skalny występ był od nich mokry. Mimo to zmusił nogi do dalszego marszu, skupiając się tylko na ostrożnie odmierzanym kroku. Miał wrażenie, że upłynęły dni, zanim półka się rozszerzyła i mógł z niej zejść. Popędził przed siebie, mijając Jyrbiana, Igraine'a, wyciągnięte ręce Khallayne i jeźdźców, którzy zatrzymali się przed nim. Nie zatrzymał się, dopóki solidny grunt nie rozciągnął się na sześć metrów wokół niego, a drzewa przesłoniły widok przepaści. Wtedy padł na kolana i zwymiotował. Kiedy wreszcie podniósł oczy, zobaczył, że to Igraine zsiadł z konia i podszedł do niego, że to ręce Igraine'a obejmowały go za ramiona i przytrzymały mu głowę. Potem nadeszli inni, ktoś delikatnie wycierał mu twarz miękką szmatką, jakiś inny ogr podał mu wino, by mógł wypłukać usta. Ogarnięty uczuciem głębokiego wstydu odepchnął wszystkich, stanął o własnych siłach i dostrzegł wokół siebie zatroskane oblicza Igraine'a, Everlyn, Khallayne, Tenaj i ciotki Everlyn, Naej.

- Już myślałem, że cię stracimy - Igraine rzekł z uśmiechem świadczącym o radości z faktu, że stało się inaczej. - Byłam tuż przed tobą - powiedziała Khallayne. - Zobaczyłam, jak twój koń spada i wiedziałam, że coś się stało, ale nie wiedziałam co. - On ocalił lorda Igraine'a! - oświadczył ogr, który jechał na szlaku za Lyrraltem. - Co takiego? - odezwał się chór głosów. w tym także samego Lyrralta. Runy na jego ramieniu nabrzmiały, zaczęły go uciskać i palić. - Nic podobnego...! - zaprotestował Lyrralt. Spojrzał Igraine'owi w twarz i zamiast irytacji wywołanej nieporozumieniem, ujrzał na niej jedynie tchnący spokojem uśmiech. - Igraine ocalił mnie! Szepty ucichły. Tłum zwrócił się ku Igraine'owi, czekając na jego reakcję. - Rzekłbym, że ocaliliśmy się nawzajem. - Igraine uścisnęła ramię Lyrralta. Z tłumu padły słowa aprobaty. Niektórzy wyciągali ręce, by poklepać Lyrralta i wymamrotać jakąś nieartykułowaną pochwałę. Uratował Igraine'a i sam został przez niego uratowany. Wydawało się, że dotykając go, dotykali Igraine'a i otrzymywali błogosławieństwo, zaklęcie, które chroniło ich przed złem. Lyrralt nie zwracał uwagi na podrażnione runy; był zdumiony serdecznością ogrów. Kiedy wracali do koni, gotowi do dalszej drogi, Lyrralt podniósł głowę. Jyrbian siedział w siodle, spoglądając w stronę horyzontu z twarzą zamkniętą i nieprzeniknioną. Lyrralt uświadomił sobie, że wśród tych wszystkich, którzy wyciągnęli ku niemu pomocne ręce, nie było jego własnego brata. Jyrbian wreszcie spojrział na niego z góry i powiedział: - Będiesz tak stał cały dzień? - Ubódł konia ostrogą. Olbrzymie zwierzę skoczyło w stronę Lyrralta, a potem zawróciło i ruszyło ścieżką. - Lyrralt będzie jednym z tych, którzy pójdą. To jego konia musimy zastąpić. - Głos Jyrbiana, który przemawiał władcym tonem osoby świadomej swojej siły, rozbrzmiewał echem w głowie Lyrralta, który wraz z czternastoma innymi ogrami wjechał do ludzkiej osady. Od czasu śmierci na szlaku istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że ktoś się sprzeciwi Jyrbianowi. Jego najgłośniejszy oponent, Butyr, pierwszy poniósł okropną śmierć, ściągnięty ze skalnej półki. Lyrralt, który awansował dzięki ocaleniu przez łaskę bogów i wstawiennictwo Igraine'a, nie próbował nawet protestować, choć nie miał ochoty na wyprawę do Neratu po prowiant i informacje.

Podróż w ciągu tych trzech tygodni, jakie upłynęły od śmierci towarzyszy na górskim szlaku, była długa i męcząca. Lyrralt obserwował, knuł i czekał na następną okazję wypełnienia poleceń swego boga, lecz sprzyjający moment się nie nadarzył. Teraz Igraine był zawsze otoczony ogrami, którzy wysławiali jego dzielność. Lyrralt również był popularny i podziwiany. Być może dlatego, pomyślał posepnie, Jyrbian nalegał na to, by stanął na czele oddziału jadącego do Neratu. Być może Jyrbian nie chciał, aby ktoś jeszcze stał się popularny i potężny. Sprawowanie władzy nad uciekinierami sprawiało wyraźną przyjemność Jyrbianowi, który próbował naśladować sposób bycia Igraine'a. Dzień po dniu Lyrralt przyglądał się, jak jego brat przysłania maską swój wrodzony cynizm, z trudem wypowiada spokojne i łagodne słowa zamiast szorstkich, które łatwiej przeszłyby mu przez usta,

usiłując pokazać oblicze godne pochwały Igraine'a... i miłości Everlyn. Niestety, tego nie udawało mu się osiągnąć. Igraine mógł się uśmiechać do niego i kiwać głową z aprobatą, lecz jego córka zdawała się nie zauważać Jyrbiana, nieczuła na jego wszystkie uśmiechy i dworskie ukłony. Kawalkada wjeżdżająca do Neratu środkiem głównej ulicy napotkała chłodne i wrogie spojrzenia ludzi. Miasto ani trochę nie przypominało Thoradu. Składało się ze zbiorowiska ubogich, zakurzonych i nie pasujących do siebie budynków, z których nieliczne wzniesiono z kamienia, inne ze zbutwiałego drewna, a część najwyraźniej jedynie z błota i patyków. Lyrralt i jego towarzysze przyzwyczajeni byli do widoku ludzi jako zrezygnowanych i nieszkodliwych niewolników, w których stłamszono wszelką wolę walki i chęć oporu. Ci ludzie bynajmniej nie sprawiali wrażenia potulnych. Lyrralt wybrał rozwalający się budynek, który wyglądał na skład kupiecki, i gestem nakazał połowie swej drużyny pójść za nim, a drugiej połowie poczekać przy zwierzętach. W środku drewniana chałupa cuchnęła okropnie ludzkim potem i brudnymi ciałami, stęchłym drewnem i tajemniczymi ludzkimi przyprawami. Wewnątrz panował mrok rozproszony tylko przez światło wpadające przez dwa brudne okna i lampy w każdym kącie. Jediną izbę wypełniały worki i skrzynie z towarem, a półki ugięły się od nie oznakowanych glinianych naczyń. - Nie chcemy tu takich jak wy - rozległ się chrapliwy, gardłowy ludzki głos zza biegnącego wszczepienia kontuaru. Za nim znajdowały się kolejne półki, tym razem z butelkami piwa i wina.

18. Dragonlance - Zaginione Opowieści 02 - Irdowie

Lyrralt, którego oczy nie przyzwyczyły się jeszcze do ciemności, ledwo dostrzegał chudego mężczyznę, który opierał się pięściami o ladę. Mężczyzna miał długie, ciemne, wijące się kędziory, które spadały mu na ramiona, oraz krótsze włosy na całej twarzy. Sprowokowana wrogością i nie skrywaną nienawiścią w głosie człowieka Kaede wysunęła się naprzód z dłonią na głowni miecza. Lyrralt zatrzymał ją niepostrzeżenie. Igraine i Everlyn rozmawiali z nim na szlaku, ostrzegając przed zbyt ostrą reakcją na wrogość, z jaką bez wątpienia spotkają się w Neracie. Kładli ogromny nacisk na to, by postępować wobec ludzi uczciwie i z szacunkiem. Lyrralt rzekł chłodno: - Mamy pieniądze. Potrzebujemy prowiantu oraz nowin. Możemy godziwie zapłacić. Mamy też wieści na wymianę. - Igraine polecił mu powiedzieć również o tym. - Powiedziałem, że nie... - rzekł jeszcze mniej uprzejmie i głośniejszy pierwszy człowiek, lecz przerwał mu jakiś inny. - Turk... Posłuchajmy przynajmniej, co ma do powiedzenia. - Ten, który to powiedział, był wyższy, szczuplejszy i jeszcze brzydszy od pierwszego. Na czubku wąskiej głowy nosił niewielki, okrągły kapelusz. Gestem kazał rozgniewanemu człowiekowi odejść, a sam zwrócił się do grupy ogrów: - Nieczęsto widzimy ogrzych klientów. Wasi rodacy odwiedzają Nerat tylko po to, by kraść nam dzieci. Everlyn wysunęła się naprzód, wyciągając wonie. Proszę, nie mamy złych zamiarów. Nie jesteśmy do nich podobni. Jesteśmy... - Przerwała, wyraźnie szukając sposobu, aby to wytłumaczyć. Nie znalazłszy jednego słowa, użyła wielu, szybko wyjaśniając czyny Eadamma, filozofię Igraine'a i to, jakim sposobem znaleźli się na równinach. Kiedy skończyła, człowiek mruknął: - Aha, słyszałem coś takiego. Jednak nie dawałem temu wiary. - Potrzebne nam są konie, pięć albo dziesięć, wszystkie, jakie możesz nam sprzedać - rzekł Lyrralt. - I prowiant. Suszone mięso, mąka, cukier, sól. - Wino - dorzuciła Tenaj zza jego pleców. - Chcemy się też dowiedzieć czegoś o okolicy. Co jest na północ stąd? A na wschodzie? - Mówiąc to, Lyrralt wyciągnął pieniądze z kieszeni, pokazując garść stalowych i miedzianych monet. Zmrużone oczy człowieka, który słysząc ich pytania, przyglądał im się podejrzliwie, teraz rozbliły. Pod tym względem nie różnił się niczym od ogrzego kupca. - Przynieś prowiant. - Gestem polecił mężczyźnie zwanemu Turkiem pójść po rzeczy wymienione przez Lyrralta. - Przypuszczam, że w osadzie są ze trzy konie na sprzedaż. Nie więcej. Turk, który wyszedł wykonać polecenie, po chwili wrócił. Rzucił ciężki, zakurzony worek na ladę i posłał Lyrraltowi i Everlyn spojrzenie pełne takiej wściekłości, że ogr miał wielką ochotę wydlubać mu oczy z głowy. Dotknął sztyletu schowanego za pasem w fałdach luźnego płaszcza. Ruch ten nie uszedł uwadze ludzi. - Turk był niewolnikiem w Thorden - wyjaśnił wyższy mężczyzna bez cienia uprzejmości. - Ma uzasadnione powody, by nienawidzić waszej rasy. W niewoli stracił palce. Rzuciwszy kolejny worek na wierzch poprzedniego, Turk położył na nim ręce. Rzeczywiście nie miał palców lewej dłoni, a u prawej zostały mu tylko dwa. - Straciłem je? - warknął Turk i najpierw podsunął okaleczone dłonie pod nos człowiekowi, a potem machnął nimi przed oczami Everlyn i Lyrralta. - Mój pan - wymówił to słowo ze splunięciem, zaciskając prawą dłoń w pięść - zjadł je. Na moich oczach. Everlyn zaczerwieniła się. Lyrralt wzruszył ramionami. Ogr albo ogrzyca mieli prawo zrobić ze swoją własnością wszystko, na co mieli ochotę. Mimo to odwrócił się od widoku okaleczonych dłoni. - Niech ktoś inny ich obsługuje. - Turk jeszcze raz uderzył pięścią w worek z mąką, a potem oddalił się. - Sami to zrobimy - powiedziała cicho Tenaj, idąc po worki. Lyrralt był zaskoczony, widząc na jej twarzy ten sam wyraz współczucia co u Everlyn. Khallayne siedziała na głazie na krawędzi obozu

i spoglądała na płaski horyzont. Nawet po dniach życia na równinie nie mogła się przyzwyczać do tej nie kończącej się płaszczyzny. W odległości kilku metrów Jelindra i Nomryh ćwiczyli zapalanie i gaszenie ognia. Jelindra robiła postępy w zdumiewającym tempie, lecz jej brat miał sporo kłopotów z podstawami magii. - Nie, nie, Nomryhu - skarciła go Khallayne. - Za bardzo polegasz na słowach zaklęcia. Spróbuj się po prostu wczuć. Postaraj się zapomnieć o słowach i poczuj moc. Chłopiec pokiwał głową i nachylił się nad niewielką, oczyszczoną powierzchnią, pośrodku której leżała kupka suchej trawy.

Khallayne znów zaczęła się przyglądać horyzontowi. Przez całe życie mieszkała w górach, gdzie nawet największą dolinę zewsząd otaczały góry. Płaski krajobraz, który ciągnął się w nieskończoność, był dla niej czymś przerażającym i zarazem fascynującym. Czowała to, co bogowie musieli czuć, kiedy u zarania dziejów spoglądali na Krym. Z dala od obozu, mając za towarzystwo jedynie dwoje podopiecznych i słysząc cichy szmer szeptanych przez nich zaklęć, czuła się mała i nieważna. - Khallayne? - Jyrbian usiadł na skałach kilka kroków od niej. - Przyglądałem się, jak radzisz sobie z dziećmi. - Masz kłopoty z magią? - Poklepała głazy bliżej siebie, wołając go gestem. Pokiwał głową, robiąc tak zrozpaczoną minę, że wybuchła śmiechem. - Mnie zajęło to dwieście lat, Jyrbianie. Nie spodziewaj się, że opanujesz tę sztukę w kilka tygodni. - Wiem. - Przysunął się bliżej. - Chodzi o to, że zaszedłem tak daleko... Doskonale go rozumiała. - Przez dwieście lat torturowałam ludzkich magów, by wydobyć z nich zaklęcia. Jednak do momentu bitwy w lesie niczego nie rozumiałam. - Odwróciła się bokiem, podciągając kolana. - Magia ludzi i ogrów niezmiernie się różni. Nie uświadamiałam sobie, że sama sobie związuję ręce, polegając na ludzkich formułach zaklęć i składników czarów. Słuchał każdego jej słowa, jednak widziała, że w rzeczywistości jej nie rozumie. - Przykro mi, Jyrbianie. Nie umiem ci tego objaśnić w lepszy sposób. Musisz po prostu wyzbyć się hamulców. Musisz zaufać swej intuicji. Wyciągnęła pięść i raptownie rozprostowała palce. Na jej dłoni tańczyły puchate kule podobne do tych na wierzchołkach pobliskich traw, pominawszy fakt, że jej kule świeciły się w środku. - Spróbuj się wczuć. Nie mogę powiedzieć ci nic więcej. Ogr wyciągnął pięść, skupił się i rozwarł palce. Między nimi niczego nie było. Khallayne uśmiechnęła się na widok jego przygnębionej miny. Jemu było ciężiej niż większości. Potężny wojownik Jyrbian nie był przyzwyczajony do porażek. - Doczekasz się, Jyrbianie. Tak samo jak ja. I Jelindra. Nie zwracał już na nią uwagi. Spoglądał na wschód, gdzie na granicy ziemi i nieba pojawił się oddział konnych. - Spójrzcie! - zawołała do swych uczniów, wskazując przybyszy. - To tylko pani Everlyn i pozostali - zaprotestował Nomryh. Khallayne spojrzała na niego surowo. - Też tak sądzę. Co powinniśmy zrobić? - Pobiec i zawiadomić wartowników. Ogłosić alarm - chłopiec znużonym głosem klepał wyuczone na pamięć słowa.

- Doskonale. - Khallayne zlitowała się nad nimi i odprawiła machnięciem ręki. - Idźcie zgodnie z obowiązkiem zawiadomić strażę. Potem pobawcie się trochę przed kolacją. Na dziś dość zajęć. Obydwoje oddalili się biegiem, natychmiast odzyskawszy siły. Jyrhian również wstał. - Pójdę lepiej sprawdzić, czego się dowiedzieli. - Wyciągnął rękę, aby pomóc jej wstać, lecz Khallayne zawahała się przed jej przyjęciem. - Chyba zostanę tu jeszcze przez chwilę. W obozie podniósł się szum, kiedy Lyrralt i jego towarzysze wjechali, wiodąc trzy nowe konie objuczone prowiantem. Wszyscy podeszli, żeby zobaczyć, co przywieźli, i posłuchać nowin - wszyscy z wyjątkiem Kaede. Ona opuściła obozowisko z szalem przerzuconym przez ramię. Khallayne przyglądała się wszystkiemu leniwie, obserwując falujący tłum i wędrującą Kaede. Kobieta zapuściła się daleko na równinę, a potem nachyliła. Khallayne wyprostowała się i ocieniła oczy dłonią. Widziała, jak Kaede podnosi i opuszcza ręce, jakby grzebała w ziemi. Najwyraźniej szuka korzonków. Część kucharzy zaczęła eksperymentować z korzeniami, jagodami i trawami w poszukiwaniu czegoś do przyprawienia

monotonnych posiłków. Jak do tej pory suszone mięso, ugotowane i wymieszane z zieleniną i ziołami, nadal smakowało jak suszone mięso. Khallayne wciąż siedziała wpatrzona w równiny i czekała, aż złoty dysk słońca powoli zniży się ku ciemnej linii zetknięcia ziemi z niebem. Ludzie zaatakowali o zmierzchu.

Rozdział 12 - Lekcja wprowadzona w życie Przez chwilę Khallayne nie mogła otrząsnąć się z rozmarzenia. Odgłosy walki zdawały się nierzeczywiste i odległe. Ludzie z wrzaskiem i krzykiem wyskoczyli z trawy jak ryby spod powierzchni spokojnej wody w stawie. Tętent koni, krzyki dochodzące z obozu i nagły brzęk zderzających się kling rozbrzmiewały w tle. Potem rzeczywistość wdarła się siłą i Khallayne z jękiem zerwała się na nogi. Ludzie atakują! Rzuciła się biegiem, słysząc w uszach szum tętniącej krwi, która podsycala krążącą w niej magię. W chwili, gdy dotarła do obozu, ludzie toczyli zacieklą walkę z ograni. Zaatakowali wschodni skraj obozowiska. Moc sprężyła się we wnętrzu Khallayne, gotowa w każdej chwili wytrysnąć. Bój toczył się tak blisko, że na pierwszy rzut oka nie sposób było uwolnić magii bez wyrządzenia krzywdy swojej stronie. To nie była obszarpana banda zbiegłych niewolników uzbrojonych w zrobiony domowym sposobem oręż i prymitywne dzidy. Ci wojownicy wjechali w szeregi ogrów, wymierzając na lewo i prawo ciosy toporami i maczugami. Gnali pieszo z mieczami w rękach. Łucznicy przykłęku poza zasięgiem światła z ognisk i wypuścili strzały o pierzyskach w kolorze prerii. Khallayne odwróciła się w porę, by zobaczyć, jak wyszczerzony w groźnym grymasie człowiek na koniu zabija ogrzycę. Zmiażdżył jej czaszkę jednym uderzeniem ciężkiej buławy, po czym zawrócił w stronę pozostałych wojowników. Khallayne podniosła miecz poległej ogrzycy i podbiegła do człowieka. Mężczyzna zamachnął się na nią, usłyszała świst powietrza tuż przy twarzy. Koń odskoczył na bok i jeździec zawrócił go szarpnięciem za wodze. Kiedy znów zaszarżował, uchyliła się przed jego orężem i złapała go za nogę, wysyłając przez palce strumień magii. Nie miała pojęcia, co robi. Poczwała moc, tak jak w Kal-Theraxian, jak w lesie. Podobnie jak przedtem, moc usłuchała jej bez wskazywania kierunku. Człowiek wrzasnął, spadł z konia i wił się na ziemi w śmiertelnych drgawkach, błagając o litość. Khallayne odrzuciła miecz bez oglądania się za siebie. I znowu miecz przeciął powietrze. Pojawiwszy się nie wiadomo skąd, Tenaj sparowała niski, świszający cios i odbiła go od Khallayne swym orężem. Jej następny ruch wypruł

wnętrznosci człowiekowi, który stanął z ręką przyciśniętą do krwawiącego brzucha i komicznie zaskoczona miną. Zanim Khallayne zdołała cokolwiek powiedzieć, Tenaj odwróciła się ku przerwie w szeregu obrońców i zasłoniła ją własnym ciałem, by nie przepuścić następnego napastnika. Khallayne obróciła się wokół własnej osi. W samym sercu walki dostrzegła Jyrbiana. Nie ustępował przed wrogiem ani o krok, sprawiając wrażenie niezwyciężonego. Walczący u jego boku Lyrralt ścierał się z ludzkimi napastnikami z taką samą zaciekłością jak jego brat. Wszyscy dokoła zbierali się przy nim. Ona też tam ruszyła. Natarcie ludzi zostało powstrzymane! Kiedy Khallayne zaatakowała najbliższego człowieka, obok przebiegła bezbronna Everlyn. Khallayne skoczyła, by ją powstrzymać, uchylając się przed ciosami mieczy i wymachami toporów, lecz Everlyn dotarła do Jyrbiana pierwsza. Rzuciła się pomiędzy niego i człowieka, z którym się bił, krzepkiego, muskularnego mężczyznę, któremu z powodu braku palców na prawej ręce niezręcznie było trzymać broń. Jyrbian opuścił oręż, a człowiek był tak zdumiony tym, że ogrzyca zasłoniła go własnymi ramionami, że nie wykorzystał natychmiast nadarżającej się okazji. - Proszę, przestań! - krzyknęła Everlyn. - Everlyn! Zejdź mi z drogi! - Wyciągnął rękę, żeby ją odepchnąć na bok. Dziewczyna umknęła mu, nadal osłaniając człowieka swym ciałem. Popchnęła kobietę, która walczyła z Lyrraltem. Wojowniczką była tak zdumiona, że omal nie wypuściła broni z ręki. Jednakże Lyrralt zareagował inaczej. Postąpił o krok i wzniósł buławę wysoko nad ramię. Zanim zdołał strącić

kobiecie głowę z karku, zatrzymał go Igraine. Stał naprzeciw Lyrralta, unosząc rękę przed jego maczugą. Zerknąwszy na ojca, Everlyn opuściła ręce i rzekła po prostu: - Musimy zaprzestać walki. - Mimo iż jej słowa były ciche, dotarły do wszystkich. Po obu stronach ataki stały się rzadsze, aż na całej linii ludzie i ogrowie stanęli czujnie, dysząc ciężko i trzymając broń nieruchomo, lecz w pogotowiu. - Proszę... - Everlyn zwróciła się do Turka, człowieka, który pokazał jej kalekie ręce w Neracie. - Nie po to tu przybyliśmy. Proszę, zaprzestańcie walki. Nie mamy złych zamiarów. - Ogrowie zawsze mają złe zamiary! - odwarknął, podsuwając jej pod nos okaleczoną dłoń.

Jyrbian ryknął, gdy Everlyn ścisnęła dłoń człowieka, okazując mu czułość. Zdjęty odrazą ogr wyciągnął rękę do Everlyn, lecz Igraine stanął pomiędzy nimi. - My nie jesteśmy tacy - powiedziała Everlyn do Turka, odważnie patrząc w jego zdumione oczy. - Dlatego właśnie tu jesteśmy, ponieważ... postanowiliśmy nie trzymać niewolników, nie krzywdzić innych. Dlatego wypędzono nas z domów. Turk wysunął dłoń z jej uścisku. - Nie będziecie tu mile widziani. Zbyt wielu spotkała śmierć albo gorszy los z waszych rąk. - Zatem pójdziemy stąd - po raz pierwszy odezwał się Igraine, kładąc dłoń na ramieniu córki. - Odłóżcie broń. Zostawcie nas w spokoju, a jutro ruszymy w drogę. Nie chcemy więcej zabijać. Chcemy tylko znaleźć miejsce, gdzie osiedlimy się w spokoju. Khallayne rozejrzała po szeregach walczących i spostrzegła, że słowa Igraine'a znalazły zrozumienie nawet wśród ludzi. Zaczęli opuszczać oręż, wyraźnie odprężeni. Poczwała, jak napięcie maleje. Turk spojrzał na Everlyn. - Czy to prawda? - spytał ją. - Odejdziecie, nie wyrządzając dalszych krzywd mojemu ludowi? Zanim Jyrbian czy którykolwiek z tuzina zamierzających odpowiedzieć zdążył otworzyć usta, pokiwała głową z naciskiem. - Tak, obiecuję. Turk wykonał gwałtowny gest i ludzie zaczęli się wycofywać. - Trzymam cię za słowo - Turk ostrzegł Everlyn - choć może jestem szalony, czyniąc to. Jeśli jednak złamiecie przyrzeczenie... - Wycofał się, nie kończąc zdania. Ludzie rozplłynęli się w stepie równie szybko i cicho, jak się zjawili, zabierając ze sobą swoich poległych i opuszczając osłupiałych ogrow. Gdyby nie kilku rannych i zabitych Khallayne omal uwierzyłaby, że żadna bitwa nie miała miejsca. - Co... - Nawet tak władczy, zazwyczaj pewny siebie Jyrbian nie wiedział, co powiedzieć. - Coś ty zrobiła? - spytał wreszcie Lyrralt w ciszy tak głębokiej, że wszyscy usłyszeli jego słowa. - Dlaczego powstrzymałaś walczących? Powinniśmy byli zabić ich wszystkich! - Czy tego nauczyłeś się od mojego ojca? Czy tym chcesz być, po wszystkim, przez co przeszliśmy? - cicho, ale zdecydowanie spytała Everlyn. Jyrbian odrzekł, wyraźnie mając trudności ze zrozumieniem: - Oni nas zaatakowali. Kaede pojawiła się u boku Jyrbiana z okrwawionym sztyletem w dłoni. - To są ludzie. - Gdyby powiedziała „zwierzęta” albo „gnój”, jej głos nie mógłby wyrazić większej odrazy i pogardy. - Napadli nas zniemacka.

Khallayne uprzytomniła sobie, że Kaede nie było w obozie. Usiłowała sobie przypomnieć, czy widziała ją podczas bitwy. - Oni mają powód, żeby nas nienawidzić - mówił cicho Igraine - po tym wszystkim, co im zrobiliśmy. Jyrbian otworzył usta, żeby zaprzeczyć Igraine'owi i przytaknąć Kaede. Ludzkie istoty były głupie i dzikie, nadawały się jedynie do pracy w niewoli. A co do ludzi, którzy usiłowali zabić ogrow... kipiał nienawiścią i żądzą wymordowania ich wszystkich. Jednak przyglądała mu się Everlyn. Słodka, dobra, łagodna Everlyn, która sprawiała wrażenie tak wiotkiej, że jego wściekłość mogła ją spalić. Z trudem okiełznał emocje i został nagrodzony uśmiechem, od którego zrobiło mu się ciepło na sercu. Jednak kiedy zrobił krok w jej stronę, odsunęła się jak zwykle. Kaede dotknęła ręki Jyrbiana, przyciskając pierś do jego ramienia i spoglądając na niego z całym żarem, całą namiętnością, jaką pragnął ujrzeć w oczach Everlyn. Odwrócił się. - Nie możemy dalej tędy jechać - oznajmił, zwracając się do Igraine'a. Khallayne wystąpiła naprzód. Lyrralt stał u jej boku. Nie wiadomo skąd pojawił się również Bakrell, który ścisnął w garści okrwawioną broń, podobnie jak jego siostra. Nadając swym słowom pełne szacunku brzmienie, Jyrbian rzekł: - Czas już

porozmawiać o przyszłości. Stale jesteśmy w odwrocie. Teraz znów chcesz, żebyśmy uciekli, tym razem przed bandą żalonych ludzi. Mogliśmy ich pokonać, uczynić z nich niewolników! Zbudować nową ojczyznę tutaj. Tylko kilku zebranych wokół mruknęło potakująco, a wielu pokręciło głowami, lecz nikt się nie odezwał. Czekali na reakcję Igraine'a. Zmrużywszy oczy, zaczerwieniona Everlyn rzuciła zaciekle: - Niczego się nie nauczyłeś! Niewolnictwo jest złą rzeczą! Nigdy nie zdołamy wybudować... Igraine uciszył ją ukradkowym spojrzeniem. - Musimy znaleźć sobie własną ojczyznę - rzekł cicho. a następnie powtórzył słowa głośno dla tych, którzy stali z tyłu. - I musimy ją zbudować sami. Jej podwalinami musi być nasz trud, a nie cudze nieszczęście. - Chcesz powiedzieć, że nie będzie niewolników? - Lyrralt spojrzał na Igraine'a z niedowierzaniem. Już głoszenie dobroci i łagodności dla powiększenia wydajności niewolniczej pracy wydawało się wystarczająco złe. Ale to...! - Lyrralcie. Złem jest zabrać kogoś z jego ojczyzny, od jego rodziny. Złem jest zamykać go, odbierać mu wolność. - Everlyn dotknęła jego ramienia z takim współczuciem, z jakim dotknęła tamtego człowieka.

Na obliczu Jyrbiana odmalowały się zazdrość i pożądanie. Lyrralt wytrzeszczał oczy na nią tak jak na Igraine'a, jakby zetknął się z kimś albo czymś, czego wcześniej nie widział. Przekonujące słowa Igraine'a wypełniły ciszę. - Jeśli nie zmienimy swych zwyczajów, jesteśmy zgubieni. Czyżbyście - wy wszyscy! - nie pojmowali tego w Takarze? - Rozłożył szeroko ręce. Rozległ się szmer potakiwania. - Czy nie czuliście beznadziejności, bezsensu naszego życia? - Jyrbian rozejrzał się w tłumie i dostrzegł ożywione twarze, rozgorączkowane oczy. Igraine przemawiał teraz przekonująco z wielką pewnością: - Czyżbyście nie rozumieli, co się stanie z naszym rodzajem, jeśli dalej będziemy kroczyć tą ścieżką niegodziwości? Czyż teraz, żyjąc tak, jak przez ostatnich kilka tygodni, nie czujecie się silniejsi niż w ciągu całego swojego nędznego życia? Podbił ich wszystkich, ich serca i umysły. Fala radości i wiary, jaka biła od jego słuchaczy, była tak silna, że prawie dostrzegalna. - Wyruszymy o świcie! - powiedział. - Znajdziemy własne miejsce, gdzie zaznamy szczęścia i spokoju. Zgromadzeni westchnęli. Obejmując swych najbliższych, ogrowie zaczęli się rozchodzić. Everlyn odeszła ze swym ojcem, nie rzuciwszy nawet okiem na Jyrbiana, który poszedłby za nią, gdyby Lyrralt nie chwycił go za ramię i nie odciągnął. - Czy herezja, jaką głosił przez cały czas, to wyrzeczenie się niewolników? - zapytał brata Lyrralt, obejmując spojrzeniem również Khallayne. Jyrbian wzruszył ramionami, wbijając wzrok w plecy oddalającej się Everlyn. - Byłem zbyt zajęty, żeby siedzieć u stóp Igraine'a jak kochające dziecko. - Odwrócił się. Pozostali również rozeszli się, zostawiając jedynie Khallayne i Bakrella, którzy usłyszeli grozę w głosie Lyrralta. - To szaleństwo! Było już wystarczająco złe, kiedy mówił o dokonywaniu wyboru. Teraz chce, żebyśmy żyli jak istoty ludzkie, wygrzebując pożywienie z ziemi i własnymi rękoma budując żalodne lepianki! Czy was to nawet nie obchodzi? - A ciebie? Obchodzi? - Bakreł popatrzył Lyrraltowi w oczy z bliska, jakby chciał ocenić szczerłość jego odpowiedzi. Cóż, ja o to nie dbam - oznajmiła Khaltayne, zanim Lyrralt zdołał odpowiedzieć. - Nie dbasz dopóty, dopóki możesz praktykować swą heretycką magię! Spojrzała w jego zagniewane oczy z równie stanowczą miną. Od jak dawna uważała swą magię za coś, co należy ukrywać? Za coś złego? Każda filozofia, heretycka czy nie,

warta była spokoju, radości i poczucia przynależności, jakich zaznała przez ostatnie tygodnie. Wzruszyła ramionami, dziwnie przypominając Jyrbiana sprzed chwili. - Masz rację. Ani mnie ziębi ani grzeje ta jego filozofia. Odwróciła się i odeszła, utwierdzając Lyrralta w przekonaniu, że musi szybko przystąpić do dzieła, bez względu na to, czy nadarzy się odpowiednia okazja czy nie. Cekał na stosowną chwilę, by zabić Igraine'a i zbiec, zanim jego uczynek zostanie wykryty. Być może będzie musiał zginąć razem ze swoją ofiarą. Runy na jego skórze zaszemrały z aprobatą. Strach. Widziała twarz i było to jej własne oblicze. A jednocześnie nie jej. Bładozielona cera, która zawsze

przyciągała mężczyzn jak muchy do miodu, była upstrzona plamami, cętkowana i gruzłowata niczym kora drzewa. Czarne oczy patrzyły tępo, głupio i posepnie. Jednak były to jej oczy. Obudził ją wrzask. Odgłos tak bardzo pasował do obrazu z jej koszmarów., że przez dłuższy czas Khallayne leżała owinięta w koc, słuchając krzyku, który mógł być jej własnym, gdyby nie... Wycie trwało nieprzerwanie, stawało się coraz głośniejsze, aż wreszcie zakończyło się nagle ciszą okropniejszą niż cały uprzedni hałas. Kiedy wreszcie Khallayne poznała, że przerażony głos należy do Jelindry, a nie do niej samej, zerwała się na nogi, potykając się o koc, który zaplątał jej się wokół kostek. Widoczni po drugiej stronie ogniska Tenaj i Lyrralt również wyplątywali się z okryć. Jyrbian leżący bliżej namiotu, w którym spał Igraine, zrzucił z siebie derki z przekleństwem, które zbudziło następnych ogrów. - Co tam się dzieje, na Sargonnasa? Zanim ktokolwiek zdołał udzielić odpowiedzi, kolejny wrzask rozdarł powietrze. Jyrbian bez wahania wy dobył miecz i odwrócił się w kierunku zamieszania. Jego miecz jednakże na nic się nie zda w walce z potworem, który wyłonił się z nicości i wzbil w powietrze. Może było ich więcej. Khallayne nie była pewna. Kiedy wymachujący mieczem Jyrbian ruszył do ataku, w niebo wzbil się obłok, który mógł składać się z jednego, ale również z dwudziestu stworzeń. Jego oblicze szybko się zmieniało. Potwór przypominał kota, węża, miał kły, czarną paszczę, raz był skałą, chwilę potem tylko mgłą. Było ich dwa, potem jeden, potem cała masa, wijąca się niczym węże, które wypelzają z zimowego leża w jaskini na wiosenne słońce.

Miecz Jyrbiana zagłębił się w ciele i mgle. Nagle wysunęła się kończyzna, która zmieniała się z długiej, oślizgłej macki w zakończoną pazurami, gruzłowatą okropność, i odrzuciła Jyrbiana na sześć metrów w tył. Ogr upadł bezwładnie i znieruchomiał. Khallayne chciała już do niego podbiec, lecz Tenaj złapała ją i odciągnęła do tyłu. - Zapomnij o nim! Potwór był teraz mniejszy, bardziej wyraźny i groźniejszy, lecz jego ruchy miały wciąż powolny, senny, niemal czuły charakter, kiedy niemożliwie długimi palcami złapał ogrzycę za kark. Usiłowała krzyknąć, lecz z jej gardła wydobył się tylko charkot, a potem raptownie umilkła. Mglisty potwór przybierał coraz konkretniejszą postać, podczas gdy z żywej istoty zostawała tylko wątpa powłoka, martwa i nie mocniejsza od papieru. W obozie rozległy się kolejne krzyki, następni bowiem ogrowie zbudzili się i ujrzeli potwora, który przesłaniał im gwiazdy. Panowie i damy, dla których ledwie tydzień temu sztylety były tylko wysadzonymi klejnotami przedmiotami do ozdabiania pasków, chwycili za ceremonialne miecze i prymitywne piki i szykowali się do walki. Khallayne wiedziała, że samą odwagą nic nie zdołają. Czyż Jyrbian właśnie tego przed chwilą nie udowodnił? Czuła, jak Tenaj gromadzi moc, słyszała szmer zaklęć padających z ust innych ogrów. Tenaj dopiero uczyła się tego, co Khallayne praktykowała już jako dziecko, i drzemiąca w niej moc wciąż budziła jej niepewność. Uświadomiła sobie, że musi jej pomóc. Chmurowy potwór odwrócił łeb ku nim. Miał dwie, trzy, tuzin przerażających pysków, które zlały się w jeden, potem znów podzieliły, a następnie stopiły w coś brzydkiego, potwornego i stałego. Khallayne usiłowała zamknąć oczy. skupić się i przywołać moc. Nie potrafiła. Nie mogła ruszyć żadnym mięśniem. Nawet powieki odmawiały posłuszeństwa, nie chciały przesłonić tych sennych ruchów, boleśnie powolnych zmian oblicza z jednego w wiele. Jakby był kameleonem. Jak we śnie. Tenaj zakończyła zaklęcie czaru „wygnanie” i cisnęła nim w potwora z całą nową nabytą siłą, na jaką mogła się zdobyć. Monstrum zawahało się, a potem wyprostowało i ruszyło na nie, rozwierając olbrzymią, zębatą paszczę. Skoczyło jak sprężony wąż, który atakuje. W ostatniej chwili przed uderzeniem Khallayne zrozumiała jego naturę. Piętnaście, może dwadzieścia metrów dalej ze śpiącej postaci wysnuwała się wątpa smuzka dymu, która

jak ogon łączyła potworną chmurę z ziemią. Pośród całego zamętu i zgiełku Jelindra spała. Stwór wypływał z niej. To głos Jelindry obudził Khallayne... Tenaj upadła, powalona jedną z wijących się macek. Usiłowała wstać, lecz cios ją ogłuszył. Poślizgnęła się. Kiedy usiłowała się podnieść, ręce

nie wytrzymały jej ciężaru. Przerazająca, na wpół stopiona, na wpół potworna twarz łypnęła do Khallayne. Smród rozkładu i zgnilizny buchnął jej w nozdrza. Bliskość potwora rozluźniła jej zdrętwiałe mięśnie. Uniosła wysoko ręce, tworząc tarczę ochronną dla siebie i Tenaj. - Zrób coś! - Lyrralt nie wiadomo skąd wyrósł u jej boku, ściskając w garści buławę. Pomógł Tenaj wstać, podpierając ją swym silnym ciałem, a potem złapał Khallayne za ramię. - Zatrzymaj go! Khallayne próbowała wyrwać się z jego stalowego uścisku. Czubki jego palców zostawiały śinice na jej ciele. Monstrum znów rzuciło się na nich i odbiło od tarczy. Ponownie skoczyło i jeszcze raz zostało odepchnięte. Stańto na tylnich nogach i ryknęło z furii i bezsilnej złości. Rzuciło się do ataku na otaczających go wojowników, ogrów pozbawionych wystarczającej mocy, by ochronić się tarczami. Złapało kopiącego i krzyczącego chłopca i uniosło go w powietrze. Lyrralt potrząsnął Khallayne. - Khallayne! Zrób coś! - Jelindra... - zdołała wykrztusić. - Koszmar Jelindry. Obudźcie ją. - Wskazała na ledwie widoczną w tłumie śpiącą postać. Zrozumiawszy wreszcie, Lyrralt przystąpił do działania. Przeskakiwał przez ogniska, uchylał się przed zdumionymi, krzyczącymi ogrami, przebiegł przez obozowisko i chwycił śpiącą Jelindrę. Jego dotyk był bezceremonialny i nagły. W odpowiedzi bestia, która wiła się w powietrzu nad jego głową, ryknęła i plunęła ogniem i trującym dymem. Płomień liznął głowę i barki Lyrralta. Khallayne pobiegła ku niemu, pewna, że ogr spłonie. Kiedy zbliżyła się do niego, potwór znikł. Khallayne mrugnęła oczami raz i drugi. Potwór rozplynął się w powietrzu, a na ciemnym niebie migotały gwiazdy, jakby nic się nie stało. Jelindra siedziała, ściskając koc w dłoniach. Lyrralt, który wciąż stał nad nią z buławą w ręku, nie odniósł obrażeń. Wtedy Jelindra wydała straszny i żałosny krzyk. Khallayne i Lyrralt szybko odwrócili się w kierunku, w którym spoglądała, spodziewając się ujrzeć kolejnego potwora.

Zamiast niego zobaczyli jednak Celise, matkę Jelindry. Klęczała na ziemi, płacząc nad martwym ciałem Nomryha.

Rozdział 13 - Mordercza niewinność - Czy Jyrbianowi nic się nie stało? - spytała Khallayne Lyrralta, ocierając ze znużeniem czoło. Jelindra i Celise wreszcie uspokoiły się dzięki odrobinie wina i magii oraz pocieszającym, dodającym otuchy słowom Igraine'a. Bakrell zbliżył się dumnym krokiem w samą porę, by usłyszeć jej pytanie. - Składa zażalenie w sprawie interesującego guza na głowie. Everlyn poklepuje go po nadgarstku, a moja siostra kipi złością. Przyciskając zranione ramię do boku, Tenaj wybuchnęła śmiechem tak srebrzystym, jak jej oczy. Bakrell spojrzał na nią taksującym, pełnym podziwu wzrokiem przypominającym Khallayne o dawnym Jyrbianie, który starał się uwieść ją i wszystkie inne kobiety na dworze swym awanturniczym wdziękiem i pogodą ducha. Teraz nie można go było dostrzec spoza maski władczości, którą przywdział, by zdobyć serce kobiety, która nie zwracała na niego uwagi. Przez chwilę żal jej było tamtego Jyrbiana i tamtego minionego świata, a potem zapomniała o nich. Nie wyrzekłaby się magii za cenę powrotu do tego wygodnego życia. Tłum otaczający Jyrbiana rozstał się. Ogr szedł, lekko utykając, wsparty na ramieniu Everlyn. Na jego obliczu gościł błogi wyraz, którego Khallayne nigdy nie spodziewałaby się ujrzeć na jego twarzy. Bez względu na rozmiar obrażeń teraz nie sprawiał już wrażenia osoby bardzo cierpiącej. Zgodnie z tym, co powiedział Bakrell, Kaede podtrzymywała go za łokieć. Niebo podczas burzy nie mogło być bardziej zachmurzone od jej oblicza. - Jak się czuje Jelindra? - spytała Eyerlyn, szukając wzrokiem dziecka. Khallayne zaczekała, aż trójka znajdzie się w zasięgu jej głosu. - Ma się lepiej. Twój ojciec jest przy nich. - Czy naprawdę sądzisz, że to ona wyśniła tego potwora? - zaniepokoił się Jyrbian. - Tak, ale nie możesz jej o to oskarżać. Jest tylko dzieckiem, w dodatku odchodzi od zmysłów z żalu. Nikt nie potrafi kontrolować swoich snów! - Jeśli raz coś takiego spowodowała... co zrobimy w przyszłości? - spytał. - Pozwolimy, by nas przypadkowo pozabijała jednego po drugim? - Jego głos był mniej surowy, mniej oskarżycielski, lecz wciąż przepełniony

goryczą.

- Nie wiem. - Moglibyśmy na zmianę czuwać nad nią w nocy - zaproponowała Everlyn. - Jeśli coś takiego zdarzy się ponownie, możemy zbudzić ją natychmiast i przerwać czar. - Albo możesz zginać wyssana do cna jak jej brat. Everlyn wysunęła się spod ramienia Jyrbiana, a na jej obliczu zagościła nagła rezerwa. - Pójdę sprawdzić, jak ona się czuje. - A co ze mną? - zawołał za nią figlarnie Jyrbian. Tylko Lyrralt znał go dość dobrze, by usłyszeć rozczarowanie w jego głosie. Everlyn uśmiechnęła się przez ramię, potrząsając jedwabistymi włosami, które spływały jej na plecy. - Chyba poradzisz sobie sam. Jej ciepły uśmiech sprawił, że Jyrbian zapomniał o wszystkim. Nie zauważył tego, że oblicze Kaede z pochmurnego stało się posępne. Nie oglądając się na nią, pokuśtykał do swego posłania. Posyłając tęskne spojrzenie w kierunku odchodzącego Jyrbiana, Kaede odwróciła się do Bakrella. Dała mu gestem znać, by nie oddalał się od grupy. Chwycił ją za ramię i bez słowa przytrzymał chwilę. - Zajmij ich czymś - szepnęła. Niechętnie skinął głową i wrócił do Khallayne, gdy tymczasem Kaede wróciła do swego posłania po szal i mały pakiecik. Kiedy wymknęła się z obozu, zobaczyła, że Bakrell wciąż znajduje się w środku gromadki, zajmując ich uwagę pytaniami i rozmową. Od czasu napaści ludzi pod Neratem ogrowie wystawiali warty w nocy. Kaede i Bakrell pełnili wartę na zmianę, siedząc poza obrębem obozu i wpatrując się w ciemność. Ktoś jednak mógł się wymknąć - albo wślizgnąć do środka. Kaede narzuciła ciemny szal na jasne włosy i ukradkiem opuściła obóz, wychodząc na równinę. Solinari właśnie wschodził, oświetlając horyzont bladym, zimnym światłem. Ogrzyca szła przez wysoką, wilgotną od rosy trawę, aż ogniska w oddali ledwo migotały, a jedynymi dźwiękami były szum traw i świergot nocnych ptaków. Szukała tak długo, aż dotarła do niewielkiego wzniesienia. Wykopała za nim mały dołek i zagrzebała pakiecik. Na równinie nie było kamieni, więc zaznaczyła miejsce, wrywając wokół niego trawę na szerokość dwóch dłoni. Potem rzuciła na nie drobny czar naprowadzający każdego, kto wiedział, jak szukać.

Otrzeputując trawę i ziemię ze spodni, wstała i ruszyła w stronę obozu. Cichy, świszczący szept wiatru przerwały czyjeś głosy, które dochodziły z tak niewielkiej odległości, że mogła usłyszeć, o czym była mowa. Kaede położyła się płasko na ziemi, czekając aż głosy znów się odezwą. Po chwili cichy kobiecy głos przerwał milczenie: - Jestem tutaj. Odpowiedział jej równie cichy męski głos. Znów rozległ się głos kobiety: - Och, moja miłości, przyszedłeś. Tym razem Kaede rozpoznała go. Mimo radosnego tonu, jakiego nigdy nie słyszała w głosie Everlyn, była pewna, że to ona! I to na potajemnym spotkaniu z kochankiem! Serce podskoczyło jej z emocji, gdy mężczyzna odpowiedział. Nie usłyszała go wystarczająco wyraźnie, by móc go rozpoznać. Modląc się, by nie był to Jyrbian, uniosła ostrożnie głowę, by się lepiej przyjrzeć. Kiedy Kaede wślizgnęła się z powrotem do obozu, Bakrell siedział na derce i czekał na nią z napięciem. Ogrzyca rozejrzała się wokół, upewniając się, czy nikt nadmiernie nie interesuje się ich rozmową, a następnie nachyliła się blisko ku niemu. - Bakrellu, nie uwierzysz, czego się dowiedziałam o Everlyn! - szepnęła. Przyjrzał się jej zarumienionej twarzy i błyszczącym z podniecenia oczom. Jej wargi wykrzywił szeroki uśmiech. - Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. Kaede. Ostrożność i dezaprobata w jego głosie stłumiły nieco jej entuzjazm. - Zastanawiałem się... czy przypadkiem nie zapomniałaś, po co tutaj przybyliśmy. - Spojrzał wpierv na nią, a potem na własne ręce zaciśnięte na podołku. - Co masz na myśli? - Tylko to, co powiedziałem. - Przysunął się bliżej. - Myślałem o tym, że biorąc pod uwagę, co czujesz do Jyrbiana, czy nie... - O niczym nie zapomniałam! - Kaede spojrzała na niego wściekle, odtrącając dłoń, którą wysunął w geście pojednania. - Szukałam bezustannie i doszłam do wniosku, że to musi być Jyrbian. Jak myślisz, dlaczego uganiam się za nim? Bakrell uniosł brew i uśmiechnął się. - W porządku - przyznała Kaede. - Pragnę go również z innych przyczyn. Co w tym złego? Przez

to moje postępowanie wydaje się tylko bardziej przekonujące. Nie zapomniałam, po co przybyliśmy i wypraszam sobie...

- Kaede. - Przerwał jej, łagodnie kładąc palce na jej wargach. - Powoli. Źle mnie zrozumiałaś. Nie oskarżam cię. Tylko... rozmyślałem. To życie nie jest wcale takie złe, nie mam racji? Jest dość podniecające i możemy robić, co nam się podoba. Pomyślałem sobie, że może nie powinniśmy przysparzać żadnych kłopotów... - Nie mam zamiaru przysparzać kłopotów - odparła słodko i zepchnęła go ze swego posłania. Dwa dni później Kaede czekała na Jyrbiana na skraju obozowiska. Przywitał ją uśmiechem, którego natychmiast pożałował na widok jej rozpromienionego oblicza. Była urzekającą kobietą i nie miał żadnych wątpliwości co do tego, że ją pociąga. W innym życiu, jeszcze kilka tygodni temu, byłby nią zainteresowany. Teraz jednak była Everlyn, która zaćmiła Kaede jak słońce przyćmiewa blask gwiazd. - Jyrbianie - rzekła głosem słodkim jak śmietanka. - Muszę z tobą porozmawiać. Ze sposobu, w jaki to powiedziała, mógł się domyślać, że nie chodziło jej o rozmowę. Odpowiedział jednym słowem, jej imieniem. Lekki uśmiech złagodził ostrzeżenie w jego głosie. Wyciągnęła do niego ręce, biorąc go w objęcia i psotnie krępując mu ramiona. Jej biust przyciśnięty do jego piersi był miękki, a oddech słodki. - Pragnę cię. Jyrbian odstąpił o krok i delikatnie ją odsunął. - Kaede, nie rób tego. Nie powiem, że nie czuję pokusy. ale... Figlarną i uwodzicielską minę na jej twarzy zastąpiło ponure rozczarowanie. - Wydaje ci się, że jej pragniesz. Ale ona nie jest taka, jak myślisz! - Nie mów niczego przeciwko Everlyn, Kaede - ostrzegł ją. - Więc sam zapytaj! Spytała ją, czemu opuszcza obóz, kiedy jest przekonana, że wszyscy śpią. Spytała ją, z kim się spotyka w nocy! Spytała ją... Po raz pierwszy od chwili, gdy poznała Jyrbiana, jego gwałtowność ją przeraziła. Furia wykrzywiła mu twarz. Wpił palce w miękkie ciało jej ramienia. - Robisz mi krzywdę - załkała, przywierając do niego bliżej. - Krzywdę! - ryknął. - Ja cię zabiję! - Więc mnie zabij! - Znieruchomiła mu w rękach. - Spytała ją, a potem zabij mnie, jeśli kłamię. Szybko odśpiewam pieśń śmierci i spokojnie położę się pod twój miecz. - Przytuliła się do niego jeszcze mocniej. Pozwolił jej na to. Zgniół ją w objęciach tak mocno, że węzłki na jego pasie podrapały jej skórę. Wplótł palce w jej włosy i szarpnięciem odciągnął jej głowę.

- Spytała ją. Chyba że boisz się usłyszeć prawdę. Chyba że zgodzisz się przyjąć ją ze świeżym zapachem ludzkich rąk na jej ciele. - Co ty mówisz? - wychrypiął Jyrbian. - Prawdę. Widziałam to i owo. Zanim zadecydujesz, kogo pragniesz, powinieneś znać prawdę. Zapytała ją. Ja zaczekam. Jyrbian spojrzał na nią. Odstąpił do tyłu tak raptownie, że się potknął. - Jeszcze wrócę - niemal wysyczał. Nie zmniejszyło to przekonania w jej głosie. - Nie po , to, by mnie usmiercić. - I tak mogę cię zabić - poprzysiął. Znalazł Everlyn w namiocie Igraine'a, gdzie siedziała na stołeczku przed prowizorycznym stołem, na którym jej ojciec trzymał mapy. Ogarek świecy na kawałku kory oświetlał trochę pomieszczenie, rzucając ciepły blask na twarz Everlyn. W ciemnym kącie Jyrbian dostrzegł przykrytą kocem i oddychającą miarowo postać, zapewne Jelindrę. - Czy ona śpi? - spytał. Everlyn skinęła głową. - Chyba czujesz się lepiej. - Kiedy nie zrozumiał, wskazała na jego nogę i rzekła: Już nie kulejesz. Wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że rana była powierzchowna. - Co się stało? - Wstała i podeszła do niego, bliżej klapy namiotu, a dalej od śpiącej dziewczynki. Wciąż mówiąc cicho, położyła dłoń na jego ramieniu i powtórzyła pytanie. - Everlyn... - Mało brakowało, a odszedłby. Przez chwilę miał wrażenie, że nie potrafi żyć z tą świadomością. Musi się jednak dowiedzieć. - Muszę cię o coś spytać. , Muszę... Czy jest...? Powiedziano Dostrzegł prawdę w jej oczach, smutek i zaleźnione wyczekiwanie, zanim jeszcze dokończył pytanie. Poznał, że , Kaede nie myliła się. - To prawda! Wykradasz się z obozu, żeby się z kimś spotykać. - Tak. - Rzekała to cicho, miękko, bez żalu. Gdyby okazała choć odrobinę skruchy... - Kto to? Potrząsnęła głową i odwróciła oczy. Tygodnie obserwowania i wyczekiwania wywołały gorączkową reakcję. -

Czemu się spotykacie potajemnie niczym złodzieje?

Znów pokręciła głową, lecz on znał już odpowiedź. - Więc to prawda! - zasyczał. - Odrzucasz mnie, ignorujesz każdy mój uśmiech, nie pozwalasz się dotknąć z powodu jakiegoś niewolnika. - On nie jest niewolnikiem! Jest... istotą obdarzoną duszą i sercem, tak samo jak ty i ja. Fakt, że szybko stanęła w jego obronie i mówiła z taką swobodą i czułością, tylko podsycił jego gniew. Sztylet wbity w brzuch nie sprawiłby mu więcej bólu. - Jyrbianie, przykro mi. Wiem, że nie jest ci łatwo to zrozumieć, ale... kiedy go poznałam... nie mogłam się oprzeć. Nie mogłam się oprzeć miłości do niego! Nie mogłam się oprzeć... Teraz nie wiem, co zrobić. - Słowa płynęły z jej ust. - Nigdy nie moglibyśmy zamieszkać wśród moich rodaków. A jego pobratymcy nienawidzą ogrów. Nigdy by mnie nie zaakceptowali. Każde słowo było jak cierń wbity w jego serce. Mimo to pragnął, by mówiła dalej, dzieliła się z nim każdym sekretem, jaki chciała mu zdradzić, pragnął być tym, przed którym otworzy swe serce. Everlyn podniosła wzrok i spostrzegła jego cierpiącą twarz i malujące się na niej sprzeczne emocje. - Jyrbianie, tak mi przykro. Nigdy nie chciałam cię urazić. On jednak jest panem mego serca... od chwili, gdy ocalił mi życie... - Eadamm - wyszeptał ogr. Przypomniawszy sobie, w jaki sposób rozmawiał z nią tego poranka w domu jej ojca i w jaki sposób ona spojrzała na niego. Uświadomił sobie, że Everlyn zostałaby w Kał-Theraxian, gdyby ten niewolnik nie poradził jej odejść. Jeszcze raz wyszeptał jego imię, czując na języku smak nienawiści i zazdrości. - Tak - przyznała z ociąganiem. - Szedł naszym śladem i chronił nas. Jego ludzie nekali królewskie wojska w górskich przełęczach. Dlatego nie dogoniły nas do tej pory. Ledwo dotarły do niego jej ostatnie słowa. Proponowała mu okruchy. - Czy sądzisz, że mogłabyś kiedykolwiek mnie pokochać? - Dostrzegł odpowiedź w jej oczach, zanim jeszcze szept zamarł na jego wargach. Zrozumiał, zanim wyszeptała odpowiedź. Powoli uniosła ręce i położyła je na swoim brzuchu. - Noszę w łonie jego dziecko. Jyrbian wyciągnął do niej ręce. Przytuliła się do niego, opierając czoło na jego ramieniu, jakby odkładała ciężkie brzemię. - Nie wiem, co zrobimy, dokąd pójdziemy, aby nasze dziecko wzrastało bez nienawiści i cierpienia. - Zamknął oczy i poczuł, jak ogarnia go martwa cisza i spokój, jakiego do tej pory nie zaznał. Powoli gładził dłońmi jej plecy, wyczuwając przez jedwabistą tkaninę delikatne kości i cienką warstewkę ciała. Jego palce musnęły jej barki i czule przesunęły się ku szyi.

Zanim zacisnął palce, wydała tylko jedno westchnienie, tak ciche i subtelne, że ledwo je można było usłyszeć. Prawie wcale się nie szamotała. - Everlyn? - Położył ją delikatnie na ziemi i odgarnął jej włosy z twarzy, przeczesując długie pasma, póki wszystkie nie ułożyły się ślicznie wokół jej ramion. - Everlyn? Tak nieruchoma. Taka piękna. Ułożył jej ręce wzdłuż boków, dotknął policzka. Skórę miała gładką i ciepłą. Jej tunika była wygnieciona wokół szyi, a kiedy ją wygładził, zza dekoltu wypadł naszyjnik, kamień w kształcie łzy, owinięty cienkim srebrnym drutem i zawieszony na srebrnym łańcuszku, lśniący czarny z czerwonymi żyłkami. Zerwał go z jej szyi, rozrywając łańcuszek. Ciszę przerwał jakiś odgłos, cichy chichot. Jyrbian podniósł głowę i zobaczył oczy przyglądające mu się z mroku: oczy Jelindry, dzikie i szalone. - Idziesz ze mną - rozkazał jej. Dziewczyna usłuchała, nie okazując najmniejszego wstrętu, choć prowadził ją, obejmując mocno za ramiona, aby móc w każdej chwili uciszyć jej krzyk. Prowadził Jelindrę przez prawie nie zamieszkaną część obozowiska. Kaede dogoniła ich przy lince, do której uwiązano jego konia. - Powiedziałaś, że wrócisz po mnie - rzekła z wyrzutem. Popatrzył na nią, jakby nigdy przedtem jej nie widział, jednak powiedział: - Przynieś nasze rzeczy. Kaede przez chwilę gapiła się na niego z otwartymi ustami, a potem oddaliła się biegiem. Kiedy skończył siodłać konie, ona już wróciła. Przyniosła nie tylko swoje bagaże, ale też jego derkę i sakwy. Jej widok otrzeźwił Jyrbiana. Ile czasu upłynęło od...? Jego umysł uciekał od wspomnienia dotyku jej miękkiej skóry. Rozejrzał się prędko. Wciąż nikt ich nie zauważył. - Zostań tu. Pilnuj dziewczyny. Jeśli choćby piśnie, zabij ją. Kaede

otworzyła usta, by zadać mu pytanie, lecz Jyrbian już wrócił do obozu, przemykając cicho między śpiącymi ogrami. Bez trudu odnalazł Khallayne. Leżała tak zakopana w koce, że widać było jej tylko czubek głowy i czarne włosy rozsypane po ziemi. Chciał już obudzić ją bezceremonialnym szarpnięciem, gdy zmienił zdanie i wsunął dłoń pod jej derki, aż jej ciepły oddech musnął mu palce.

Miękkość jej policzka przypomniła mu o cerze innej kobiety. Pogłaskał jej twarz delikatnie, wspominając gładką skórę i słodki zapach. Khallayne ocknęła się, odtrącając jego rękę. Zaciśnęła dłoń na jej ustach, nachylając się tak blisko, że musnął wargami jej ucho. - Szs, Khallayne, to ja. Przestała się szarpać, a on natychmiast odsłonił jej usta i pomógł usiąść. - Nie ma potrzeby budzić całego obozu - rzekł beztrasko. - Co się stało? - Nic. - Podniósł jej buty i podał jej. - Chodzi o dziewczynkę. Musisz pójść ze mną. - Jelindra? - Khallayne natychmiast oprzytomniała. Wzięła od niego buty i włożyła je. - Stało się coś złego? - Nie. Po prostu... oddaliła się od obozu i jest przerażona. Chodź ze mną. Khallayne szybko wstała i wzięła kurtkę. - Tędy. Kiedy Khallayne odchodziła, Lyrralt poruszył się i usiadł. Jego posłanie znajdowało się w odległości zaledwie kilku metrów. - Jyrbian? Jyrbian przyłożył palec do warg i uciszył Lyrralta. - Jyrbianie, co się stało? Dokąd idzie Khallayne? Jyrbian spojrzał na niego w sposób, jakiego Lyrralt nie widział od czasów Takaru. Jedną brew wznosił wysoko, a na jego wargach gościł uroczy uśmiezek pełen lekceważenia dla samego siebie. - To nie twój interes, bracie, jeśli wiesz, co mam na myśli. Idź spać. Jyrbian podniósł sakwy Khallayne i zniknął w ciemności. Kiedy ją dogonił, Khallayne doszła już prawie do miejsca, gdzie zostawił Kaede z Jelindrą. Obie ogrzyce siedziały na koniach. Kaede trzymała wodze pozostałych koni. Dziewczynka wydawała się jeszcze potulniejsza i bardziej nieobecna duchem niż przedtem. - Co tu się dzieje? - Khallayne gwałtownie odwróciła się do Jyrbiana. - Wyjeżdżamy - odparł. - Siadaj na konia. Kaede z morderczą miną cisnęła mu wodze jego wierzchowca. - Nigdzie z tobą nie jadę, Jyrbianie - oznajmiła Khallayne. - Nie jest nam potrzebna - rzuciła szyderczo Kaede. Jyrbian zwrócił się do Khallayne, jakby w ogóle nie słyszał Kaede. - Nie musisz, jeśli nie chcesz. Jeśli nie pojedziesz jednak, znajdziesz jej ciało... - przerwał i wskazał kciukiem na Jelindrę - porzucone, żeby zgniło na drodze za nami. - Dlaczego to robisz? Co się stało?

- Wybór należy do ciebie - rzekł beztraskim tonem. - Potrzebna jest mi tylko jako zakładniczka, żeby wziąć cię w karby. Jeśli nie będzie cię ze mną... A zanim pomyślisz o rzuceniu czaru, czy gotowa jesteś założyć się, że zdązysz rozprawić się z nami obojgiem, zanim któreś z nas ją zabije? Kiedy Khallayne wciąż stała bez ruchu, zawrócił konia i ruszył przed siebie. Kaede pojechała w ślad za nim, prowadząc wierzchowca Jelindry. - Nie robiłbym tego, Jyrbianie. - W ciemności rozległ się głos Lyrralta. Jyrbian odwrócił się raptownie, sięgając po miecz, i ujrzał naprzeciw swego brata i Bakrella. - Czemu nie? - spytał cicho Jyrbian. Odsunął otwartą dłoń od rękojeści miecza, trzymając ją jednak luźno przy boku w gotowości. - Znaleźli Everlyn. Na dźwięk jej imienia Jyrbian drgnął. Szybko wziął się w garść. Za nimi, w blasku padającym na namiot, widać było podniecenie i ruch w obozie. - Co się stało Everlyn? - spytała Khallayne. - Nie żyje. Sądząc po sińcach i śladach na ciele, została uduszona. - Jyrbian? - Khallayne przystąpiła o krok. Przyszła mu na myśl Everlyn, która stanęła pomiędzy nim a człowiekiem w Neracie. Wspomnienie było wypisane krwią. - Co się stało? - spytała Khallayne. Jej głos był głosem rozsądku i pojednania. - Everlyn widywała się z ludzkim mężczyzną w nocy poza obozem. - Kaede również wysunęła się naprzód, przemawiając głosem stanowczym i chłodnym. - Widywała się z człowiekiem? - Lyrralt nie rozumiał. - Był jej kochankiem. - Kaede wypluła z ust to słowo, jakby było czymś nieczystym. Wstrząśnięci ogrowie zareagowali milczeniem. Zanim zdążyli cokolwiek zrobić, Jyrbian rzucił się na Khallayne. Złapał ją za tył tuniki i przerzucił przez siodło swego konia. Nim zdążyła dojsć do siebie, uderzył ją w tył głowy, pozbawiając przytomności. Lyrralt skoczył naprzód. Zatrzymał się jednak, gdy Jyrbian wyciągnął

jedną ręką miecz. Koń pod nim tańczył, podniecony dodatkowym ciężarem i napięciem wokół. - Wracaj, bracie. Wracaj do swych żalonych przyjaciół. Nie jedź za nami. Nie... - Jyrbianie, nie rób tego. - Rozległ się nagle zdławiony żalem głos Igraine'a. - Stało się już wystarczająco dużo złego. Nie powiększaj nieszczęścia.

- Ty jesteś za to odpowiedzialny! - odparł Jyrbian, łypiąc okiem na tłum, jaki zgromadził się za plecami Igraine'a. - Ty! Wygłaszałeś kazania o lepszym życiu. Jest jednak pewna granica tego, co możemy zmienić, nadal oddając cześć naszym bogom. Nadal szanując naszą tradycję. Jeśli dalej będziesz szedł tą drogą, ściągniesz na nasze głowy gniew bogów! Zerknął na Kaede, która jako jedyna osoba w obozie z własnej woli stanęła po jego stronie, i kiwnął głową w kierunku gór. Odjechał galopem z Khallayne, która leżała bezwładnie na grzbiecie jego konia. Kaede ruszyła za nim, a potem zatrzymała się i na chwilę odwróciła, szarpiąc za wodze konia Jelindry, by zapanować nad zwierzęciem. Dziecko zachowywało się dużo potulniej niż koń. - Bakrellu? Zaskoczony Bakrell otworzył usta, potem je zamknął i jeszcze raz rozwarł. - Chyba tu nie zostaniesz, co? Nie ma powodu. Mamy już to, po co przybyliśmy. Czekala, ale Bakrell umknął przed jej wzrokiem. - Nie - oznajmił wreszcie. - Zostajesz? - spytała z niedowierzaniem Kaede, lecz kiedy już nic więcej nie powiedział, zawróciła konia i pogalopowała za Jyrbianem, prowadząc pozbawionego jeźdźca ogiera Khallayne i konia, na którym jechała Jelindra.

Rozdział 14 - Gniew bogów Tętent czterech koni galopujących po suchej trawie i twardej ziemi jeszcze długo rozbrzmiewał w stepie. - Musimy ich ścigać! Tenaj była zwolenniczką pościgu. Kilku stojących w pobliżu ogrów mruknęło potakująco. Lyrralt potrząsnął głową. - Jeśli ruszycie w pogoń po ciemku, na pewno zabiją zakładników. Albo was. Łatwo im będzie zastawić pułapkę. Tenaj opuściła rękę, którą miała zwyczaj trzymać na rękojeści miecza. - Dlaczego zabrali Khallayne i Jelindrę? - Nie wiem. Igraine zgarbił się i zawrócił powoli do obozu, lecz Bakrell zagroził mu drogę. - Czcigodny panie, proszę. - Zwiesiwszy te wstydu głowę, Bakrell padł na kolana przed starszym ogrem. - Muszę przyznać się do swych uczynków. Muszę wyznać ci wszystko, co wiem. Zawracający ku obozowi ogrowie stanęli. Lyrralt i Tenaj podeszli bliżej. Igraine położył dłoń na ramieniu Bakrella i pokiwał głową. Bakrell przełknął ślinę. Zaczął ze wzrokiem utkwionym w ziemi u stóp Igraine'a. - Moja siostra i ja jesteśmy jedynymi potomkami klanu Talleesów, rodu Powierniczki Pieśni Ogrów. Lyrralt jęknął. - Jednym z powodów, dla jakich przyłączyliśmy się, były przypuszczenia mojej siostry, że ktoś z was zna los Historii. - Nie rozumiem. - Igraine był bardzo poważny. - Sądziłem, że Powierniczka zmarła śmiercią naturalną. - Rada pozwoliła wszystkim w to wierzyć. Jednak Kaede jest przekonana, że to był spisek. Uważa także, że Pieśń wciąż żyje. Pieśń przemawia do naszej rodziny specjalną... muzyką. Ona nadal ją słyszy. Bakrell urwał, przechylając głowę, jakby i on przysłuchiwał się czemuś w oddali. - Nie mam jej zdolności, ale przyznaję jej rację. Sądzę, że gdyby Pieśń rzeczywiście zaginęła, zapadłaby... cisza. - Mów dalej - zachęcił młodzieńca Igraine, kiedy Bakrell zamilkł.

- Pieśń przywiodła Kaede tutaj, do kogoś wśród nas. Kaede nie była jednak pewna, kto jest właściwą osobą. Dwie noce temu powiedziała mi o swoich podejrzeniach wobec Jyrbiana. - Więc przybyliście znaleźć Pieśń - stwierdziła chłodno Tenaj. - Czy to wszystko? - Nie. Przybyliśmy również... - wymamrotał coś niewyraźnie. - Po co? Igraine ujął Bakrella za podbródek, podnosząc trochę jego głowę, by spojrzeć mu w twarz. - Nie bój się. Nikt ci teraz nie wyrządzi krzywdy. Jaki jest ten drugi powód, dla którego przyłączyliście się do nas? Bakrell zgarbił się. - Przysłała nas Rada Panujących. W tłumie rozległy się szmery, lecz Igraine opanował sytuację jednym ruchem ręki. - Mów dalej. - Sytuacja w Takarze jest bardzo zła - rzekł Bakrell. - W górach roi się od zbiegłych niewolników. Kiedy wyjeżdżaliśmy, już trzy tabory z prowiantem zostały zaatakowane i zniszczone.

Wielu okazywało niezadowolenie z tego, jak Rada Panujących poradziła sobie z kwestią Igraine'a. Byli wściekli, że ogra ukarano za powiększanie swych dochodów. Jeszcze bardziej złościł ich fakt, że Rada najwyraźniej nie była w stanie zapobiec atakom ludzi. Rada wysłała wojsko, żeby was znaleźć. Spotkaliście pierwszą i drugą kompanię i wycięliście je w pień. Nie wiecie natomiast, że nie zaprzestano wysyłania posiłków. Wiem z ostatniego meldunku naszego łącznika, że każdy następny oddział padł ofiarą napaści i został rozproszony albo unicestwiony. Przez ludzi. Z powodu tak licznych ataków zbiegłych niewolników, tak wielu skoordynowanych, zaplanowanych napaści, Rada nabrała przekonania, że ludzie są waszymi żołnierzami. - I dlatego przysłano was? - spytał Igraine. Bakrell pokiwał głową. - Potrzebne były informacje. Kaede zgłosiła się na ochotnika. - Ale my nie utrzymywaliśmy żadnych kontaktów z niewolnikami - zaprotestowała Tenaj. - Musieliście się o tym przekonać wiele tygodni temu. Bakrell chciał im opowiedzieć o tym, co Kaede dowiedziała się o Everlyn i niewolnikach, którzy od czasu napaści w górach osłaniali ich z każdej strony, lecz nie potrafił. Igraine sprawiał wrażenie starego i bardzo steranego. Oczy miał zmęczone i podpuchnięte. Bakrell nie chciał powiększać jego zgryzoty. - Owszem. Uświadomiliśmy to sobie natychmiast. Ale wciąż mieliśmy nadzieję, że dowiemy się, co stało się z Historią. I... - zawahał się. - To nie wszystko. Kaede... to znaczy,

18. Dragonlance - Zaginione Opowieści 02 - Irdowie

my... przekazywaliśmy kurierowi wiadomości dla Rady, zostawiając mapy i informacje o miejscu naszego pobytu. Tym razem tłum załamanych i zasmuconych uciekinierów nie zareagował. Stał jak ogłuszony. - Nie wiemy, czy któraś z wiadomości dotarła do celu - dokończył pośpiesznie ogr. - Nie wiemy nawet, czy odbierano je zgodnie z naszymi oczekiwaniami. Zostawialiśmy je tylko, oznaczając miejsce w umówiony wcześniej sposób. Bakrell ścisnął dłoń Igraine'a. - Proszę, czcigodny panie, powiedziałem ci o tym wszystkim dlatego, że podjąłem decyzję. Chcę zostać. Im dłużej mieszkaliśmy między wami, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że wasz sposób życia jest słuszny. Wiem, że winny jestem występków przeciwko wam, lecz pragnę zostać. Igraine ze zmęczeniem poklepał go po dłoniach. - Nie mogę sam o tym zdecydować, Bakrellu. Wszyscy będą musieli podjąć decyzję. W swoim jednak imieniu witam cię serdecznie. Wszyscy popełnialiśmy kiedyś zbrodnie i okrucieństwa. Wszyscy ucierpieliśmy. Jakby nagle przypomniał sobie, że jedyne dziecko Igraine'a leży zimne i martwe w namiocie, zbiegowisko rozeszło się bez słowa, dzieląc na mniejsze grupki. W milczeniu ogrowie wrócili do namiotu pośrodku obozowiska. Zbudowali stos pogrzebowy dla Everlyn i zaśpiewali żałobną pieśń dla Igraine'a. Bakrell poszedł z nimi. Choć nikt się do niego nie odezwał, nikt też nie odrzucił jego pomocy przy smutnych obowiązkach. Lyrralt zabrał swoje koce i samotnie wymknął się na skraj obozu, oddalając się od spętanych koni i czujnych oczu wartowników. Dzisiejszej nocy. Wiedział, że to musiało się stać dziś w nocy. Igraine zostanie sam ze swą żałobą. Lyrraltowi uda się wtedy zakraść do jego namiotu. Runy pulsowały mu na barku i swędziały na całym ramieniu. Lyrralt siedział sam w ciemności i błagał o chwilę odrętwienia, która uwolniłaby go od nacisku run. Poszukał na niebie konstelacji Hiddukela, lecz chmury zakryły Solinari i przesłoniły gwiazdy. W najciemniejszej godzinie przed świtem zakradł się z powrotem do obozu i wślizgnął do namiotu Igraine'a. Wewnątrz panował mrok; pojedyncza świeczka skwierczała, dogasając we własnym wosku. Igraine siedział na grubym kobiercu ze skrzyżowanymi nogami i dłońmi na kolanach. Nie podniósł oczu, kiedy wszedł Lyrralt, lecz powiedział: - Więc wreszcie przyszedłeś mnie zabić.

Lyrralt był tak zaskoczony, że jego dłoń zastygła ze sztyletem ukrytym pod fałdami szaty. - Zabić cię, panie? Igraine powoli uniósł głowę. Lyrralt jęknął na widok srebrnych oczu Igraine'a, które zrobiły się szare. - Czyż nie po to przybyłeś? Nie to planowałeś i nie na to czekałeś całymi tygodniami? Lyrralt wzruszył ramionami i wydobył sztylet. Więc Igraine wiedział. Wkrótce zginie, więc co za różnica. A jeśli podniesie alarm, zanim ktokolwiek zdąży przybiec, będzie po wszystkim. - Tak, dlatego przyszedłem. - Wiesz, że nie zatrzymasz biegu wydarzeń. To, co zapoczątkowałem, jest teraz większe ode mnie. Jest większe od każdego pojedynczego ogra. Mimo zmęczenia i poczucia klęski, jakie było słyhać w głosie Igraine'a, Lyrralt nie pozostał obojętny na pobrzmiewającą w nim perswazję. Runy drgnęły, przypominając mu o obowiązku. Spłynął na niego spokój. - Nie dbam o to, co zapoczątkowałeś. Chodzi mi tylko o ciebie. Igraine pokiwał głową. Nie uczynił żadnego ruchu w swojej obronie. Lyrralt przełożył sztylet do lewej dłoni i wytarł spoconą dłoń w tunikę. Miał wrażenie, że runy wiją się jak robaki, coraz szybciej i szybciej. Z wysiłkiem skupił się na celu. - Zdajesz sobie jednak sprawę, że nie chcesz tego zrobić, prawda? - spytał Igraine. - Nie chcesz już od jakiegoś czasu. Gdybyś miał taki zamiar, zrobiłbyś to już dawno temu. Lyrralt zatrzymał rękę wznoszącą sztylet. Nieważne, co sądzi Igraine. Wkrótce będzie martwy. - Dotychczas nie było okazji.

Zawsze otaczali cię wielbiciele, akolici. - Okazja nadarzała się nieraz. Ignorowałeś każdą z nich aż do dziś. Aż do dziś. Lyrralt wznosił sztylet nad głową Igraine'a, zamierzając wbić mu go w czaszkę. Runy na jego ramieniu paliły żywym ogniem, jakby wypuściły korzenie, które wpijały mu się głęboko w ciało i przenikały do szpiku kości. Lyrralt jęknął z bólu, odchylił się do tyłu i dźgnął sztyletem z całych sił! Drgające ostrze noża z głuchym stukiem utkwilo w słupie nad głową Igraine'a. Ból targnął ramieniem Lyrralta. Ogr wrzasnął i wyginając kręgosłup, padł w konwulsjach na matę u stóp Igraine'a. Igraine dotknął jego pleców, biodra oraz obolałego barku i ból ustał. Lyrralt słyszał kroki biegnących osób i szelest podnoszonej kłapy namiotu, lecz nie mógł się ruszyć. - Czcigodny panie? - Od strony wejścia dobiegał głos Tenaj. - Usłyszeliśmy krzyk. - Wszystko w porządku. - Igraine uśmiechnął się do Lyrralta. - To tylko skurcz mięśni.

Lyrralt pomału usiadł i zobaczył kilka zatroskanych twarzy, które zaglądały przez otwarte wejście. Igraine gestem odesłał gapiów. Odeszli wszyscy z wyjątkiem Tenaj i Bakrella. Ci weszli do środka. Bakrell wytrzeszczył oczy, ujrawszy sztylet wbity w słup. Popatrzył na broń, na Igraine'a i na Lyrralta, a następnie bez słowa wyciągnął ostrze i podał je starszemu ogrowi. Igraine wziął broń i oddał ją Lyrraltowi. Zanim Bakrell zdążył skomentować zajście, Tenaj rzekła: - Chcę jechać za Khallayne i Jelindrą. - A ja oznajmiłem, że to ja powinienem pojechać. - Bakrell przykucnął na kobiercu obok Lyrralta, naprzeciwko Igraine'a. - Po części to wina mojej siostry. - To moich przyjaciół porwano. - To są również moi przyjaciele, Tenaj, choć nie okazałem im szacunku, jaki się należy przyjaciołom - oświadczył Bakrell. - Dlaczego ty, a nie ja? - Bo ty musisz stanąć na czele wojowników zamiast Jyrbiana - powiedział cicho Lyrralt, kiedy przyszedł do siebie. - Jeśli Rada wie, gdzie jesteśmy, będziesz nam potrzebna jak nigdy dotąd. Bakrell powinien ruszyć w pościg. - Dopiero po wypowiedzeniu tych słów uświadomił sobie, co powiedział. Obejrzał się na Igraine'a, czekając na jego pozwolenie lub zakaz, lecz Igraine postąpił tak jak zawsze, gdy Jyrbian podjął pochwalaną przez niego decyzję. Uśmiechnął się tylko. Bakrell również kiwał głową z aprobatą. - Nie cieszyłbym się tak bardzo - stwierdził Lyrralt, pocierając runy, które znów zaczęły taniec na jego ramieniu. - Niewykluczone, że jedziesz wprost w objęcia śmierci, bez względu na to, czy złapiesz Jyrbiana czy nie. - Nie, będę ostrożny. Może wymyślimy jakiś sposób, żeby przekazać wiadomość ludziom, którzy nas strzegą. Jeśli nie dogonię ich przed powrotem do Takaru, mogę zaszyć się w mieście, gdzie będę całkiem bezpieczny. Khallayne ocknęła się oszołomiona. Bolał ją kark i tył głowy. Bolał ją brzuch i ktoś potrząsał nią tak mocno, iż miała wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Otworzyła powieki i zobaczyła, że ziemia przesuwa jej się przed oczami z zawrotną szybkością. Nagle wróciła jej pamięć.

Jyrbian złapał ją i przerzucił przez konia. Potem zapadła ciemność i niczego więcej już nie pamiętała. Aż do teraz. Z wysiłkiem uniosła głowę, by nie podskakiwała tak przy każdym ruchu konia. Uderzyła Jyrbiana pięścią w nogę i w nagrodę usłyszała dobiegającą z góry salwę śmiechu. Koń zwolnił biegu i przeszedł w kłus, od którego głowa prawie całkiem już odpadła jej od karku, potem zwolnił jeszcze bardziej i stanął. Jyrbian podźwignął ogrzycę i obrócił na plecy, obejmując silnymi ramionami. - Więc oprzytomniałaś? - spytał. - Dokąd jedziemy? - próbowała zapytać Khallayne, lecz miała uczucie, że w ustach ma pełno puchu. Jyrbian dał znak Kaede. Chwycił za wodze ogiera Khallayne. - W głąb nocy, moja miłości. - Przełożył jej jedną nogę przez grzbiet konia, a potem posadził ją w siodle. - I pamiętaj, gdyby przyszło ci do głowy zostać w tyle albo się zgubić, Jelindra zostanie z nami, nieważne, z tobą czy bez ciebie. Posłał jej okrutny uśmiech, po czym ścisnął boki konia piętami i popędził galopem. Zatrzymali się wczesnym świtem i kiedy Khallayne usnęła, zbyt zmęczona i chora z bólu i zmartwienia, by stawiać opór, Kaede związała jej nadgarstki i kostki. Ocknęła się, gdy słońce już wzeszło i świeciło jej w oczy. Przeturlała się na bok i ukryła twarz w

zgięciu ręki, chcąc zasłonić się przed światłem. Pograżyła się w ciemności i nagle uświadomiła sobie, że słyszy rozmowę Kaede z Jyrbianem. - Czemu, Jyrbianie? - dopytywała się Kaede. - Po co one są nam potrzebne? Przecież tylko zawadzają. - Bo tak postanowiłem - odparł Jyrbian. Khallayne czujnie nadstawiała ucha. - Prosiłeś mnie, żebym z tobą pojechała! Chcesz, żebym pomogła ci pilnować dziewczynki. Sądzę, że jesteś mi winien wyjaśnienie! - Nie prosiłem cię, żebyś jechała - odparł znudzonym tonem Jyrbian. - W każdej chwili możesz sobie pójść. Głos Kaede złagodniał, stracił swą napastliwość. - Nie chciałam, żeby tak to zabrzmiało. Wiesz, że chcę być z tobą. Nie rozumiem jednak, dlaczego one muszą jechać z nami. Nie chcę... - Umilkła. - Ale ja chcę je mieć przy sobie. - Czemu? - Dobrze, wyjaśnię ci. Jeśli cię to zadowoli i sprawi, że przestaniesz narzekać.

Khallayne usłyszała szelest kroków w suchej trawie. Kiedy po chwili Jyrbian odezwał się, głos dochodził wprost znad niej. - Los dziewczynki jest mi obojętny, chyba że chodzi o wymuszenie posłuszeństwa na niej. Ale ona... - Trącił ją czubkiem buta w biodro. - Ona nauczy mnie wszystkiego, co sama wie o magii. Wsunął stopę pod jej ciało i odwrócił ją mocnym szturchnięciem. - Słyszysz mnie, Khallayne? Uczynisz mnie najpotężniejszym ogrem w Takarze. Uśmiechnął się i odszedł na bok. Khallayne powoli usiadła, osłaniając oczy przed słońcem. - A jeśli odmówię? Ogr stał obok owiniętej w koc Jelindry, która wciąż spała. Delikatnie dotknął jej głowy czubkiem buta i obejrzał się na Khallayne. - Nie sądzą. Lyrralt siedział na zrujnowanym murze i rozglądał się wokół. Po kilku dniach ciężkiej jazdy założyli obóz w ruinach ludzkiego miasta wśród pasma niskich wzgórz. Przypuszczał, że zbliżają się do granicy równiny, płaski teren bowiem coraz częściej urozmaicały pagórki i niewielkie wzgórza. Bakrella nie było już kilka dni. Machnąwszy ręką na pożegnanie, odjechał tą samą drogą, którą przybyli, zostawiając Lyrralta z melancholijnym przeczuciem, że go już więcej nie zobaczy. Ruiny miasta wokół obudziły w nim smutek. Toporne, do połowy zburzone kamienne mury sprawiały wrażenie, jakby nigdy nie stały tak prosto jak w zamyśle budowniczych. Może rozsypały się i pokrzywiły, kiedy były jeszcze nowe. Lyrralt chodził wśród gruzów, stert kurzu i kamieni, zastanawiając się nad tym, kto tu żył i co robił. Widok przywodził mu na myśl Bloten. Ludzkie istoty usiłujące wybudować ogrze miasto? To nie miało sensu. Ludzie byli dzikusami, którzy pędzili nędzne życie na stepie. Ledwo mieli jakąś cywilizację. A może wybudowali własne miasta i drogi, zanim ogrowie odkryli ich przydatność jako zwierząt jucznych i do ciężkiej pracy? Stał na szczycie ruin, na małym kawałku muru, który ciągnął się wzdłuż grani, kiedy spadł deszcz. Początkowo ulewa była tak silna, iż zdawało się, że to gwiazdy spadają z nieba! Płonące gwiazdy! Gwiazdy, które ciągnęły za sobą płomieniste ogony. Pierwsza spadła wbrew jego oczekiwaniom nie na równinę w oddali, lecz całkiem blisko, ledwie kilka kroków od półki nad urwiskiem. To był ognisty deszcz! Kamyki, ziemia i tęczowy ogień trysnęły w niebo.

Lyrralt uniósł głowę i zobaczył następne gwiazdy, tysiące ognistych światełek, które spadały na ziemię. Krzyknął ostrzegawczo do towarzyszy, którzy kilka metrów niżej grzebali w ruinach. Kiedy wskazał ręką, kolejne świecące kule uderzyły w ziemię, wyrzucając w górę słupy ognia. Jeden ze starszych kuzynów z klanu Igraine'a stał w pobliżu. Fontanna płomieni zakręciła i uderzyła go. - Jest zimny - rzeki, a w jego głosie nie było zdumienia. Wtedy ciało zaczęło mu się topić jak wosk kapiący ze świecy, a z jego gardła wyrwał się lament pełen bólu i rozpacz. Kiedy ogr upadł zmieniony w czarną, stopioną masę ciała i kości, zaczęła się prawdziwa groza. Ogromne świecące kule spadały w odstępach metrów, centymetrów! Był to chłodny ogień zesłany z niebios przez bogów. Gdziekolwiek spadł, płonął bez płomienia zimnym żarem, gorętszym jednak od wszystkiego, czego Lyrralt dotychczas doświadczył. Lyrralt zeskoczył z muru, wykręcił sobie stopę i poturlał się po twardym gruncie. Zerwał się na równe nogi i pognął przed siebie. Gdzie był Igraine? Musiał znaleźć Igraine'a. Kolejny ogr padł ofiarą zimnego ognia, a potem jeszcze jeden. Haleyn, który tak przepięknie grał na

flecie i Issil, która nadzorowała przenoszenie rozżarzonych węgli od obozu do obozu i czuwała nad tym, by ogrowie zawsze mieli ciepło. Jedno z dzieci z klanu Igraine'a, to hałaśliwe, upadło. Jego siostra wrzasnęła przeraźliwie, chwyciła je w chwili, gdy ognista kula trafiła dziecko w plecy i sama też spłonęła. Również Celise, matka Jelindry, umarła z krzykiem. Lyrralt zobaczył Tenaj, która biegła zygzakiem wśród płomienistych wybuchów i odciągnęła dwoje dzieci, zanim zdążyły dotknąć stopionych zwłok ojca i stać się częścią jego wrzącego ciała. Zatrzymał się, rozejrzał i znów pognął jak oszalały. Podczas jego biegu wszędzie wokół ginęli ogrowie. Żadna jednak z morderczych kul ognia nie spadła dość blisko, by go dotknąć. Popatrzył w niebo. To nie był atak ludzi czy ogrów! Nie był to nawet atak żadnym rodzajem magii, jaki rozpoznawał. Wsunąwszy dłoń pod tunikę, Lyrralt chwycił medalion wiszący na szyi i szarpnął go tak mocno, że łańcuszek wpił mu się w ciało i pękł. Ogr ścisnął go w dłoniach i wykrzyknął - zaśpiewał! - wyrzeszczał! - modlitwę w niebiosach. - Potężny Hiddukelu, wielka bogini Takhisis, czemu mnie oszczędziliście? Abym mógł patrzeć na śmierć wokół siebie? Zmiłujcie się nad swymi dziećmi! Okażcie łaskę i darujcie nam życie...!

Srebrny dysk z wyrytym wizerunkiem jego boga tak się rozgrzał, że ogr bez namysłu odrzucił go od siebie. Dysk poszybował w powietrzu, a Lyrralt jęknął, uświadomiwszy sobie, co zrobił. Złapał medalion. Ten jednak eksplodował. Buchnęła wielobarwna jasność, wypalając mu oczy i przecinając twarz od brwi do podbródka postrzępioną linią przypominającą wyryty znak. Lyrralt poczuł, jak runy na jego ramieniu pełzają i parzą jeszcze silniej niż metal. Wrzasnął i odskoczył od tego nieznośnego bólu, pragnąc uciec przed potworną torturą palącego się ciała. Oddarł rękaw swojej szaty i tarł ramiona i twarz. Ból ustąpił równie nagle, jak przyszedł. Ostatnią rzeczą, jaką Lyrralt zobaczył, zanim spowiła go ciemność, był widok czystej, ciemnoniebieskiej skóry na lewym ramieniu, równie nieskalanej, jak tego dnia, gdy po raz pierwszy stanął przed swym pierwszym kapłańskim mistrzem. Spłynął na niego błogi, przytulny spokój, niepodobny do niczego, czego dotychczas doświadczył. Taka jest właśnie śmierć, pomyślał. Ten spokój, ten mrok... Tenaj i Igraine znaleźli go. Skończył się ognisty deszcz gwiazd. Ogień bogów nie zostawił rannych, jedynie stopione bryły ciała, w których nie można już było rozpoznać ogrow. Lyrralt siedział z wygodnie skrzyżowanymi nogami, opierając się o zrujnowany mur i ściskając dłońmi nieskalane przedramiona. Jego twarz, jego piękne oblicze o subtelnych rysach, przecinała pofałdowana szrama, która zaczynała się tuż pod włosami, schodziła do ciężkich brwi, wila się zygzakiem przez wystającą kość policzkową i z powrotem przez policzek, a w końcu nikła pod podbródkiem. Przypominała błyskawicę odlaną ze srebra tak błyszczącego jak kolor jego oczu. Tylko że jego oczy nie były już lśniące srebrne. Były błyszczące, opalizujące białe, zupełnie bez śladu źrenicy. - Lyrralcie? - Tenaj uklękła przy nim, niemal bojąc się wyszeptać jego imię, żeby nie zaczął krzyczeć. Albo żeby ona nie zaczęła. - Lyrralcie, czy ty... - Pytanie, które cisnęło jej się na usta, było głupie, zważywszy na jego zeszpeconą twarz i tak dziwne oczy. Przez chwilę Lyrralt nadal wpatrywał się w przestrzeń, a potem drgnął i powoli się wyprostował. Wyciągnął rękę, najwyraźniej szukając jej dłoni, lecz nie natrafił na nią. Igraine chwycił go mocno za rękę. Tenaj wyciągnęła ramię i położyła dłoń na ich złączonych rękach.

Lyrralt po omacku dotknął połączonych rąk i najpierw wyczuł jej palce, a potem dłoń Igraine'a pod spodem. Rzekł cicho: - Nie widzę was. - I uśmiechnął się.

Rozdział 15 - Błogosławiony zwycięstwem i wojną Po upale równin Jyrbian w chłodnym i rześkim górskim powietrzu czuł się jak w domu. Gałęzie drzew zwieszały się nisko. Ściółka pod stopami przesiąknięta była wilgotnym, miłym zapachem rozkładu. Jyrbian od kilku dni jechał w milczeniu, wciągając do płuc woń zgnilizny i wilgoci. Rozpacz stała się jego wiernym towarzyszem. Khallayne była nachmurzona i zamknięta w sobie. Kaede na razie miała dość rozumu, by milczeć, uwagi Jyrbiana nie były bowiem miłe. Krwawnik w kieszeni wydawał mu się ciepły, jakby mógł go

wyczuć na biodrze przez warstwy tkaniny. Wciąż widział, jak polerowany czarny kamień leży na jej gładkiej szyi, a czerwone żyłki drgają w nim, pulsują, choć krew już nie tętni w żyłach. Czy jej ludzki kochanek wiedział, że ona nie żyje? Wykrzywił wargi. Zaciśnął pięści i skórzane wodze wpiły mu się w dłonie. Miał ochotę coś uderzyć. Chciał walić w coś pięściami tak długo, aż dłonie mu zdrętwieją, aż opuszki palców nie będą pamiętały rozkosznego dotyku gładkiego ciała. Jego koń zarżał cicho i skoczył w bok, omal nie wysadzając go z siodła. Ogr szarpnął za wodze i opanował zwierzę. - Jyrbianie. Obejrzał się ze złością na Kaede, wciąż ściągając wodze tańczącego konia. Zauważył, że również jej koń spłoszył się i podrzucił łbem. Natychmiast podwoiwszy czujność, Jyrbian dał znak ręką, by umilkli. Zeskoczył z siodła, uspokoił wierzchowca łagodnym poklepywaniem, po czym sprawdził miecz, dwukrotnie wysuwając go z pochwy na długość dłoni, aby upewnić się, że go nie zawiedzie. Kroczył ścieżką, ściskając mocno wodze i zmuszając konia do trzymania łba nisko. Kaede zsunęła się z konia ze zwinnością świadcząca o doświadczeniu i poszła w jego ślady, prowadząc Jelindrę. Khallayne również zeskoczyła na ziemię. Wiedzieli, że dopóki Kaede trzyma Jelindrę w niewoli, ona pójdzie za nimi. W lesie zaległa cisza. Nie było już słychać świergotu ptaków ani szelestu drobnych zwierząt w leśnym poszyciu. Chłodne, mające kształt liści cienie nabrały złowieszczonego wyglądu.

Schodząc ze ścieżki, Kaede odkryła, co tak przstraszyło konie. Pomędzy korzeniami olbrzymiego, starego drzewa leżały rzucone beztrusko szczątki dwojga ogrzych strażników, kobiety i mężczyzny, ubranych w mundury, które prawdopodobnie niegdyś były w barwach nieskazitelnej bieli i czerwieni klanu Dalie. Tkanina była tak poplamiona krwią i błotem, tak pokryta zbutwiałymi liśćmi i gałązkami, że trudno było mieć pewność. Wydawało się, że zostali zarąbani i załuczeni na śmierć, a trupy zaciągnięto na pobocze i rzucono na pastwę zwierząt. - Nie próbowano ukryć zwłok - szepnęła Jyrbian, przysuwając się do Kaede tak blisko, że dźwięk ledwo wydobył się spomiędzy jego warg. - Ktokolwiek to zrobił, nie obchodziło go, kto znajdzie dowody. - Ludzie! - To był syk, ostrzeżenie, przekleństwo. Kaede odwróciła się z jedną ręką na rękojeści miecza, a drugą na brzuchu, jakby zrobiło jej się niedobrze. Jyrbian jednak wiedział, że w rzeczywistości chwyciła za sztylet, który nosiła schowany w fałdach tuniki za paskiem. Ostrożnie odsunął się od trupów na twardy grunt drogi, starając się czynić jak najmniej hałasu wśród zbutwiałych liści i suchych gałązek. Od Thoradu na wschodzie dzieliły ich przynajmniej dwa dni drogi. Jeśli dobrze pamiętał, szlak przed nimi rozwidłał się i wiódł na wschód ku dolinie i na zachód w góry, omijając miasto. Intuicja podpowiadała mu, że ludzie są na wschodzie, na prostszej drodze. Tam łatwiej znaleźć pożywienie, a więc też i ofiary. Uśmiechnął się szeroko do Kaede. - Zobaczmy, co jest przed nami? Obejrzał się przez ramię. Khallayne szła pieszo, prowadząc ogiera i przyglądając się ciałom martwych strażników z jakimś straszliwym zafascynowaniem. Jelindra nadal siedziała w siodle i patrzyła w przestrzeń. - Możesz kazać jej pilnować koni? - Jyrbian machnął ręką w stronę drzew po drugiej stronie drogi. Byli już bardzo blisko miejsca, gdzie ścieżka wychodziła na niskie wzgórze nad doliną. Kaede powiedziała do Jelindry kilka słów, których Khallayne nie dosłyszała, a potem zostawiła ją z końmi. - Da sobie radę - zapewniła Kaede Jyrbiana. Schylając się nisko i kryjąc wśród krzewiastych roślin i głązów o ostrych krawędziach, Jyrbian i Kaede wyszli przez rzadkie zarośla na szczyt wzgórza nad doliną. Khallayne poszła za nimi.

Wychodząc z cienia lasu w miejscu, gdzie ścieżka biegła skalistą granią, która otaczała dolinę, Jyrbian zatrzymał się, położył na brzuchu i nie podnosząc głowy, podczołgał do samej krawędzi. W zakolu bulgoczącego strumyka rozłożyła obóz drużyna ogrów. W obozie panował porządek. Wokół każdego z ognisk otaczających połowy namiot rozłożono schludnie posłania czterech do pięciu wojowników. Ogrowie zajęci byli gotowaniem posiłku. W białych i czerwonych jedwabiach klanu

Dalle na tle zielonej łąki wyraźnie rzucali się w oczy. Jyrbian parsknął z obrzydzenia. Równie dobrze mogli sobie wymalować tarcze. Kaede podczołgała się do niego, uciszyła go i wskazała na zbocze po ich lewej stronie. Tam, wśród rzadkiego lasu, który porastał stok, coś się poruszyło! Ciche cienie przemykały między drzewami, zbiegając do kryjówek wśród krzaków nad brzegiem wody. Ktokolwiek dowodził tą kompanią, ktokolwiek wybrał tak odsłonięte miejsce na obóz, zasługiwał na to, by go zabić, wypatroszyć i zostawić padlinożernemu ptactwu na pożarcie! Jeśli skradający się ludzie nie uczynią hałasu, zajdą wartowników po obu stronach obozu, zanim zostanie podniesiony alarm. Kaede była spięta, gotowa wstać i ostrzec współplemieńców przed nadciągającym niebezpieczeństwem. Już do połowy wyciągnęła miecz, gdy Jyrbian ją przytrzymał. Wyszarpnęła się z jego uścisku. - Będzie masakra! - Zaczekaj! Pomyśl! - Trzymał ją za ramię. - Jeśli krzykniesz teraz, ludzie uciekną do lasu. Zostaniemy wtedy z nimi sam na sam. - Więc co zrobimy? Jyrbian wyszczerzył zęby w krzywym, wymuszonym uśmiechu, który sprawił, że jego oczy wydawały się twarde jak granit. - Zejdziemy na dół. Zanim zdążyła się sprzeciwić, zatrzymał go, rozpląnął się w cieniu. Chwilę później minął ją galopem na koniu. Kaede popatrzyła na niego jak na szaleńca, a potem sama wstała i poszła za nim. Khallayne wahała się przez chwilę. Kiedy Jyrbian dojechał do skraju urwiska, wy dobył miecz i uniósł go wysoko nad głowę. Klinga jeźdźca skaczącego z koniem w dół zbocza błysnęła na czerwono w blasku zachodzącego słońca. Grunt był mieszaniną ciemnej gleby i rzecznoego piasku, którą przecinały wąwozy wymyte przez deszczówkę. Stok był ostry i koń zsuwał się pod kątem, ześlizgując się, zbiegając i upadając.

Po dotarciu na dół Jyrbian szarpnął brutalnie za wodze, zawracając ledwo trzymającego się na nogach konia i pognął wzdłuż strumienia w stronę drzew. Mijając pędem obóz, zauważył ciemne twarze o srebrnych oczach, które otwierały się szeroko ze zdumienia. - Ludzie na flance! - krzyknął. Wpadł do lasu w środek najbliższej grupy ludzi i zaczął wymachiwać mieczem. Trafił jednego w skroń płazem miecza, a drugiemu dał poczuć jego sztych. Ludzie musieli zatrzymać się i bronić, zdradzając drużynie ogrów swą pozycję. Jyrbian zatoczył krąg wśród drzew, ciął człowieka z drewnianą piką, a następnie znów się obrócił i odparował cios wroga uzbrojonego w miecz. Stalowe ostrze zadzwięczało w zetknięciu z gorszym metalem. Jyrbian nigdy nie czuł się bliższy ekstazy. Zdając sobie sprawę z przeważającej liczebności wroga i pewnej śmierci, jeśli powolna kompania ogra nie zareaguje, zaintonował początek przerażającej bojowej pieśni, pieśni śmierci. Kopnął w klatkę piersiową ludzką kobietę i usłyszał głuchy jęk. Kobieta zacharczała i upadła. Kiedy Jyrbian odwrócił się ku następnemu przeciwnikowi, jego miecz radośnie zaświszczał w powietrzu. Wtedy Kaede przyszła mu z pomocą, prowadząc do boju Jelindrę. Ich konie rozpryskiwały na boki piasek i kamienie. Na dźwięk bojowego okrzyku ogrzycy włosy zjeżyły mu się na karku. Wreszcie ogrowie odpowiedzieli na zew Kaede, chwycili za broń i przebyli strumień, by przyłączyć się do ataku. Jyrbian puścił pierwszych wojowników przodem, a potem zagroził drogę szarżującym ogrom. - Tędy - rozkazał, wskazując okrwawionym mieczem. - Do lasu. Zajdziemy ich z flanki. Jeśli ktoś się zawahał przed wykonaniem polecenia całkiem nieznanym osobie, Jyrbian tego nie zauważył. Wymachując mieczami, popędzili zgodnie z jego rozkazem pod górę, mierząc się z kolejnymi falami ludzi w lesie. Szybko wysłał pozostałych, pięciu tutaj, dziesięciu tam, każdego, kogo mógł, aż związał wroga walką wzdłuż całego strumienia i w całym lesie. Wojsko ogra może reagowało powoli, ale nadrabiało to zaciekłością. Na każdego powalonego ogra przypadało trzech zabitych ludzi. Zeskoczywszy z konia, Jyrbian rzucił się do boju dla czystej radości powiększenia tej rachuby. Każdy człowiek, którego gardło rozcinał, w którego brzuch dźgał, miał twarz Eadamma. Walczył zażarcie, postradawszy rozum od żądzy zemsty.

Wreszcie odwrócił się z mieczem w rękę, a potem obrócił się jeszcze raz, rozczarowany, że nie

został już żaden wróg. Stojąca w pobliżu młoda ogrzyca z krótkim mieczem toczyła bój z ludzkim mężczyzną uzbrojonym w dwa sztylety. Jyrbian skoczył w wir walki i zatopił miecz w piersi mężczyzny. Kiedy człowiek osunął się po klindze, plamiąc ją własną krwią, Jyrbian zamachnął się okrutnie i podciął mu jeszcze gardło od ucha do ucha. Krew działała na niego jak środek odurzający. Uniósł miecz, by jeszcze raz ciąć leżącego trupa, kiedy Kaede stanęła przed nim. Położyła rękę na jego drżącym ramieniu. - On nie żyje, Jyrbianie. Wszyscy nie żyją. Albo uciekają. Przez chwilę przyglądał jej się tępym wzrokiem, a potem dotarły do niego jej słowa. Rozejrzał się. Las, brzegi strumienia, usłane były trupami. Woda w potoku była czerwona. Wydawało się, że niebo zrobiło się ciemne od krwi. Ciężkie, rytmiczne podmuchy wiatru huczały wśród obłoków, a góry rozbrzmiewały echem dudnienia. - Zostaw resztę w spokoju - nalegała Kaede, trzymając go za ramię. Powoli uświadomił sobie, że palce mu zdrętwiały od ściskania miecza, a głuche sapanie nie dobiegało z nieba, lecz z jego własnych płuc. Dudnienie było odgłosem bicia jego serca, pulsowaniem krwi w żyłach. - Daj im spokój - powtórzyła ciszej, rozluźniając uścisk. - W lesie są żołnierze, którzy będą ich ścigać. - Doprawdy? - odezwał się zgryźliwy głos za ich plecami. - A ja chciałbym się dowiedzieć, kto uważa się za tak ważną osobistość, by zarządzać moimi żołnierzami w bitwie. Odwracając się, Jyrbian automatycznie stanął w bojowej pozycji. Kilku ogrów w ogniu walki otaczających Jyrbiana poszło za przykładem Kaede i odsunęło się, nie chcąc uczestniczyć w konflikcie. Ogr stojący naprzeciw Jyrbiana był najwyraźniej dowódcą kompanii. Wysoki, choć nie dorównujący wzrostem Lyrraltowi mężczyzna był tak szczupły, że niemal wątpy. Na sobie miał fantastyczną wersję biało-czerwonego munduru klanu Dalie, którego przód był tak upstrzony odznaczeniami i wstążkami, że materiał ledwo trzymał fason. Widać było, że nie uprawiał nigdy żołnierskiego rzemiosła, sprawiał bowiem wrażenie rozpieszczanego szlachcica wysokiego rodu, który zapewne przed tą śmiertelnie groźną wyprawą nigdy nie wysunął nosa za próg dworu. - Ach. - Jyrbian wyprostował się z przesadną uprzejmością i stuknął obcasami. Choć wykonał ukłon, ani na chwilę nie oderwał oczu od smukłego ogra. - A ja chciałbym się

dowiedzieć, który to głupiec naraził życie tych wspaniałych wojowników, urządzając biwak w miejscu, które aż się prosi o zastawienie zasadzki? - Jego głos był jak stal i lód. W oczach kapitana błysnął gniew. Ogr spurpurowiał z wściekłości. Gwałtownym ruchem chwycił wysadzaną klejnotami rękojeść miecza i wysunął z pochwy czyste, nie zbroszone krwią ostrze. Jyrbian ruszył do ataku, zanim ogr miał szansę zareagować, lecz mimo to przeciwnik dobrze sparował cios. Klingi zetknęły się wysoko nad ich głowami, potem niżej na wysokości talii, a potem zwały w klinczu, zderzone rękojeściami. Jyrbian, którego mięśnie stwardniały od miesięcy jazdy konnej i ciężkiej pracy, musiał wygrać każde siłowe zawody. Rzeczywiście, kapitan cofnął się. Jeden krok, dwa, trzy, a dziwnie czujny i milczący tłum, który rósł wokół nich, przesunął się wraz z walczącymi. Jyrbian znów zaatakował wysoko, spotkał się z kontrą i odepchnął przeciwnika do tyłu. Ciął nisko. Kapitan uskoczył w bok. Jyrbian dostrzegł cień strachu na twarzy drugiego mężczyzny. Przeciwnik parował ciosy, bronił się i rozpaczliwie uskakiwał przed klingą, która zdawała się lśnić mimo krwi zaschniętej na jej brzegu, mimo zachodzącego słońca. Jyrbian zręcznie przedarł się przez jego gardę i drasnął go w szyję, a potem rozciął mu ramię, zadając lekkie rany, które zdawały się bardziej drażnić niż zagrażać życiu. Chwycił miecz kapitana i zręcznym ruchem wytrącił mu go z ręki. Szybkim kopnięciem podciął mu nogi. Jyrbian nadepnął na miecz kulącego się na ziemi kapitana i złamał wypolerowane ostrze. Stając nad powalonym mężczyzną i trzymając w garści miecz, którego czubek dotykał niemal piersi ogra, rzekł cicho: - Jestem Jyrbian z klanu Taika. Przerwał, a przerażony ogr wytrzeszczył oczy i zadrżał. Nie mówiąc już ani słowa, Jyrbian odwrócił się i odmaszerował. Wojownicy stojący na jego drodze rozstąpili się z szacunkiem, by go przepuścić. Wtedy usłyszał, jak

coś leci ze świstem w powietrzu. Odwrócił się i uchylił. Kapitan ogrów podniósł się do pozycji na wpół siedzącej i wyciągnął rękę, rozsuwając palce. Jyrbian widział Khallayne w takiej samej pozycji, kiedy rzucała czary. Ten ogr jednak nie użyje już żadnego zaklęcia. Patrzył głupio, nie na własną dłoń, lecz na sztylet wystający mu z piersi - sztylet Kaede, tkwiący w ciele po rękonoścu.

Kaede stała na lewo od Jyrbiana z wciąż wyciągniętą ręką. Spojrzała na niego z krzywym uśmiechem na wargach. Przypomniawszy sobie wtedy, że Khallayne uczyła ją zaklęć. - Widzę - rzekł - że poczyniłaś niezłe postępy w nauce. - Teraz to twoi żołnierze - odparła. Rozejrzał się po spoconych, zakrwawionych ograbach. Pokiwał głową. - A teraz wygramy kilka bitew, zamiast siedzieć i czekać na ludzi, którzy przyjdą i nas wymordują. Wokół rozległy się zwycięskie okrzyki świętujących ograbów. Khallayne została z tyłu, kiedy Kaede zjechała ze stoku, ciągnąc za sobą Jelindrę. Koń omal jej nie zrzucił. Ogrzyca zamierzała rzucić się w wir walki, kiedy Khallayne dogoniła ją i zerwała wodze Jelindry z jej siodła. Przejęta bitwą Kaede ledwo się obejrzała. Khallayne zaprowadziła Jelindrę do doliny, daleko od najzacieklejszych walk. Jelindra była oszołomiona, zauroczona jakimś zaklęciem. Próbowowała uciec. Khallayne dogoniła ją konno, złapała za tył tuniki i przytrzymała, mimo krzyków i kopniaków. Zsunęła się z siodła, wciąż ściskając w garści ubranie Jelindry. - Jelindro! Jelindro, przestań! Pozwól, że z tobą porozmawiam! Jelindra kopnęła ją i usiłowała uciec. Khallayne rzuciła się na dziewczynę i przewróciła ją na ziemię z impetem. Kiedy Jelindra odwróciła się i próbowała bronić, uderzyła ją w twarz. - Przestań ze mną walczyć! - krzyknęła Khallayne. Jelindra wybuchnęła płaczem. - Proszę, zostaw mnie! Proszę, Khallayne, puść mnie. Ona odpędza ode mnie myśli. Proszę, puść mnie. Nad strumieniem trwała zażarta walka. Khallayne przytuliła twarz Jelindry do swej piersi i patrzyła, jak kawalkada ograbów przepędza ludzi w głąb lasu. Jeśli wkrótce nie wyruszą, ich szanse ucieczki zmaleją do zera. - Ona pozwała mi zapomnieć! - krzyknęła Jelindra, odpychając Khallayne. Jej dziecinny głos przeszedł w przeraźliwy krzyk. - Pozwała mi zapomnieć o Nomryhu! Pozwała mi zapomnieć, że go zabiłam! Khallayne siedziała w osłupieniu, a tymczasem Jelindra zerwała się na nogi i pobiegła do zbierającej się nad potokiem grupy ograbów, do Kaede. Była świadkiem końca pojedynku między Jyrbianem i kapitanem ograbów. Widziała, jak Kaede rzuciła sztyletem. Potem zobaczyła, jak Jyrbian rozgląda się za nią i wysyła garstkę strażników, żeby pobiegli do niej. Siedziała na chłodnej ziemi i czekała na nich.

Jyrbian zajął namiot nieżyjącego wodza. Nikt nie poddał w wątpliwość jego prawa do tego. Kaede przez chwilę stała w progu, przyglądając się małej izbie zbudowanej z płóciennych ścian. W środku była prycza, która wyglądała na dość wygodną, skrzynia i składany stolik. Na stole leżały schludnie poskładane kwadraty grubego papieru, zapewne mapy, do których kapitan ograbów nie raczył zajrzeć. Jyrbian odpassał miecz i położył go na stole, a następnie usiadł na krawędzi pryczy i poluzował sznurowadła. - Popeliłeś błąd, odwracając się do niego plecami - stwierdziła wreszcie Kaede tonem na pół oznajmującym, na pół pytającym. Ogr zdjął jeden but i wyciągnął stopę przed siebie, stawiając ją potem mocno na dywanie. - Ty tam byłaś. Jego wiara w nią i wyraz wdzięczności w oczach sprawiły, że uśmiechnęła się i z przyjemnością wspomniała rzut sztyletem i uczucie potęgi magii, która posłała go wprost do celu. - Gdzie Khallayne i dziewczyna? - spytał Jyrbian. - Dziewczyna sama do mnie wróciła - odparła zarozumiale Kaede. - Wyznaczę wartowników, żeby mieli je na oku, ale ona się nie oddali. - Nie. Chcę je mieć tutaj. - Zdjął drugi but. Radość na twarzy Kaede ustąpiła miejsca rozczarowaniu, jednak ogrzyca poszła wykonać jego polecenie. - Ale nie teraz. - Jyrbian wyciągnął rękę i złapał ją, zanim zdążyła zrobić krok, chwycił ją za przód tuniki i przyciągnął do siebie. Obejmując ją jednym ramieniem, drugą ręką szarpnął znów za materiał, aż odpadł jeden z kościanych guzików. Szarpnął jeszcze raz, mocniej, aż trzasnęły nici i odpadły kolejne dwa guziki. Kiedy podniosła ręce, żeby rozpiąć przód bluzy, zamiast ją niszczyć,

oderwał kolejne guziki. - Nieważne. I tak na powrót do Takaru będzie ci potrzebny nowy mundur. Wjechali do Takaru na czele kompanii ze sztandarami wzniesionymi wysoko na znak zwycięstwa. W mundurach wojowników zmieniono, co tylko się dało, oddarto paski i ozdoby. Wszyscy nosili teraz, podobnie jak Jyrbian, wykonane z kości wrogów półksiężycy, symbole Sargonnasa, boga zniszczenia i zemsty. Nie należeli już do klanu Dalie. Należeli do Jyrbiana. Jadący ulicami pochód wojowników przyciągnął gapiów, którzy zaczęli wiwatować.

Kaede w czerwono-białych jedwabiach wyglądała oszałamiająco ze swoimi długimi, srebrnymi włosami zaplecionymi z tyłu w warkocz jak wszystkie wojowniczkę. Khallayne i Jelindra jechały za nią, otoczone strażnikami po obu stronach. Jelindra tonęła w bluzie wojownika. Khallayne włożyła swoją byle jak, okazując tym samym lekceważenie wiwatującym. Jyrbian z dumą nosił to samo ubranie, które miał na sobie, opuszczając Takar, teraz poplamione krwią i mocno znoszone. Obciął długie włosy na wysokości ramion i spiął je na karku. Na plecach nosił miecz. Tłum nie pozostał obojętny na niego, na władczość, jaką w nim wyczuwał. Gapie wiwatowali i biegli obok konnych, żeby nie stracić go z oczu. Jadąca u jego boku Kaede miała ochotę roześmiać się i uczyniła to, gdy brukowane ulice wypełniły się hałaśliwą cizbą.

Rozdział 16 - Pieśń wyspiarskiej ojczyzny Jyrbian stawiał się przed obliczem Rady Panujących równie brudny i okrwawiony jak tego dnia, gdy ostatnio stał przed jednym z jej członków. Tym razem jednak to oni czegoś potrzebowali, a on mógł zaszczyścić ich swymi względami. Kaede stała po prawej stronie. Jelindra za nią, a Khallayne najdalej, pod samymi drzwiami. Wydawało się, że pięcioro członków Rady Panujących jakoś skurczyło się i postarzało w ciągu tych minionych tygodni. Jyrbian stał dumnie wyprostowany i nie złożył wymaganego ukłonu. - Przybyłem zaoferować swe usługi jako wódz wszystkich żołnierzy w Takarze. Dostojnicy spojrzeli na siebie, lecz zanim będąca przywódczynią Anel zdążyła się odezwać, Jyrbian dokończył: - Proponuję, co następuje. Zjednoczę gwardie wszystkich klanów i zrobię z nich jedno wojsko. Odbiorę góry ludziom. Moja armia zapewni bezpieczeństwo na drogach, na przełęczach i w majątkach. Moje wojsko zapędzi znów niewolników do pracy, gdzie ich miejsce. Zrobił krok w stronę podwyższenia, na którym klęczało pięcioro dostojników Rady i ściszył głos. - A kiedy już to uczynię, moja armia wytropi tego heretyka Igraine'a oraz jego zdradzieckich popleczników, sprowadzi ich i postawi przed sądem za popełnione zbrodnie. Usłyszał ciche sapnięcie Khallayne, lecz nie zwrócił na nie uwagi. Bez oglądania się na pozostałych Anel uśmiechnęła się i skinęła głową do Jyrbiana. - Plan, jaki nam przedstawiłeś, jest doprawdy ambitny, czcigodny panie. Bez wątpienia poważnie się nad nim zastanowimy. Jestem pewna, że zdajesz sobie sprawę, że chcielibyśmy najpierw o nim podyskutować i wysłuchać raportu naszej agentki. - Anel zerknęła na Kaede. - My... - Oczywiście rozumiem, dostojna pani - przerwał jej gładko. - Oczywiście ty też musisz zrozumieć, że zrealizuję swoje zamiary z waszą aprobatą albo bez niej. Tym razem Rada straciła oddech, a Teragrym i Enna podnieśli się do połowy, gotowi rzucić mu wyzwanie. Jyrbian skinieniem dłoni nakazał im usiąść. - Z wami lub bez was. Wybór należy do was. Opuścił salę audiencyjną równie raptownie, jak do niej wszedł. Kaede, Jelindra i Khallayne deptały mu po piętach. Jyrbian zwrócił się do pierwszego ogra, jakiego spotkał na korytarzu.

- Kim jesteś? - spytał natarczywie. Ogr mniej więcej w wieku Jyrbiana, lecz dużo drobniejszy i bledszy, najwyraźniej słyszał już o ich przybyciu. - Jestem Ginde, dostojny Jyrbianie, sekretarz Rady - odparł nerwowo. - Teraz jesteś moim sekretarzem - oznajmił bezceremonialnie Jyrbian. Ogr przełknął ślinę, oglądając się wpierw na drzwi komnaty, potem na Kaede, a potem znów na Jyrbiana. - Tak, panie. - Potrzebna mi nowa kwatera. Może być któraś z tych większych w południowej części gmachu. Jyrbian ruszył przed siebie, a sekretarz tańczył wokół niego, starając się zwrócić na siebie jego uwagę. Ależ, panie, te są zajęte przez... - Nie obchodzi mnie to. Niech przestaną je zajmować.

Natychmiast. Chcę też, żeby moi żołnierze kwaterowali w tej części zamku, którą niegdyś zamieszkiwało królewskie wojsko - powiedział Jyrbian, z hukiem otwierając drzwi do sali jadalnej. Pomieszczenie było wypełnione do połowy i gwarne jak na wczesne popołudnie. Rozmowy ucichły, kiedy oczy zgromadzonych padły na Jyrbiana. - Będę potrzebował nowych pomieszczeń. Nie zostawiłem tu niczego ważnego. Możesz umieścić Khallayne w moich dawnych komnatach. I daj tymczasem Jelindrze dawny pokój Lyrralta. Kaede skinęła głową, zostawiając go na progu jadalni i gestem dając znać obu ogrzycom, by poszły za nią. Jelindra usłuchała skwapliwie, Khallayne niechętnie. Wszędzie widać było warty, przy narożnikach i drzwiach, gdzie nigdy dotąd, jak przypomniawszy sobie Khallayne, nie było straży. W zamku natomiast przebywało niewielu niewolników, z których większość miała rozbiegany wzrok i drżała ze strachu. Minęli wąską niewolnicę, która niosła tacę. Kobieta przywarła do ściany, jakby spodziewała się, że przechodząca obok Kaede uderzy ją. Czy niewolnicy zawsze tak bardzo ich się bali? Czy zawsze chodzili ze spuszczonej głowami i kulili się na najcichszy dźwięk podniesionego głosu? Khallayne obejrzała się na kobietę, lecz nie stanęła. - Tutaj. - Kaede otworzyła drzwi dawnego apartamentu Lyrralta i zaczekała na Jelindrę. Kiedy tylko dziewczynka weszła, Kaede zamknęła drzwi, przekręciła klucz w zamku i włożyła go do wewnętrznej kieszeni kurtki. Khallayne usłyszała przeraźliwy krzyk Jelindry.

- Kaede!... - Odwróciła się w stronę drzwi Jelindry, a potem pokoiów, które miały do niej należeć - starej kwatery Jyrbiana. Drzwi już się zamykały za Kaede. Khallayne rzuciła się naprzód, uświadomiwszy sobie, że skoro Jelindra była bezpiecznie zamknięta, Kaede rozproszyła czar odbierający dziecku pamięć. Khallayne gwałtownie pchnęła drzwi, które uderzyły z hukiem o ścianę. Kaede podniosła głowę znad skrzyni stojącej pod odległą ścianą komnaty i zmrużyła groźnie oczy, czekając, aż Khallayne zacznie mówić. - Czegoś szukasz? Kaede wyprostowała się i spuściła z trzaskiem wieko skrzyni. - Śladów. - Czego? - Khallayne otuliła się kaftanem, zdjęta chłodem panującym w pokoju. Czuć w nim było wilgoć i stęchliznę, zapach tygodniami nie otwieranej izby. Bez jednego ruchu roznieciła ogień z nadpalonych kłód w kominku. Kaede nie mrugnęła nawet powieką. - Pieśni Historii. - Czego? - Khallayne zamaskowała szybkie westchnienie odwróceniem się do trzaskającego ognia i wyciągnięciem rąk. Ogromnym wysiłkiem woli zmuszała się, by nie spojrzeć na okienny parapet w celu sprawdzenia, czy kolekcja kryształów Jyrbiana nadal tam stoi. - Pieśni Historii Ogrów. - Nie rozumiem - skłamała Khallayne, udając, że przygląda się figurkom na gzymsie kominka. Ukradkiem zerknęła na odbicie Kaede w lustrze, które wisiało nad kominkiem. Kaede otworzyła drzwi do garderoby i obmacywała stroje Jyrbiana. - Bakrell i ja jesteśmy ostatnimi potomkami klanu Powierniczki. - Myślałam, że Powierniczka była ostatnia. - Moja matka nie urodziła się z uznanego małżeństwa, jesteśmy jednak tej samej krwi! - Kaede wypowiedziała ostatnie słowa gwałtownie, jakby czekała, czy Khallayne odważy się zaprzeczyć. Kiedy Khallayne milczała, Kaede dokończyła: - Nigdy nie czułam, że Pieśń umarła. Nigdy. W moim wnętrzu zapadłaby cisza, gdyby tak się stało. - Więc... gdzie jest? Kaede była sfrustrowana. Stała na środku pokoju i zamknawszy oczy, obracała się powoli, jakby badała powietrze. Westchnęła. - Nie wiem. Czuję ją jednak najsilniej, kiedy jestem z Jyrbianem. Khallayne pokiwała głową. - Dlaczego więc po prostu go nie spytałaś?

Kaede wyszczerzyła zęby. - Najwyraźniej nie znasz Jyrbiana tak dobrze, jak ci się wydaje. Gdyby wiedział, że naprawdę jej pragnę, nigdy by mi jej nie dał. W pokoju się ociepliło. Khallayne zdjęła ciężką kurtkę do konnej jazdy i rzuciła ją na krzesło. - Skoro wiesz, jakim jest ogrem, nie rozumiem, czemu go słuchasz. Kaede roześmiała się niewesoło. - Najwyraźniej ty go rzeczywiście nie znasz. - Nadał śmiała się, wychodząc z komnaty i nie zadając sobie trudu, by zamknąć Khallayne w środku. Khallayne podbiegła na palcach do drzwi i uchyliła je odrobinę. Słyszała oddalający się śmiech

Kaede, która odchodziła w głąb korytarza. Chwyciła okrycie i zdobyła się na odczekanie kilku chwil przed wyjściem na korytarz. Strażniczka, która stała na skrzyżowaniu korytarza na drugim końcu holu, wyprostowała się na widok wychodzącej Khallayne. Ogrzyca skupiła się i z całych sił zadała wartownicze magiczny cios tuż powyżej oczu. - Strażniczka upadła, wypuszczając miecz z ręki. Khallayne wstrzymała oddech. Czekiła, czy ktoś nie przyjdzie wartownicze z pomocą, lecz na korytarzu panowała cisza. Przycisnęła twarz do snycerki na drzwiach, lecz z pokoiów Jelindry nie dobiegał żaden dźwięk. - Jelindro? - zawołała cicho. Brak odpowiedzi. Bała się tego, co dziewczynka mogła zrobić, kiedy wszystkie wspomnienia koszmarne snu i śmierci brata zostały odsłonięte i zwrócone. Khallayne oddychała głęboko i zmusiła się do wzięcia w garść. Skupiła się tak, jak nigdy jeszcze od czasu bitwy w lesie, czerpiąc moc ze swego wnętrza. Zamierzała wyrwać drzwi z zawiasów, roztrzaskać je na drobne kawałeczki, lecz w ostatnim momencie zmieniła czar. Przerobiła go na coś delikatnego i precyzyjnego. Wsunęła go do dziurki od klucza, w wąziutkie szczeliny, do których dopasowany był klucz. Klik. Klik. Klik. Drzwi otworzyły się pod leciutkim naporem jej dłoni. - Jelindro? - Jej głos był cichy, delikatny jak zakłęcie. W komnacie panował mrok i chłód jeszcze większy niż u niej, lecz wzdragała się oświetlić go magią. Wpadła na łóżko i obmacała jego nierówną powierzchnię, dopóki nie dotknęła rozsypanych po poduszce włosów Jelindry. - Jelindro? Spod sterty kocy dobiegł cichy szloch. - Jelindro, to ja. Przyszłam cię stąd zabrać.

Dziewczynka usiadła i padła w ramiona Khallayne, wybuchając gwałtownym płaczem. - Oddała mi je, Khallayne. Oddała wszystkie. Po tym, co obiecała! Sprawila, że wszystko sobie przypominałam. Khallayne tuliła ją przez chwilę, a potem odsunęła koce. - Wiedziałaś, że nie będziesz mogła zapomnieć na zawsze, prawda? Jelindra próbowała się odsunąć. - Ona odbiera ci również dobre wspomnienia. A tych nie chciałybyś stracić, prawda? Jelindra znów zaczęła płakać, lecz pokręciła głową. - Nie. Nie chciałabym. Tylko... to takie bolesne. Boję się. - Wiem. Ja też. Ale będzie lepiej. Obiecuję. - Khallayne wyciągnęła rękę. - Chodź. Idziemy stąd. - Jelindra chwyciła podsunętą dłoń. Dała się postawić na nogi i wyprowadzić z pokoju. Khallayne prowadziła ją drogą, którą zapamiętała z innego życia. Ściany były znajome, podobnie pokoje, które mijali, lecz zdawały się należeć do przeszłości, z którą nie miała nic wspólnego. Mijani raz za razem strażnicy również pochodzili z innego życia. Khallayne obezwładniła pierwszych dwóch, a następnie używała czaru „sen”, by zaoszczędzić energii. Dotarły do stajni, nie wzbudzając niczyjej podejrzliwości. Jelindra była zdyszana, lecz szła szybkimi krokami. Kolejnym ciosem Khallayne ogłuszyła wartownika przy stajni. Gestem ręki odpędziła niewolnika, który pracował przy boksach, i zalekniiony mężczyzna zniknął w ciemności. Khallayne wyprowadziła konie z boksów, wyniosła koce i siodła, cały czas mówiąc: - Jelindro, posłuchaj mnie, dobrze? I staraj się wszystko zapamiętać. Gdybyśmy zostały rozdzielone... Jelindra drgnęła i łzy wezbrały jej w oczach. Khallayne zmarnowała bezcenne minuty na uspokajanie dziewczynki. - Tylko słuchaj. Będę tuż za tobą, w porządku? Jednak na wszelki wypadek, gdyby coś się stało, jedź do zachodniej bramy. Dobrze? Wyjedź z miasta, ale nie zbaczaj z głównego traktu. Przyjadę, kiedy tylko będę mogła. W porządku? Jelindra pokiwała głową i wskoczyła na grzbiet swego konia. - Zachodnia brama. Będę na ciebie czekać. Wyjechały powoli na dziedziniec w bladym, zimowym słońcu. Khallayne wołałaby, aby ich poczynania ukrywał mrok nocy. Magicznym sposobem wygłuszyła lekko stukot kopyt ich koni, mając nadzieję, że nikt ich nie usłyszał.

Nad ich głowami wznosiły się wrota dziedzińca, które rzucały cień na bruk. Khallayne odetchnęła z ulgą. Uda im się. Nagle z zamku dobiegł alarmujący krzyk. Podniosła oczy i ujrzała Jyrbiana, który stał na szczycie schodów i wskazywał na nią. - Zatrzymać je! - wołał. - Nie pozwólcie im uciec!

Khallayne klepnęła konia Jelindry po zadzie. - Jedź! - wrzasnęła. - Uciekaj! Koń skoczył naprzód i pognął przez bramę, niosąc Jelindrę skuloną nisko nad jego karkiem. Khallayne odwróciła się do Jyrbiana. Gwardziści wybiegali z zamku i ćwiczebnego podwórza za dziedzińcem, biegnąc ku stajniom. Jeśli dotrą do koni, z pewnością dogonią Jelindrę! Moc zapulsowała wzdłuż jej nerwów. Wyrzuciła ją z siebie, zatrzasnąjąc wrota stajni i stapiając zawiasy. Żołnierze bili pięściami w drzwi, a potem zawrócili i pobiegli w jej stronę. Wypowiedziała jedno słowo i przed nimi wyrosła ściana ognia. Strażnicy cofnęli się. Obok niej, daleko z boku świsnęła strzała. Khallayne usłyszała, jak Jyrbian krzyczy: - Nie róbcie jej krzywdy! Chcę ją mieć żywą! Przez mgłę gorąca widziała, jak daje znaki strażnikom. Poruszał wargami, wymawiając zakłęcie i Khallayne poczuła, że siła ognia słabnie. Dmuchięła i ściana płomieni urosła. Znowu zatoczyła koniem, zawracając w stronę miasta. Przerażone ogniem zwierzę ślizgało się na kocich łbach i omal nie upadło, jednak odzyskało równowagę. Koń pomknął galopem i brama mignęła w oczach Khallayne. Była na zewnątrz! Była wolna! Coś uderzyło ją jak olbrzymia ręka. Wysadziło ją z siodła i spuściło na ziemię z siłą mogącą zmiażdżyć czaszkę, aż zęby jej zadzwoniły, a mięśnie stężały pod wpływem nagłego szoku. Khallayne krzyknęła i przygotowała się na zderzenie. W ostatniej chwili coś równie potężnego złagodziło upadek, tak że tylko posiniaczyła sobie plecy i zabrakło jej na chwilę tchu. Usiadła, oszołomiona. Słyszała za plecami tupot biegnących stóp, lecz nie było jeszcze za późno, by zyskać trochę czasu dla Jelindry. Wstała i przygotowała się do walki. Dwaj strażnicy na przodzie napięli łuki, założyli strzały i przyklęku. - Delikatnie! - zawołał Jyrbian, schodząc te wzgórza ku niej. - Delikatnie. - Uśmiechał się i machnięciami ręki odesłał żołnierzy, podchodząc bliżej. - Khallayne. - Kiedy dotarł na miejsce. odprawił gwardzistów i stanął przy niej. Chwycił ją za ramiona swymi wielkimi dłońmi. - Dziękuję ci. Wyszarpnęła się z jego uścisku. - Za co?

- Rozumiem. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Kiedy uciekałaś, próbowałem cię zatrzymać, ale słowa nie chciały napłynąć. Ale wtedy z wnętrza napłynęła magia, tak jak mówiłaś. Odchylił głowę do tyłu i wznosząc twarz do nieba, zaśmiał się. - Teraz nie ma takiej rzeczy, której nie mógłbym zrobić! Cienie poruszyły się. Gwiazdy błyszczące jak drogie kamienie wypaliły otwory w czarnym niebie i świeciły tak jasno, że Bakrellowi wydawało się, iż słyszy ich pieśń o ogniu i ciemności, która dźwięczała niczym dzwoneczki. Noc była pełna szelestów i ruchu. Jechał beztrąsko, nucąc sobie dla dodania otuchy. Towarzyszyło mu dwóch wojowników, lecz kiedy zbliżyli się do gór, odesłał ich z powrotem. Tenaj wpadnie w złość. Jeśli kiedyś ją jeszcze zobaczy, poczęstuje go z pewnością niewybrednymi słowami, jednak samotnie czuł się bezpieczniej. Góry w oddali majaczyły jak plama na niebie, rzucając długi, czarny cień na równinę. Za godzinę znajdzie się wśród wzgórz. Ścisnął boki konia i pokłusował. Szukał śladów obozowisk ludzi bądź ogrów, nasłuchiwał ostrzeżeń w pohukiwaniu i krzykach nocnych ptaków i w szeleście zwierząt w trawie. Wybrał najprostszą drogę, jaką znał, szlak prowadzący prawie prosto do Khalkistów, jadąc w deszczu niemal od chwili, gdy zostawił za sobą łagodne pagórki. Krople dżdżu przyjemnie stuknęły w liście, spływały mu za kołnierz i przyklejały ubranie do ciała. Gdy podjechał wyżej, zrobiło się paskudnie. Góry dymiły, a było to zjawisko, o którym Bakrell słyszał, sam jednak nigdy go nie widział. Wyglądało to tak, jakby spirale dymu z tuzinów ognisk wznosiły się wśród bujnej roślinności i rozplęwały po szarobłękitnym niebie. Przedstawały piękny widok, lecz Bakrell wolał go już nie oglądać, skoro towarzyszyło mu takie zimno i wilgoć. Mijały dni, a on wciąż nie napotykał ogrów. Jednocześnie przynosiło mu to ulgę i napawało niepokojem. Czyżby Rada zarzuciła pościg? Siedział na skraju lasu i spoglądał na Thorad, gdy do głowy przyszedł mu pewien pomysł. Może znalazłby gospodę na brzegu miasta. Był tak zziębnięty i nieszczęśliwy, że nie wahał się podjąć ryzyko dla jednej wygodnej nocy przespanej na posłaniu, pod którym nie chłupotało. Thorad, pozbawiony murów, które otaczały większość

starszych miast, stał się łatwym celem ludzkich napaści. Barykady na szerokiej drodze, która była głównym wejściem od

18. Dragonlance - Zaginione Opowieści 02 - Irdowie

wschodniej strony, zaznaczały miejsca odpartych ataków. Worki wypełnione ziemią, ogromne kłody, nawet stoły z karczmy wypełniały poczynione w nich wyrwy. Budynki miały osmalone fasady. Kiedy Bakrell wjechał, kilku ogrów przyjrzało mu się z podejrzliwością, niepokojem i wręcz wrogością. Nigdy jeszcze nie widział takich ogrów! Wyglądali równie żałośnie, jak poplecznicy Igraine'a. Prawdę mówiąc, określenie uciekinierzy idealnie pasowało do tych rodzin z dobytkiem zapakowanym na dwukołowe wózki i wieśniaków z pakunkami na plecach, równie przemokniętych i żałosnych jak on sam. Bakrell wstąpił do karczmy, gdzie zatrzymał się wcześniej z Kaede. Duża sala świeciła pustkami, było w niej tylko dwóch ogrów skulonych przy ogniu w części jadalnej. Karczmarz, którego Bakrell zapamiętał, stał za kontuarem, polerując lśniąca powierzchnię starego drewna. Dopiero wtedy Bakrell uświadomił sobie, dlaczego miasto sprawiało wrażenie tak dziwnego i pustego. Nie było niewolników! Zawahał się, sięgając pamięcią wstecz, i nie przypominał sobie, żeby widział choć jedną ludzką twarz na ulicy. - Wejdz, przybyszu - rzekł karczmarz. Dwóch ogrów przy ogniu obrzuciło go ostrożnym spojrzeniem, lecz szybko wróciło do swych kubków, kiedy skinął do nich głową. Kiedy Bakrell zasiadł na stołku, karczmarz postawił przed nim kubek parującego naparu. - Jagody i kora - wyjaśnił, kiedy ogr pociągnął nosem. - Tylko tyle mamy. Bakrell objął dłońmi kubek i upił łyk. Napar był słaby i gorzki, lecz grzał niczym najlepsza whisky. - Napiłbym się czystej wody i byłbym zadowolony jak z wina, gdyby tylko była ciepła. - Z podróży? - Przez nonszalancję przebijał ton podejrzliwości. Bakrell pokiwał głową. - Przez ten deszcz było okropnie. Potrzebuję pokoju na noc. - Możesz sobie wybierać, jeśli tylko cię na niego stać. - Mam pieniądze. - Bakrell sięgnął pod pelerynę i wyciągnął przemokniętą sakiewkę. Zabrzęczały rzucane na szynkwias monety. Zamiast błysku, jakiego Bakrell się spodziewał, na twarzy karczmarza pojawiło się rozczarowanie. - Lepsze niż nic - rzekł. - Wolałbym jedzenie albo świece. Albo wino. - Mam... - W myślach Bakrell przeglądał przedmioty, jakie miał w sakwach na koniu. Nie miał świec i nie zamierzał rozstawać się z dwoma bukłakami wina. - Mam suszone mięso - zaproponował wreszcie. - I sól. Karczmarz rozpromienił się. - Sól? Możesz wziąć pokój na cały obrót księżyców!

- Jest w sakwie przy koniu, na zewnątrz. - Na zewnątrz? Nie można zostawiać czegoś tak cennego na dworze. Przepadnie w mgnieniu oka. - Karczmarz pośpieszył do drzwi za kontuarem i krzyknął, żeby ktoś poszedł po konia Bakrella. - I przynieście torby tutaj! Bakrell usiadł, ściskając w dłoniach ciepły kubek. Karczmarz zmrużył oczy. - Skąd jesteś? Czy ja cię tu przedtem nie widziałem? - Zatrzymałem się tu jesienią. Z siostrą. Czekaliśmy na... kogoś. Ogr zmrużył oczy, przyglądając się Bakrellowi. - Przypominam sobie młodzieńca z bardzo szykowną siostrą. On jednak sprawiał wrażenie ciamajdy wystrojonego w piękne szaty. Nie tak jak ty. Bakrell uśmiechnął się ze smutkiem. - Tak, chyba nie jestem do niego podobny. - Tych dwoje wybierało się na równiny w poszukiwaniu Igraine'a. - Karczmarz splunął na podłogę natychmiast po wypowiedzeniu jego imienia. - I oby go znaleźli. Przekłęci heretycy! Bakrell pokiwał głową, a potem w zamyśleniu sącył swój napój. - To on jest przyczyną tego wszystkiego, on i te jego poglądy na niewolnictwo. - Machnął rękoma, pokazując pustą salę. - Nie mam niewolników, którzy by tu pracowali. Zresztą to nieważne. I tak nie ma klientów. Połowa mieszkańców nie ma już nawet domów. - Widziałem tych ludzi na ulicach. Wyglądali, jakby gdzieś się przenieśli. Karczmarz ożywił się, snując dalej opowieść. - W mieście

nie jest bezpiecznie. Nie ma murów. Ludzkie istoty wjeżdżają, robią, co chcą i odjeżdżają, zanim straż się zbudzi. - Dokąd oni wszyscy pójdą? - Bakrell zaczął żałować, że się zapuścił do Thoradu, choć potrzebował nowin. - Większość zginie na szlakach z rąk ludzi. Ci przekłeci głupcy nawet nie zdają sobie sprawy, jak tam jest. Myślą, że będzie im lepiej, jeśli uciekną. Inni umrą z głodu, kiedy dotrą do Takaru i Bloten i dowiedzą się, że tam też nie są mile widziani. - Ależ w Takarze z pewnością zostaną przyjęci. Rada Panujących... - Rada Panujących! Też mi coś! - Ogr znów splunął z równą niechęcią, jak wtedy, gdy mówił o Igraine. - Siedzą sobie za murami w zaciszu i ciepło. Nie obchodzi ich, że ich najbliżsi giną z głodu. Po co mieliby przygarniać więcej ogrów? Bakrell westchnął ciężko, podsuwając kubek do napełnienia. - Jak w tak krótkim czasie mogło dojść do takiego stanu? - szepnął. Nagle ogarnęła go rozpaczliwa potrzeba odnalezienia Khallayne i Jelindry i jak najszybszego opuszczenia gór.

Lyrralt stał na brzegu, rozkopując piasek bosymi stopami. Od morza wiała przenikliwie zimna bryza. Piach pomiędzy palcami jego stóp był chłodny i ziarnisty. Dotarcie nad ocean Courrain, wielki akwen na północ od kontynentu, było radosną chwilą. Obozowali w pobliżu już od tygodnia, a mimo chłodu wciąż wielu ogrów schodziło na plażę. Małe rodzinne obozowiska ciągnęły się wzdłuż całego wybrzeża wśród piaszczystych, porośniętych trawą wzgórz. Głosy dzieci, które ze śmiechem i krzykiem bawiły się na brzegu, mieszały się z krzykiem morskich ptaków i hukiem fal. Słyszał wszystko, nie widział niczego. - Nie powinieneś chodzić bez butów! - zawołała wesoło Tenaj, podchodząc do niego po skrzypiącym piasku. Towarzyszył jej Igraine, który dopiero co wrócił z podróży do Schall, miasta ludzi dwa dni stamtąd na zachód. Lyrralt poznał go po zapachu. - Jak podróż? Uśmiech znikł z twarzy Igraine'a. Tenaj wzięła Lyrralta pod ramię, lecz zaczęła, aż odezwie się Igraine. Ogr się skrzywił. - Rozczarowała mnie. Obawiam się, że wyprzedziła nas reputacja naszych pobratymców. Nie jesteśmy tam mile widziani. Przywiozłem sporo prowiantu, ale sądzę, że powinniśmy wkrótce ruszyć w drogę. - Zanim ludzie postanowią zaatakować? - domyślił się Lyrralt. - Tak. - Czy nie ma miejsca, gdzie bylibyśmy bezpieczni? - spytała nagle przygnębiona Tenaj. - Mam już dość uciekania. Mam dość stałego oglądania się przez ramię. - Może istnieje takie miejsce. - Lyrralt obrócił ją w stronę oceanu. - Czy w Schall były żaglowce? - spytał Igraine'a. - Tak. Widziałem żagle przy nadbrzeżu. - Dość duże, żebyśmy się pomieścili? Wszyscy? - Nie wiem. Tenaj drżała. - Gdzie? - szepnęła. - Dokąd mielibyśmy popłynąć? Lyrralt wyciągnął rękę w stronę morza. - Skąd o tym wiesz, Lyrralcie? - Wiatr porwał głos Igraine'a i cisnął go z powrotem ku niemu, tak że zdawał się dochodzić z bardzo daleka. - Gdzieś na północy jest wyspa. Ona... Ona mnie woła. Igraine stanął pod wiatr od oceanu, czując na twarzy kropelki wody. Starał się uspokoić myśli, zapomnieć o troskach dbania o tyłu ogrów, karmienia ich, zapewniania im dachu nad głową, trzymania ich przy życiu. Mimo to nie słyszał wołania pieśni zza oceanu.

Jak zawsze, gdy kończyły się codzienne zmartwienia, czuł jedynie żal, przytłaczający smutek i samotność, jaką od śmierci Everlyn przepełniona była jego dusza, niemal nie dającą się znieść rozpacz. Ociekająca wilgocią ciemność. Stuk pazurów o kamienie gdzieś w mroku. Blask dymiącej, oleistej pochodni oświetlający co jakiś czas porośnięte pleśnią ściany i poszarzałe, ogryzione kości. We wnękach znajdowały się drzwi, tak grube i ciężkie, że mogły się nigdy nie otworzyć. Jedne stały otworem i Khallayne ominęła je z daleka, instynktownie wyczuwając, że nie chce wiedzieć, co jest za kręgiem światła jej pochodni. Znajdowała się w lochach pod zamkiem. Strażnik, który przyszedł po nią, niczego nie wyjaśnił, a na jej pytania odpowiadał jedynie: - Wykonuję rozkazy lorda Jyrbiana. Lorda Jyrbiana. Jak do tej pory lord Jyrbian dotrzymał słowa. Zorganizował żołnierzy. Razem z Kaede musztrował ich tak długo, aż omal nie padli ze zmęczenia, a potem Kaede poćwiczyła ich jeszcze trochę. Kazał im walczyć ze sobą pikami, mieczami, grubymi maczugami, jakich używali

ludzie, konno i pieszo. Uwielbiali go za to. Pierwszy tabor strzeżony przez jego żołnierzy przyjechał bez strat i teraz wszyscy go uwielbiali. Kiedy Khallayne i jej strażnik minęli drzwi w głębokiej wnęce, ogrzyca zobaczyła w świetle pochodni jakąś nierozpoznawalną masę butwiejącej tkaniny, która mogła być stertą szmat albo trupem. Kłęb ubrań, prawie całkiem wyschnięte ciało i rzadkie jasne włosy, które sterczały niczym słoma. Ogrzyca jęknęła cicho i cofnęła się. Czyżby to duszne, mroczne miejsce zawsze istniało pod salami, w których tańczyła, jadła, kochała się? - Tutaj, czcigodna pani - rzekł strażnik, zatrzymując się przed wrotami wpuszczonymi głęboko w granit. - Lord Jyrbian czeka. Khallayne znieruchomiała, zdjęta nagłą pewnością, że jeśli przestąpi próg tej celi, nigdy nie wyjdzie z niej żywa. Resztę życia spędzi na jedzeniu podawanego jej przez szparę w drzwiach obrzydliwego pożywienia i przebywaniu w ciemności, dopóki jej skóra całkiem nie wyblaknie i dopóki nie postrada resztek rozumu. Drzwi otworzyły się do środka i na korytarz padła smuga żółtego światła. Ciepłe powietrze, które buchnęło z wnętrza, przyniosło lekki powiew znajomej, jakby piżmowej woni. Po chłodzie i wilgoci wpadające przez drzwi światło i ciepło powinny wzbudzać miłe uczucia. Nie wzbudzały. Tak podpowiadała jej intuicja.

Tuż za progiem stał Jyrbian. Poruszał wargami, lecz nie słyszała słów. Moc. Moc w komnacie. Wyczuwała kipiącą magię, mrok pomimo jasności. Jyrbiana otaczała zielonkawa, brzydka aureola, silniejsza od wszystkich, jakie widziała. Strażnik pchnął ją mocno w plecy. Wewnątrz czarodziejski zgiełk był jeszcze gorszy. Moc zawrzała w żyłach Khallayne, pragnąc odpowiedzieć i ochronić ją, lecz ogrzyca ją stłumiła. Nigdy jeszcze nie czuła czegoś podobnego, nawet w zetknięciu z magiczną aurą, która otaczała Radę Panujących. Takie okrucieństwo! Takie zło! Wtedy spostrzegła, co - kogo - Jyrbian chciał, żeby zobaczyła. Zasłoniwszy usta dłonią, by stłumić okrzyk bólu, zbliżyła się o krok. Na nachylonej powierzchni kamiennego bloku pośrodku komnaty leżał przywiązany Bakrell. Muskulary jego nagiego ciała były naprężone. Usta rozwarł szeroko, obnażając zęby w milczącym grymasie udręki. - Na pewno pamiętasz Bakrella - rzekł Jyrbian. Z chwilą, gdy przemówił, otaczający go nimb mocy skurczył się i przygasł. Bakrell wydał żalostny jęk, zwierzęcy skowyt. Gdyby pominąć strużkę krwi, która sączyła mu się z kącika ust, można by pomyśleć, że śpi. Albo nie żyje. Khallayne nie straciła głowy. Podkuliła palce stóp, wyczuwając chłód posadzki przez podeszwy butów. Starła się zachować obojętny wyraz twarzy, czuła bowiem, że od tego zależy jej bezpieczeństwo i życie Bakrella. Jej wysiłki były daremne. W żaden sposób nie potrafiła ukryć zgrozy, wstrętu i obrzydzenia. - Znam go - wykrztusiła i ze zgrozą spostrzegła, że na dźwięk jej głosu ogr poruszył się i otworzył oczy. Jyrbian wyprostował się, wykonał jakiś drobny gest, który można było zauważyć jedynie kątem oka, i komnata znów wypełniła się jego ohydną mocą. Bakrell wyprężył się konwulsyjnie, szarpiąc więzy z taką zaciekłością, że o mało nie pękł. Potem, równie nagle, żalostnie zwiotczał. - Jyrbianie, proszę... - Choć Khallayne od stóp do głów przechodziły ciarki obrzydzenia, wyciągnęła do niego rękę. - Dlaczego to robisz? Jyrbian wziął ją za dłoń i przyciągnął do siebie dość blisko, by położyć rękę na jej ramieniu. - Bo to mi sprawia przyjemność. - Odwrócił się do swego jeńca i spytał: - A tobie nie? Oczy Bakrella były puste, pozbawione błysku życia i Khallayne uświadomiła sobie, że on umiera. Zbyt wiele razy widziała, jak życie gaśnie w oczach konających w bitwie, by nie

rozpoznać objawów. Nie spuszczać wzroku z Bakrella, wyszeptwała: - Jyrbianie, proszę, nie rób tego. Zrobię wszystko, co zechcesz. - Moja droga, nie masz już nic, czego bym pragnął. On jednakże posiada pewne informacje, które mogłyby złagodzić jego cierpienia, gdyby tylko zechciał się nimi z urną podzielić. - Zacisnął palce na jej ramieniu, a potem rozluźnił je pieszczotliwym gestem. Nie mogła powstrzymać dreszczu odrazy, który przebiegł jej po plecach. - Jakie? - Położenie obozowiska Igraine'a. Znów wzrosło natężenie zielonkawego blasku i złowrogiej mocy. Ciało Bakrella

wyprężyło się na kamieniu. Jyrbian złapał usiłującą zareagować Khallayne i ścisnął ją w pasie z siłą, jakiej się po nim nie spodziewała. - Bakrellu, jeśli wiesz, powiedz mu! - krzyknęła. Bakrell nie odpowiedział. Jego wygięte w łuk ciało unosiło się długo nad kamieniem, a potem opadło. Źrenice uciekły w głąb oczodołów. - Jeśli wiesz, powiedz mu! On cię zabije! Bakrell tylko potrząsnął głową. Nie. Poirytowany Jyrbian strzelił palcami. Ciało Bakrella drgnęło konwulsyjnie. Mięśnie naprężyły się, jakby chciały wyskoczyć spod skóry. Ogr wydał przeraźliwy wrzask. I nie milkł. Echo dźwięku rozbrzmiewało w małym pomieszczeniu, dźgało ją w uszy, w serce, raniło niczym szpilety wbite w czaszkę. Tak głośny i pełen udręki był ten odgłos, że trwał w umyśle Khallayne jeszcze długo po tym, kiedy Bakrell ucichł. Jyrbian wypuścił ją. Podszedł do Bakrella, dotknął go delikatnie jak kochanek. - Czy nie pragniesz, by ból ustał? Czy nie chcesz, żeby to się skończyło? Wystarczy, że mi powiesz. Powiedz mi tylko, gdzie znajdę Igraine'a. Wiem, że wiesz, dokąd się wybierali. Skąd inaczej wiedziałbyś, gdzie zabrać Khallayne i Jelindrę? Nie mogąc mówić, Bakrell kręcił głową w tę i z powrotem. W tę i z powrotem. Nie. Otepiały mi oczyma spojrzał na Khallayne spod opuchniętych powiek. Na chwilę, tylko na chwilę, zaświtała w nich zdolność rozpoznawania. Zgroza. Zrozumienie. - Wybacz mi - wyrzęził cicho mimo gulgotu krwi. Z wysiłkiem obrócił głowę, aż spojrzał na Jyrbiana. - Nie zrobisz jej krzywdy? - wychrypiał, a kiedy Jyrbian zgodził się, szepnął: - W pobliżu Schall. Na wybrzeżu. Zamknął powieki. Głowa opadła mu ciężko na bok. Jego klatka piersiowa uniosła się, opadła i już nie poruszyła więcej.

Przez chwilę w komnacie panowała przytłaczająca cisza. Z triumfującym okrucieństwem Jyrbian rzekł do strażnika przy drzwiach: - Natychmiast zbierz kompanię. Wyruszyście dziś w nocy. Przeprowadźcie mi Igraine'a żywego lub umarłego. Ale ludzi, którzy go strzegą, chcę dostać żywcem. Ogr dziarsko zasalutował i znikł w ciemnym korytarzu. Kiedy ucichły jego kroki, Jyrbian odwrócił się do Khallayne. - Pozwól, że cię odprowadzę do twej komnaty.

Rozdział 17 - Coraz bliżej pyłu Słońce przenikało do głębin czystych, błękitnych wód oceanu Courrain. Jak często o poranku xocli zatrzymała się, leniwie poruszając w nurcie płaskim ogonem i odwróciła jeden z trzech łbów, by popatrzeć na swych morskich pobratymców, którzy wracali z powierzchni wzdłuż ciepłych smug światła. Obok przepłynęła stateczna ryba-liść i pomachała jej serdecznie na powitanie falującymi i powiewającymi niczym ozdoby płetwami, którym zawdzięczała swą nazwę. Nocna migracja w kierunku pionowym zaczynała się o zmierzchu. Drobne rybki, tak małe, że niewidoczne dla xocli, wypływały na powierzchnię w poszukiwaniu pokarmu. Powoli ruszały za nimi małe ryby, które żywiły się drobnymi, a w ślad za nimi większe stworzenia. W głębinach oceanu Courrain w nocy było zupełnie inne światło niż za dnia. Xocli przyglądała się nocnym tańcom i porannym powrotom, choć sama nie wznosiła się wraz z nadejściem zmierzchu, jeśli nie wołał jej jakiś głos - jak zawołał ją tego poranka, słabo i niewyraźnie. Wołający był gdzieś daleko, może nawet nie na wodzie, lecz jego smutek przemówił do niej, jego żal wzruszył ją do głębi serca. Skinawszy na swe dzieci, popłynęła przez ocean, dając się nieść morskim prądom. Nie było pośpiechu. Głos wołającego powie jej, kiedy ma się wynurzyć. Jedną z głów złapała larwę krewetki, która pływała na błyszczącym jak cekiny morskim liściu. Drobny kąsek zaostrzył tylko jej apetyt. Otworzyła wszystkie trzy paszcze i wessała w nie wodę, rozkoszując się jej przepływem przez skrzela na szyjach. Widmowe światło przebiegało po delikatnej jak pajęczyna, przejrzystej kryzie okrywającej organy w tułowiu i szyjach xocli. Płynące za nią maleństwa, jej dzieci, bawiły się wśród słonecznych promieni, nurkując pod rafę i wyskakując nad nią albo wychylając się zza niej. Kiedy skręciła, rozproszone dzieci zatoczyły krąg i wróciły do niej. Nie tylko unikała chłodniejszej okolicy na północ od rafy, gdzie ze szczeliny w dnie oceanu wypływała na powierzchnię ciecz czarna jak atrament, lecz także coraz silniej czuła w kościach melancholijne wezwanie z powierzchni,

syrenią pieśń, której nie można było się oprzeć. Młode były miniaturowymi kopiami swej matki: trzy głowy na długich szyjach, złote łuski i płetwy iskrzące się wszystkimi kolorami oceanu. Gdyby nie błyszczące oczy, trudno

byłoby je zobaczyć na tle rafy z powodu przezroczystości młodej skóry i rozwijających się kryz. Poczła raczej niż usłyszała krzyk jednego ze swych dzieci. Odwróciwszy się gwałtownie, przeliczyła potomstwo. Jedno, dwoje, troje koło rafy. Jeszcze jedno badało na dnie miniaturowy komin, zaczątki szybu, z którego unosiły się w górę blade cząsteczki. Kolejne pływało leniwie w oddali. Nie mogła znaleźć tylko jednego, które krzyczało z bólu i strachu. Wołanie dobiegało z północy, od strony szybu. Poleciwszy reszcie trzymać się z dala, xocli pomknęła w kierunku głosu. Splotła trzy długie, grube karki i płynęła ze złożonymi trzema łbami. Śpiesząc w stronę wezwania, pożegnała się z rozległym, panoramicznym widokiem podwodnego świata. Kiedy zbliżyła się do komina, widoczność znacznie się pogorszyła. Wypływająca jak dym ze szczeliny czarna ciecz zmąciła wodę do tego stopnia, że prawie nie przepuszczała promieni słońca. Xocli płynęła na wyczucie, kierując się ruchami swego dziecka. Jego żalosne wołanie słabło z każdą chwilą. Krzyknęła rozpaczliwie i w odpowiedzi usłyszała ledwie kwilenie swego zaginionego potomka. Zataczała kręgi w mętnej wodzie. Kiedy już sądziła, że go nigdy nie odnajdzie, zobaczyła swoje maleństwo uwięzione w falujących mackach gigantycznego ukwiału, zwrócone grzbietem do rafy, bliżej niż myślała. Ukwiały nie były ruchliwymi stworzeniami. Całe życie spędzały przytwierdzone do rafy lub głązu, niezdolne do ścigania zdobyczy. Wypuszczały z prądem parzące macki, by złapać pożywienie, a potem wciągały ogłuszone, nieszczęsne stworzenia w swe mordercze objęcia. Maleństwo piszczało cichutko. Unieruchomione w uścisku olbrzymiej macki, tonęło. Xocli podpłynęła do niego, wydając przeraźliwy okrzyk rozpacz i wyzwania. Polip, w trakcie pożywiania się głupi i powolny, stawał się szybki, gdy tylko poczuł ofiarę. Wystrzelił parzydełka, które utkwili w delikatnym ciele u nasady jej karków. Jej ciałem targnął ból wywołany kąsaniem setek małych zębów. Xocli wrzasnęła i odskoczyła, wymachując wielką płetwą piersiową. Dzięki ciężarowi i sile wyrwała się ukwiałowi, zostawiając strzępy ciała na ząbkowanych mackach. Znów podpłynęła. I znów polip ją pokłuł, wstrzykując jad w jej żyły. Znów się uwolniła, tym razem odrywając kilka ramion od podstawy. Usłyszała niosący się w wodzie szmer złości bezrozumnego stworzenia. Jeszcze raz podpłynęła, rozsunała trzy karki najszerzej jak mogła i zaatakowała z trzech różnych stron.

Atakowała, nie zważając na ból. Bez przerwy. Bez wytchnienia. Rozpaczliwie. Nacierając na ukwiał z góry i z dołu, przypuszczała bezpośredni atak od frontu. Odrywała kawałki paskudnych, wijących się macek, odgryzała od podstawy całe ich kępy. Ukwiał odpierał jej atak ze wszystkich stron, wypuszczając gęstą, żrącą, białą truciznę, jakby mało było parzących macek. Xocli wycofała się, oślepiąca, brocząca krwią, pokonana. Jej dziecko nie ruszało się już w uścisku polipa. Jego lament ucichł na zawsze. Xocli uniosła głowy i wydała krzyk rozpacz i żalu. Cierpienie było tak wielkie, że prawie zagłuszyło wołanie z powierzchni. Ostatni raz obejrząwszy się na szczątki dziecka, popłynęła w górę, dając znak potomstwu, by pośpieszyło za nią. Wynurzała się szybko, posłuszna syreniej pieśni z powierzchni, sycąc się smutkiem wołającego i wchłaniając go. Powiększone o jej własny żal uczucie zawładnęło nią bez granic. Xocli dała ujście cierpieniu. Udręka zmieniła się w furję, która narastała w niej tak długo, aż xocli, która wyskoczyła wysoko w powietrze nad powierzchnią oceanu, oszalała z wściekłości. Maleńkie stateczki kołysały się na falach oceanu pod nią. Xocli rozkoszowała się strachem i cierpieniem istotek, które przywarły do pokładów. Syciła się kojącymi ból upajającymi emocjami. Niebieskoszary, nie kończący się przestwór wody ciągnął się jak okiem sięgnąć i stapiał z niebem. Zmarszczona tafla przypominała w chłodnym blasku słońca roztopione szkło. Znajdowali się na północ od kontynentu Ansalon, daleko na

zachód od gór Khalkist. Jak zapewniał ich człowiek będący kapitanem, niedaleko leżały wyspy zwane Smoczymi, z których część była dość duża, by utrzymać kolonię ogrów. - Jak daleko jeszcze? - Tenaj zawołała do Lyrralta, który siedział w cieniu na górnym pokładzie, wsparłszy się plecami o przepierzenie. Przeszła po kołyszącym się pokładzie, omijając wylegających się w słońcu ogrów ze swobodą osoby, która spędziła wiele dni na statku, i przykucnęła obok niego. - Jak długo jeszcze? Uśmiechnął się, zwracając ku niej ślepe oczy. - Niedługo. Nie słyszysz? Przechyliła głowę. - Owszem. - W jej ustach słowo to zmieniło się w szeleszczący syk. Rzeczywiście coś słyszała, tak jak oni wszyscy, jakiś syreni śpiew wabiący ich zza wody. - Nadal jednak jest tak cichy. Nie potrafię powiedzieć, czy jest daleko czy blisko. - Jest blisko - powiedział ktoś za jej plecami. - Bardzo blisko. - Oby to była prawda - burknął ktoś inny.

Tenaj wróciła na dziób. Na tym polegał problem, kiedy siedziło się w tłoku na statku z tak wieloma osobami. Nie było mowy o intymności. Na mniejszym statku, który płynął za nimi, było pewnie jeszcze gorzej. Igraine podszedł i dotknął jej ramienia. - Ciasno ci? - spytał cicho. Jak zawsze Tenaj była zaskoczona, jak świetnie potrafił odgadnąć jej myśli i zawstydzona, że tak niegodna refleksja zagościła w jej głowie. - Wiem, że powinnam czuć się wdzięczna - przyznała pokornie. - Mieliśmy szczęście, że udało nam się znaleźć kapitana, który zgodził się zabrać nas wszystkich na raz. - Szczęście, że natrafili na człowieka dość chciwego, by docenić pieniądze, jakimi mogli zapłacić. - Mamy szczęście, że jesteśmy tu wszyscy zdrowi - powiedział tęsknie Igraine, należał bowiem do tych nielicznych, którzy dostali choroby morskiej w pierwszych dniach podróży. Potem bardzo cicho, bardzo smutno szepnął: - Żałuję, że Everlyn nie mogła zobaczyć naszej nowej ojczyzny. Tenaj spojrzała na niego z zaskoczeniem. Po raz pierwszy od śmierci córki wymienił jej imię. Igraine nie był tym samym wodzem, który opuścił Takar. Śmierć córki zgasiła w nim ogień życia, tłamsząc go w jakiś sposób i powlekając jego srebrne włosy i oczy wypłowiałą szarością. Mimo to jego głos tchnął siłą, która mogłaby przenosić góry. Ucisnęła jego dłoń współczująco, odwróciła twarz do wiatru i spojrzała na morze. W chwili, gdy Igraine chciał coś powiedzieć, wciągnęła gwałtownie powietrze do płuc i wychyliła się przez reling. - Widzisz wyspę? - Nie. - Potrząsnęła głową i odepchnęła jego rękę. - Nie. - Ujrzała natomiast coś w wodzie, jakieś nienaturalne zawirowanie. Przyłożyła dłonie do ust i zawołała do kapitana, starając się przekrzywić łopotanie żagli. - Coś jest przed nami! Kapitan pokazał gestami, że nie słyszy jej słów. Ociemniwszy oczy, popatrzył przed siebie, a potem raptownie chwycił za ster i starał się zmienić kurs, krzykiem wydając rozkazy załodze. Statek przechylił się, z jękiem wykonując zakręt na wodzie. Tenaj złapała Igraine'a i popchnęła go w stronę ściany nadbudówki, w stronę schodów na dół. - Wszyscy pod pokład! - krzyknęła. Zaniepokojeni ogrowie już wstali i kiedy statek wykonał zakręt, wzbijając pióropusz wody, rozpięchli się.

Igraine'owi zaparło dech w piersi. Na pokładzie rozległy się krzyki i Tenaj odwróciła się w samą porę, by ujrzeć wznoszącą się głowę jakiegoś stworzenia, którego złoty pysk wyłaniał się z morza w strugach wody spływającej po jego falującej skórze. Było piękne i straszne, pomyślała, stworzenie z przezroczystego, perłowego złota, o rybich łuskach i oczach czerwonych jak rubiny. Następna głowa wychynęła na powierzchnię obok pierwszej, a potem jeszcze jedna - razem trzy łby na olbrzymich, lśniących, wygiętych karkach ozdobionych krezami. Głowy odchyliły się tak gwałtownie, że powietrze zaświszczało Tenaj w uszach, a włosy smagnęły ją po oczach. Kapitan wołał coś niezrozumiale. Ogrowie biegali i krzyczeli. Teraz Igraine ją popychał. Wpadła na Lyrralta, który stał oparty o ściankę nadbudówki. - Trzymajcie się! Trzymajcie! - krzyczał kapitan. Istoty zbliżały się szybko, zostawiając za sobą spienioną wodę. Spuściły olbrzymie, tępo zakończone łby, szykując się do zderzenia. Miała tylko chwilę, żeby pomyśleć i zadziałać, zanim uderzą w burtę

statku. Belki przecież nie wytrzymają tak strasznego ciosu! Tenaj uniosła ręce i utworzyła tarczę, wkładając w nią całą magiczną moc, jaką władała. Głowy potwora zderzyły się z niewidzialną zaporą z taką siłą, że poczuła drżenie. Jeden z łbów przebił się i trafił statek. Okręt zakołysał się od uderzenia, zachwiały na boki jak szalony. Belki jęknęły i trzasnęły, grożąc całkowitym popękaniem. Cios przewrócił Tenaj na pokład. Uderzyła głową w pokład. Przetoczyła się na plecy i zobaczyła, że morskie potwory znów szykują się do ataku. Podniosła się na kolana, szepcząc pod nosem słowa kolejnego zaklęcia w nadziei, że wzmocni jego siłę. Chwilę później Igraine i Lyrralt byli już przy niej i pomagali jej wstać. Pozostali otoczyli ją ciasno i wsparli jej magię swoją mocą. Stworzenia znów zaatakowały, bijąc z całych sił głowami w niewidzialną zaporę. Rycząc z gniewu i bezsilnej złości, potwór wzniósł się kolejne osiemnaście metrów nad wodę i jeszcze raz uderzył. Zadał cios, który przewrócił ich wszystkich na pokład, jakby nic nie ważyli. Tarcza zatrzęsała się od siły uderzenia, ale wytrzymała. Z tyłu rozległy się radosne okrzyki. Przeczuwając następny atak stworzeń, Tenaj zawołała: - Skupcie się! - Usłyszała kolejny krzyk, a potem Lyrralt złapał ją za rękę. - Zbliżają się! Igraine zatrzymał przebiegającego obok marynarza. - Co to za stworzenia? - spytał.

- To nie kilka stworzeń, tylko jedno! Xocli. Usiłuje nakarmić swoje młode. A my jesteśmy pożywieniem. - Płynie w stronę drugiego statku - powiedziała w ośpieniu Tenaj. Podbiegła do burty, machając rękoma i krzycząc w nadziei, że odciągnie uwagę stworzenia. Potwór przepłynął obok, zanurzony do połowy. Dobiegając do końca pokładu, Tenaj z całych sił rzuciła zaklęcie. Trzasnęło coś jakby piorun, lecz nie dosięgło potwora. Cisnęła wtedy ognistą kulę, jedną, potem dwie i więcej. Również nie doleciały do celu. Stojący obok niej Igraine również rzucał czary. Z morza, do którego wpadło coś bardzo blisko potwora, wytrysnęła wysoka fontanna wody. Xocli podpłynęła do mniejszego żaglowca. - Tam nikt nie ma dość mocy, by go powstrzymać - rzekła Tenaj głosem oznajmującym klęskę. Bardziej zaawansowani w magii i rzucaniu czarów ogrowie płynęli razem, mając nadzieję, że nauczą się czegoś od siebie nawzajem w czasie morskiej podróży. W odrętwieniu przyglądała się, jak potwór w taki sam sposób przypuścił atak na mniejszy statek, wielokrotnie uderzając w niego głową. Zobaczyła wpadające do wody ciała, usłyszała miotanie się i wrzaski, a potem ciszę. Na jej żaglowcu rozlegały się jęki i pieśni smutku. Mniejszy statek przechylił się na bok jak zabawka w stawie. Ogrowie zsuwali się po pokładzie, rozpaczliwie czepiając się wszystkiego. Coś pod powierzchnią rozszarpało tych, którzy wpadli do wody. Stworzenie wciąż uderzało złotą głową w statek. Bezustannie. Tenaj wyrwała się z rąk Igraine'a i podbiegła do kapitana. - Zawracaj! - krzyknęła przeraźliwie. Wspięła się po drabinie na górny pokład. - Zawracaj! Musimy im pomóc! - Nie możemy. - Człowiek spojrzał jej prosto w oczy. - Też zatonęlibyśmy. - Nieważne - mruknął drugi oficer, pokazując ręką. - Właśnie się oddała. Tenaj odwróciła się. Morski potwór odpływał pięknym i wdzięcznym ruchem, stopniowo zanurzając się w wodzie. Drugi żaglowiec nadal unosił się na powierzchni, lecz miał poważny przechył na prawo. Na sterburtę, poprawiła Tenaj. Podczas ich obserwacji na maszcie pojawiły się flagi sygnalizacyjne. - Statek nabiera wody - przetłumaczył kapitan. - Zdolny jest jednak do żeglugi. Odpowiedzcie na ich sygnały. Podpłyniemy do nich. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by im pomóc. Tenaj nalegała, by zatoczyli krąg i sprawdzili, czy w wodzie nie ma rozbitków, lecz zanim jeszcze kapitan się zgodził, wiedziała już, że poszukiwania są bezcelowe. Ilu zginęło?

Wróciła po drabinie na swoje miejsce na dziobie. Opanowani już ogrowie na pokładzie za jej plecami płakali cicho i szeptem snuli domysły, kto z ich przyjaciół i krewnych poniósł śmierć. Podeszedł do niej Igraine, a potem Lyrralt. Zaszło słońce. Mimo to Tenaj wciąż stała wpatrzona w czarną wodę, która w blasku Solinari migotała jak diamenty. Powiał chłodniejszy wiatr. Wzeszły gwiazdy. Stała jeszcze, kiedy obserwator krzyknął: - Ziemia! Popatrzyła w jedną i w drugą stronę,

dopiero wtedy uświadamiając sobie, że ład był tuż przed nią. Czern, którą wzięła za bezgwiazdne niebo, była wyspą. Dużą wyspą. Igraine i Lyrralt znów podeszli do niej, przepychając się przez tłum ogrów, którzy wylegli na pokład. Przez chwilę Igraine przyglądał się czarnemu paskowi ziemi na horyzoncie. Potem powiedział cicho: - Będziemy się nazywać Irdowie, Dzieci Gwiazd, Strażnicy Ciemności. Tak jak znaleźliśmy drogę do tej wyspy. odnajdziemy własną drogę ku przyszłości. - Po raz pierwszy od śmierci Everlyn jego serce wypełniła nadzieja. ukojenie i cudowny spokój. Khallayne całymi dniami siedziała skryta i milcząca. Jadła, kiedy stawiano przed nią jedzenie, spała, kiedy niewolnik prowadził ją do łóżka. Trzęsa się, kiedy w komnacie panował chłód i pocila się, gdy siedziała za blisko ognia. Cała była zboląta. Bolały ją zęby, skóra, palce. Mięśnie i oczy. Wszystko bolało i przez wiele dni każdy dźwięk, nawet najdrobniejszy, przyprawiał ją o dreszcze. Wiedziała jednak, że wszystko minie. Dolegliwości ustąpią, a słuch wróci do normy. Nie była natomiast tak pewna, czy zachowała zdrowe zmysły. Wszystko wokół było zamglone jak wczesnym porankiem w górach, kiedy chmury się jeszcze nie rozproszyły, powietrze jest przesycone wilgocią i nic nie ma ostrych zarysów. - Dlaczego trzymasz ją przy życiu? -- Przez mgłę przebił się zabarwiony zazdrością głos Kaede. - Bo mnie to bawi - odparł Jyrbian jedwabistym, przepęnlionym okrucieństwem głosem. Khallayne przyglądała się wszystkiemu tak, jakby to było przedstawienie, czekając na przebudzenie serca, które jej powie, że nie umarła. Tym, co kazało jej patrzeć, słuchać i wrócić wreszcie do świata gniewnych szeptów, był wrzask, krzyk konającego mężczyzny.

- A jednak - powiedział ktoś w pobliżu okna. - Zamierzasz się ocknąć. - Nie sprawiał wrażenia zbyt zadowolonego z takiego obrotu wydarzeń. Khallayne powoli usiadła. Zauważyła Kaede, która stała przy oknie z kryształem z kolekcji Jyrbiana w dłoni. Przypomniała sobie o śmierci Bakrella. - Bakrell... - wykrztusiła. Kaede odłożyła kryształ z powrotem na stojak z brązu i odwróciła się do niej. - Hmm. Zawsze byłam przekonana, że lubiłaś mego brata trochę bardziej, niż to okazywałaś. Bez wątpienia jest już jednym z najwierniejszych zwolenników Igraine'a. Jeśli już coś robił, to zawsze z przekonaniem. Ona nie wiedziała! Khallayne natychmiast to pojęła. Jyrbian jej nie powiedział. Otworzyła usta, żeby powiadomić Kaede, wyrzucić z siebie ból i złość. Nie zrobiła tego jednak. Nowina może okazać się użyteczna później. Khallayne z wysiłkiem spuściła nogi z łóżka i wstała. Na chwiejnych, uginających się nogach podeszła do garderoby ze skąnym wyborem strojów. - Czego Jyrbian chce ode mnie? Kaede wzruszyła ramionami, lecz odpowiedzi udzielił Jyrbian, który stanął w drzwiach. Odziany był w piękny czerwony mundur i wręcz tryskał zdrowiem. - Być może istnieje jeszcze kilka zaklęć, których nie znam. Oparła głowę o drzwi garderoby. - Będiesz musiał mnie zabić - rzekła cicho Khallayne. Potem z rosnącą złością dodała: - Umrę raczej niż nauczę cię czegoś jeszcze! Ogr wzruszył ramionami, jakby się tym nie przejął. Bo tak też było. Jakich żalonych, drobnych zaklęć mogła nauczyć go Khallayne, kiedy wiedział już, jak zamęczyć kogoś na śmierć, nie zostawiając przy tym żadnych śladów na ciele? Kiedy spojrzała na Kaede, która stała we wpadającym przez okno słońcu i leniwie gładziła kryształy z kolekcji Jyrbiana, nagle przyszło jej na myśl, że jest jeszcze jedno zaklęcie, którego może się od niej nauczyć. Zanim jeszcze usłyszała jęk Kaede, zrozumiała też, że jeśli okaże się to konieczne, Jyrbian rzeczywiście ją zabije, próbując wydobyć z niej sekret. W tym momencie Kaede pochwyciła kryształ i otwierając usta z niedowierzania, popatrzyła nań pod światło. Wewnątrz przejrzystej kuli snuła się wstążka dymu. Słońce przeświecało przez kryształ, rzucając tańczącą tęczę światła. - Historia! - jęknęła Kaede, przykładając kulę do ucha. - Historia. Jyrbianie, skąd ją masz? Jyrbian był równie zdumiony, co Khallayne zdjęta zgrozą.

- O czym ty mówisz? - Wyciągnął rękę, lecz Kaede nie chciała mu oddać kryształu. Wyrwał go jej z ręki, powtarzając pytanie. - To jest Historia. Pieśń Powierniczki! Jest tutaj. Skąd ją wzięłeś? -

Jesteś pewna? - Przyłożył kulę do ucha, a potem wziął pod światło. - To śmieszne! Jak to możliwe? - Słyszę ją! Oddaj mi ją. Jest moja! Ktoś ukradł ją Powiernicze. Ona nie zachorowała. Została zamordowana! Jyrbian uniósł kryształ tak wysoko, że nie mogła go dosięgnąć i odepchnął jej wyciągnięte ręce. Zanim Kaede zdołała go powstrzymać, podszedł do Khallayne i wcisnął jej kulę w dłoń. Okrągła, gładka i chłodna. Khallayne zacisnęła na niej palce. Poczowała znajome mrowienie życia. Zniosła kryształ w złożonych dłoniach do ognia i podniosła go w górę. - Ty to zrobiłaś - oznajmił Jyrbian z absolutną pewnością. - Lyrralt napomknął o czymś tego dnia, gdy Powierniczka zachorowała, tajemniczo wspomniął o fortunie za śpiewanie tego samego dnia, kiedy tak się na ciebie pogniwał. On sam jednak nie wiedziałby, jak tego dokonać, więc musiałaś mu pomóc. Jak? Tak, Pieśń nadal tam była. Czowała jej obecność tak, jak Kaede ją słyszała. - Nie, ja tego nie zrobiłam. - Skłamała. Khallayne oddała mu z powrotem kryształ. - Niczego nie czuję w tej bryle szkła. Jyrbian przyglądał jej się przez chwilę. - Postaraj się sobie przypomnieć - rzekł przymilnie. - Może wróci ci pamięć. Zanim będę zmuszony ją pobudzić w taki sposób, w jaki poruszyłem... pamięć pewnej osoby. - Wepchnął jej znów kryształ w dłonie. Kaede zaprotestowała głośno: - Jest moja! Nie możesz... Wystarczyło jedno spojrzenie Jyrbiana, by Kaede umilkła i wyszła za nim z komnaty z morderczym błyskiem w oczach. Khallayne zniosła kulę na łóżko. Podparła się poduszkami, zawinęła w ciepłe kołdry, położyła kryształ na podołku i wbiła w niego wzrok, starając się przypomnieć sobie tę noc, gdy do tego doszło, przypomnieć sobie zaklęcie, uczucie, jakie w niej wzbudziło, oraz sposób, w jaki wszystkie elementy zadziałały wspólnie. Potem, kiedy już była przekonana, że przypomni sobie wstęgi ciemności i Pieśń wypływającą z ust staruszki, wyzwoliła swą moc. W myślach zastukała do kryształowej kuli. I kula się otworzyła. Wydostała się z niej Pieśń, która krążyła wokół rąk Khallayne i przepływała jej między palcami, nie dając się opisać muzyką, tak gorzkosłodką, że oczy

zaszły jej łzami, pieśń o świecie, który wkrótce przestanie istnieć. Pięknym, barwnym świecie, który przypominał jabłko z robakiem rozkładu wewnątrz. Zagubiła się w Pieśni, nie potrafiąc podążać za muzyką, lecz wtedy usłyszała radosne okrzyki i zgiełk na dziedzińcu w dole. Zerwała się na równe nogi i podbiegła do okna. Na dziedzińcu ujrzała kłębiący się, rozkrzyczany tłum żołnierzy, którzy się głośno witali i składali sobie gratulacje. Wydawało jej się, że zauważyła Jyrbiana, który w olśniewającym, paradnym mundurze szedł dumnym krokiem przez tłum ogrów i koni. Wtedy dostrzegła powód całej tej wrzawy. Zbiegowisko żołnierzy otaczało grupę skutych jeńców, pośrodku których stał wóz, a na nim tylko jeden więzień w łańcuchach i pętach: Eadamm, wódz ludzi, którego Jyrbian szukał jak szalony. Jyrbian zapomniał o wszystkim - o Historii, gniewnych błaganiach Kaede i kuszącym zaklęciu, które Khallayne zdradzi mu prędzej czy później. Setki ludzi, starych i młodych, zeszły do lochów Jyrbiana i już z nich nie wróciły. Skonali, krzycząc i błagając o litość, albo tak pograżyli się w obłędzie, że nawet nie potrafili już wydać krzyku. Kiedy uśmiercał każdego z nich, w ich dzikich, ludzkich twarzach widział rysy Eadamma i żałował, że to nie jego zabija. Teraz zazna tej przyjemności. Jyrbian przepychał się przez tłum ogrów i ludzi, którzy zebrali się na podwórzu. Wspiął się na wóz i stanął twarzą w twarz z człowiekiem, którego nienawidził najbardziej na świecie. - Jaka szkoda, że możesz umrzeć tylko raz - rzekł rozczarowany opanowaniem niewolnika. Poszukał w tłumie dowódcy oddziału, który przywiódł człowieka i skinął na niego. - Gdzie go znaleźliście? Czy strzegł zwolenników Igraine'a, jak przypuszczałem? - Nie, panie. O ile wiem, reszty nie znaleziono. Złapano go pod Persopholus. Przypuszczamy, że dowodził oblężeniem miasta. - A bitwa? - Odnieśliśmy zwycięstwo, panie. - Kapitan wyprostował się dumnie. - Wycięliśmy ludzi w pień. Jyrbian uśmiechnął się radośnie od ucha do ucha i nachylił, by poklepać ogra po ramieniu. - Znalazłeś przy nim coś cennego? - Skinął głową w kierunku Eadamma.

- Tak, panie, zgodnie z twymi słowami. Moi wojownicy przynieśli mi to. - Kapitan sięgnął pod

tunikę i wyjął srebrny łańcuszek zakończony amuletem owiniętym w srebrny drut. Zza swojej tuniki Jyrbian wydobył inny, podobny amulet. Krwawnik, który zdjął z szyi Everlyn. Bez słowa uniósł oba, aby niewolnik mógł je zobaczyć. Eadamm rzucił się na niego z wściekłym grymasem, szczerząc zęby niczym dzikie zwierzę. Łańcuchy, którymi był spętany, wytrzymały jego daremną szarpaninę. Jyrbian zszedł z wozu z błogim uśmiechem. Zastał Kaede w swej sypialni. Skąpo odziana ogrzyca o rozpuszczonych długich włosach roztaczała ciężką, odurzającą i uwodzicielską woń perfum. - Słyszałaś już? Pokiwała głową, podając mu kieliszek wina. - Jego śmierć musi być widowiskowa. Musi stać się przykładem dla innych. Na jego wargi wypłynął powolny, słodki uśmiech. W głowie już mu świtwały myśli i obrazy. Uśmiechnął się szerzej, obrzucając wzrokiem jej ciało. Przybliżył do niej o krok i dostrzegł zachęcający uśmiech i żar w jej oczach... Zgiełk tłumu ledwo docierał do Khallayne, która dosiadła konia i wyjechała w ślad za pozostałymi na dziedziniec, a potem do miasta. Bruk połyskiwał jasno w słońcu, które oświetlało szare, kamienne mury. Jechała za Jyrbianem, czując, jak strach ściska ją za gardło. - To tylko parada - powiedział, uśmiechając się niewinnie jak dziecko. - Na cześć wodza ludzkich istot. Nie powinnaś przegapić takiej okazji. - Zgodziła się potulnie, pragnąc opuścić zamek i łudząc się nadzieją ucieczki. Posuwali się w majestatycznym, powolnym tempie krętymi zakolami w stronę ulic miasta, a potem szerokimi alejami do koloseum. Na całej trasie ogrowie wylegli na ulice i w oczekiwaniu na rozrywkę pili i kupowali jedzenie od wędrujących w tłumie handlarzy. Khallayne miała straszne przecucia co do widowiska, które przyciągnęło całe miasto. Po obu stronach ulic przy koloseum ustawiono podwyższenia i łoże widokowe przystrojone ałtarem w barwach wszystkich najpotężniejszych klanów. Trybuna Jyrbiana stała najbliżej środka, w cieniu gigantycznego amfiteatru. Tylko łoża Rady Panujących znajdowała się w dogodniejszym miejscu. Kaede, która już stała na trybunie, wyglądała olśniewająco w szmaragdowej sukni i odpowiednich do niej klejnotach w uszach i na szyi. Kiedy jednak zauważyła, że Khallayne

jedzie po prawej ręce Jyrbiana, zmarszczyła brwi i odwróciła głowę. Jyrbian zsiadł z konia i wprowadził Khallayne po schodach. Przybyła Rada Panujących. Anel wyjrzała przez barierkę i skłoniła się Jyrbianowi. Na tyłach łoża widokowej stał stół pełen smakołyków i ktoś wcisnął Khallayne do ręki puchar z brązu wypełniony ciemnoczerwonym winem. Zagrała muzyka, flet wywodził wysokie trele. Potem dołączyły dźwięki innych instrumentów, które wygrywały swe melodie. Bębny. Talerze. Dzwony. Jeszcze jeden flet. Ich skoczne, wesołe tony spletały się ze sobą. Nagle zrobiło się ciemno, jakby słońce schowało się za ciemną chmurą. Khallayne zadrżała, przetarła zmrużone oczy i stwierdziła, że jest nie ciemniej niż przed chwilą. Ścisnęła puchar mocniej, by uspokoić dygoczące palce i idąc za przykładem wszystkich wokół, rozejrzała się po ulicy. Wszystkich z wyjątkiem wyprostowanego i wpatzonego gdzieś w przestrzeń Jyrbiana. Pierwsze pojawiły się dzieci. Odziane na biało ogrze dzieci ze wstążkami we wszystkich kolorach sypały kwiaty na ulicę, tańcząc, śmiejąc się, bawiąc i pokrzykując. Za nimi szli fletniści, kolejni muzycy oraz dzieci. Młode kobiety i mężczyźni rzucali kwiaty przyjaciółom w tłumie. Dalej szli wystrojeni w najlepsze paradne mundury żołnierze, wymachując błyszczącymi w słońcu mieczami, a za nimi znów dzieci, tym razem starsze. Wszyscy tak tryskali radością, że Khallayne dostrzegła w tym fałsz. Potem szli jeńcy, nadzy, bosi, wysmarowani oliwą, jakby wystawieni na aukcję. Skuto ich razem łańcuchami, które lśniły jasno jak miecze żołnierzy. Tłum wiwatował i oklaskiwał ich tak samo, jak tańczące dzieci. Przez cały czas na obliczu Jyrbiana gościł upiorny uśmiech. - Nie chciałabyś chyba tego przegapić - rzekł, łagodnie biorąc ją za ramię. Z koloseum wymaszerowały następne oddziały wojska. Ci szli pieszo, choć po mundurach widać było, że to oficerowie wyżsi rangą od wyprzedzających ich żołnierzy. Szli w idealnie równych szeregach, doskonale zgranym krokiem,

dumnie wypinając piersi. Kiedy zbliżyli się, Jyrbian zacisnął palce na ramieniu Khallayne. Pośrodku szeregów oficerów szły trzy postaci - jedna potykała się i była niemal niesiona przez pozostałe dwie u jego boku. Tą osobą był Eadamm. Miał związane z przodu nadgarstki i nogi zbroczone jasną krwią. Został okulawiony - przecięto mu grube ścięgna tuż nad kolanami.

Khallayne krzyknęła. Puchar wina wypadł jej z rąk i błysnął w słońcu. Jyrbian przycisnął ją do siebie, zmuszając do stania w miejscu. Kiedy puchar spadł na ulicę w dole, nie usłyszała odgłosu. Khallayne spuściła oczy i dostrzegła, że choć Jyrbian trzymał ją mocno jedną ręką, w drugiej trzymał lekko palce Kaede i delikatnie je głaskał. - Eadamm będzie oprowadzany codziennie przez sześć dni - mówił Jyrbian. - Po jednym dniu za każdy z sześciu miesięcy od czasu buntu. Następnie zostanie publicznie stracony. Popatrzył na nią z uśmiechem, a potem wrócił do oglądania widowiska, śledząc każdy krok Eadamma. Khallayne zauważyła, że jego oblicze, które kiedyś pod względem urody mogło rywalizować z jej twarzą, wykrzywiło się i stało szkaradne jak jego dusza. Dwa. Trzy. Cztery. Pięć. Sześć. Każdego dnia Jyrbian wysyłał nową suknię do komnat Khallayne, za każdym razem bardziej wytworną od poprzedniej. Każdego dnia przysyłał dwóch krzepkich, dobrze wyszkolonych w magii strażników, by ją eskortowali. Przełamywali jej magiczne osłony. Nieśli ją, kiedy się opierała. Każdego dnia Jyrbian siedział w siodle na dziedzińcu i przyglądał się, jak wynoszą ją i sadzają na koniu obok niego. - Dlaczego policzkujesz ich i kopiesz, kiedy mogłabyś po prostu pomyśleć i unicestwić ich magią? - spytał z rozbawieniem. - Mam ich zabić dlatego, że ślepo wykonują twoje polecenia? - spytała. - Przez to stałabym się nie lepsza od ciebie. Każdego dnia wybuchał śmiechem i sprowadzał ją ze szczytu góry na rozbawione ulice. Każdego dnia stał obok niej, trzymał ją za ramię i zmuszał do przyglądania się upokorzeniu i kaźni Eadamma. Siódmego dnia było już późne popołudnie, kiedy przybył niewolnik z tuniką i wyszywaną kamizelą, którą miała na sobie tyle dni temu na przyjęciu, gdy spoglądała na Jyrbiana z pożądaniem i niecierpliwością.

Zamek przez cały dzień aż huczał od przyjęć i uroczystości. Wiedziała, że wkrótce odbędzie się egzekucja. Wiedziała też, że Jyrbian zmusi ją do przyglądania się kaźni, lecz czuła jedynie ulgę, że wkrótce nastąpi koniec. Przynajmniej Eadamm wymknie mu się z rąk, przestanie cierpieć. Na dziedzińcu padało jasne popołudniowe słońce, od którego bruk tak się rozgrzał, że jego ciepło czuła przez buty. Jyrbian czekał na nią jak zawsze, tak samo Kaede. Bez poganiania dosiadła konia, lecz trzymała wodze krótko, póki Jyrbian nie odwrócił się do niej. - Czemu muszę brać w tym udział? - spytała spokojnie. Uśmiechnął się i rzekł z wyrzutem: - Khallayne, byłaś świadkiem początku. Nie możesz przegapić finału. Koniec okazał się jeszcze dziwniejszy od wszystkiego, co miało dotychczas miejsce. Wypełnione po brzegi koloseum otaczały setki ogrów, którzy nie dostali się do środka. Khallayne i pozostali nigdy nie precisnęliby się przez ciżbę, gdyby nie strażnicy Jyrbiana, którzy robili im przejście w tłumie. Panował nastrój podenerwowania, słyhać było narzekania i skargi na brak miejsc dla wszystkich. Jyrbian z swym orszakiem przejechał pod ciężkim, kamiennym łukiem koloseum. Zgiełk tłumy ucichł. W całym amfiteatrze zapanowała dziwna cisza. Khallayne i reszta zsiadli z koni i udali się pod obstawą do prywatnej łoży Jyrbiana na ogromnym balkonie nad areną. Dopiero wtedy Khallayne zrozumiała. W innych specjalnych łożach wokół pełno było dworzan, którzy siedzieli w tłoku lub wychylali się przez barierki i wołali do siebie ze śmiechem. Ku jej zgrozie większość miejsc zajmowali niewolnicy. Pomędzy nimi widać było strażników uzbrojonych w miecze, piki i łuki. Zaczęło się widowisko. Tancerze, zonglerzy i akrobaci. Dobrze wytresowane konie i dobrze wyćwiczeni żołnierze popisywali się sprawnością. Wojsko maszerowało i salutowało z doskonałą precyzją. Magowie pokazywali tajemne sztuki, wyczarowując z niczego kwiaty i zonglując ognistymi kulami. Ogrowie klaskali, wiwatowali i pili. Niewolnicy siedzieli w milczeniu. Następnie zapalono wielkie pochodnie i zaczęło się prawdziwe widowisko,

na które przybyli wszyscy ogrowie. Na środek areny wyprowadzono Eadamma. Wszyscy niewolnicy nachylili się, by lepiej widzieć.

Z wielką ceremonią zakuto więźniowi ręce w kajdany. Podprowadzono konie. Khallayne odwróciła głowę. Jyrbian nie zauważył tego. Nie mógł oderwać oczu od widowiska, z emocji walił pięściami w uda. Kaede stała obok niego, gładząc go po ramieniu, lecz on jej nie dostrzegał. Khallayne zobaczyła, że siedząca w środkowej łoży Anel uniosła czerwoną chustkę, a potem ją upuściła. Usłyszała nagłą ciszę, a następnie odgłosy tak okropne, że była przekonana, iż nigdy nie zdoła ich już wymazać z pamięci. Trzasnęły bicze. Coś zaskrzypiało i chrupnęło. Coś się rozerwało. Przycisnęła dłonie do uszu, by nie słyszeć ochrypłych, podnieconych krzyków. Łzy płynęły jej po twarzy. Kolejny ryk wiwatów, jeszcze huczniejszych i bardziej gromkich niż uprzednio. Potem jeszcze jeden i Khallayne pomyślała: - To już koniec. Koniec. Eadamm został rozszarpany końmi i poćwiartowany. Wtedy rozległ się dźwięk, jakiego jeszcze w życiu nie słyszała i jakiego już nie usłyszy. Wpierw stłumiony lecz narastający i wzbierający, szum, który przerodził się w pieśń przechodzącą w pożogę, która z kolei spowodowała eksplozję wściekłości, strachu i zbyt długo tłumionej zgrozy, zbyt długo znoszonej udręki. Niewolnicy podnieśli bunt. Ten dźwięk był odgłosem powszechnej furii, jaką wybuchli, jakby ktoś nadał sygnał. Zwracali się przeciwko swym panom, swym nadzorcom.

Rozdział 18 - Koniec i początek Kaede wrzasnęła. Jyrbian wykrzykiwał rozkazy. Choć Khallayne odgadła z jego gestów, że wzywa strażę, by odprowadziły ich do bezpiecznego miejsca, mało ją to obchodziło. Teraz nadarzała się okazja ucieczki! Ruszyła szybko, zakasując długą spódnicę i przepychając się przez zdezorientowany i przerażony tłum w stronę wyjścia. Strażnicy usiłowali powstrzymać napaść niewolników. Byli odwróceny plecami do niej. Rozejrzała się. Od ziemi dzieliła ją odległość trzykrotnie przewyższająca jej wzrost. Potem jednak byłaby już na arenie. W sąsiedniej łoży, naprzeciwko trybuny Rady Panujących, było mniej gwardzistów, a więcej dworzan. Jedno piekło. Ta łoża jednak znajdowała się niżej. Gdyby skoczyła do niej, miałaby stamtąd do ziemi jakieś trzy metry. Weszła na krzesło, zrzucając nogą jedzenie i porcelanowe naczynia. Przez chwilę nie była pewna, czy jej się uda. Wtedy usłyszała, jak Jyrbian wykrzykuje jej imię i skoczyła. Wyciągnęła ręce w locie. Zahaczyła palcami o chropowaty kamień i drapała go, kalecząc sobie dłonie i łamiąc paznokcie. Uderzyła ciałem o mur i powietrze wyleciało ze świstem z jej płuc. Khallayne rozluźniła uchwyt. Spadła i uderzyła mocno o ziemię. Gwiazdy zatańczyły jej przed oczami i poczuła ostry ból, który przeszył jej lewy bok. Przewróciła się na plecy, dysząc ciężko. Spostrzegła nad sobą twarze Jyrbiana i Kaede, którzy patrzyli w dół. Podniosła się na klęczki, podpierając rękoma. Potem wstała. Upewniwszy się, że nikt jej nie ściga, precyzyjnie się między łożami i poszukała wyjścia. Większość niewolników zeskoczyła na arenę i uciekła w stronę bram miasta, wielu jednak nadal stało na trybunach. Khallayne załkała na widok tego, co robili z właścicielami oraz strażnikami. Przywarłszy plecami do ściany, posuwała się w stronę wyjścia. Kilka metrów dalej znajdował się tunel, którym na arenę wprowadzano niewolników i zwierzęta. Skręciła za róg w ciemny tunel i stanęła twarzą w twarz z człowiekiem, który głową ledwo sięgał jej do ramion. Miał włosy pomarańczowe jak marchewka, złośliwe oczka zmrużone od nienawiści i podartą koszulę z plamami krwi na przodzie. Wyszczrzył do niej zęby, uśmiechając się jak Jyrbian - szeroko i złośliwie. W rękach trzymał kij. być może kawałek lancy lub piki, wyszczerbiony z obu stron w miejscach, gdzie został odłamany. W ciemności wydawało się, że jest na nim krew.

Zanim zdążyła cokolwiek zrobić, głos kobiety zatrzymał wznoszącą się maczugę. - Stój! - Z ciemności wybiegła drobna niewolnica. - Jej nie - zabroniła mężczyźnie, stając pomiędzy Khallayne i napastnikiem. Ten odepchnął ją i wzniósł maczugę. - Śmierć wszystkim ogrom! - warknął.

Niewolnica złapała kawał drewna i zamachnąwszy się, grzmotnęła mężczyznę w tył głowy, aż zahuczało. - Tędy - powiedziała, nie rzuciwszy nawet okiem na powalonego człowieka, i wskazała głową ciemny tunel. Zanim odwróciła się, Khallayne chwyciła ją za ramię. - Laie? - To nie mógł być nikt inny. Niewolnica z kuchni, która pomogła jej tej nocy, gdy wraz z Lyrraltem skradli Historię, wychudzona i ze zmarszczkami wokół oczu, nadal jednak o żółtych jak słoma włosach i niewiarygodnie niebieskich oczach. Niewolnica spojrzała na nią jakoś dziwnie. Khallayne poczuła się winna. Kobieta najwyraźniej ją poznała. Z jakiego innego powodu miałyby ją ratować? - Dziękuję ci, Laie. Niewolnica rozejrzała się na boki, upewniając się, że nikt ich nie obserwuje. - Pośpiesz się. - Odwróciła się i znikła w głębi tunelu. Khallayne bez wahania poszła w jej ślady. Przyspieszając kroku, bez trudu dogoniła Laie, która zaprowadziła ją prawie do końca tunelu, a następnie skręciła dwa razy i przebyła trzy różne korytarze. Dwukrotnie niemal zostały zauważone przez innych niewolników, lecz za każdym razem udawało im się schować w cieniu lub za drzwiami, dopóki niebezpieczeństwo nie minęło. Raz Khallayne zmuszona była użyć czaru „odwrócenie uwagi”, aby biegnący niewolnicy je ominęli. Wreszcie stanęły na ulicy w mieście, które oszałało. Zgasły ostatnie promienie słońca i powinien zapaść zmrok, lecz miasto stało w ogniu. W niebo biła pomarańczowa luna, a długie cienie kładły się w poprzek ulic. Z okien budynków po obu stronach koloseum buchały płomienie. Ulice zaścielały gruzy i ciała zabitych. Echo wrzasków i dzikiego śmiechu niosło się wśród ścian gmachów. Jak mogło do tego dojść tak szybko? Khallayne popatrzyła w niebo. Czy zostanie coś jeszcze, kiedy słońce wzejdzie? - Musimy iść! - Laie pociągnęła ją za rękaw. Prowadziła ją ulicą, wymijając uzbrojonych niewolników i obchodząc dookoła jakieś nieruchome, bezwładne i połyskujące czerwono wyboje na drodze.

18. Dragonlance - Zaginione Opowieści 02 - Irdowie

Kiedy mijali jedno ze zmasakrowanych ciał, które zaścielały chodniki, zwłoki drgnęły i zdawały się ożyć. Khallayne pierwsza to zauważyła i poczuła. Chwyciła Lale i odciągnęła na bok. - Co się stało? Khallayne uklękła i przyjrzała się wijącemu trupowi. Wciąż wyczuwała moc i nienawiść, jaką zionął. - Nie wiem. Może to zaklęcie, które nie zadziałało. Tylko go nie dotykaj. Uważaj na następne ciała. Chodźmy stąd. Laie pokiwała głową, lecz tym razem pozwoliła prowadzić Khallayne. Khallayne zauważyła jeszcze dwukrotnie coś złego. Coś przypominającego to, co minęły, przywarło do muru z cegły, a jakieś ciało, tak poważnie uszkodzone, że musiało być martwe, nadal ruszało się i czołgało w ich stronę. Znalazły zaułek pełny beczek i skrzyń i przykucnęły w cieniu akurat w chwili, gdy nie dalej niż półtora metra od nich przebiegły jakieś postaci. - Muszę wrócić do zamku. Muszę coś stamtąd zabrać. - Uwolniła się z niewoli Jyrbiana. Zdrowy rozsądek nakazywał jej uciekać, jednak w zamku został kryształ - Historia ogrów opowiedziana od zarania dziejów. Raz już o niej zapomniała. Nie chciała ponownie popełnić błędu, zostawiając ją. Laie spojrzała na nią jak na wariatkę. - Wracać do zamku? Ja tam nie mogę pójść. - Wiem. Rozumiem. Ja jednak muszę. Laie pokiwała głową i odwróciła się. - Czemu? - wypaliła nagle Khallayne. - Czemu mnie ocaliłaś? Niewolnica utkwiała w niej niebieskie oczy. - Zawdzięczam ci życie. Spłaciłam dług. Khallayne skinęła głową. - Dziękuję. - Była już na końcu zaułka, kiedy jakiś impuls nakazał jej odwrócić się. - Laie, jeśli dotrzesz w góry, idź na północny wschód. Tam są ludzkie miasta, ludzie, którzy nie boją się ogrów, którzy walczą i wiodą uczciwe życie. Potem zawróciła i szybko odeszła, nie oglądając się za siebie. W zamku panowały dziwna cisza i ciemność, choć wszędzie paliły się świece -- na podłogach, na parapetach i na stołach - jakby pozostali tam jeszcze ogrowie usiłowali przegnać mrok. Teraz to oni, nie ludzie, biegali w panice z tobołkami i plecakami wypchanymi żywnością, szykując się do ucieczki. Nikt nawet nie rzucił okiem na Khallayne, która przemykała szybko korytarzami. Wszyscy byli zbyt zajęci ratowaniem własnej skóry.

W apartamencie, w którym mieszkała przez ostatnie tygodnie, paliło się jasne światło, a drzwi zachęcająco stały otwarte. Wiedziała, kto będzie na nią czekał wewnątrz. Jyrbian stał przy kominku, starannie uczesany i ubrany w świeży mundur. Opierał się łokciem o gzyms kominka, stojąc w tak swobodnej pozie, jakby przysłała mu złożyc wieczorną wizytę. Dopóki Khallayne nie przestąpiła progu, nie zauważyła Kaede, która stała przy okiennym parapecie, gdzie ukryto kryształ. Ogrzyca uśmiechnęła się okrutnie, dostrzegłszy ukradkowe spojrzenie Khallayne. - Nie spodziewałam się, że cię jeszcze zobaczę - rzekła sucho. - Och, ja wiedziałem, że wróci - odparł bezceremonialnie Jyrbian. Khallayne spojrzała na niego ze zdziwieniem. Wtedy zauważyła, co trzymał i beztrako obracał w dłoniach: kryształową kulę. Jego ruchy mogły być wystudiowane, a głos obojętny, lecz mięśnie pod naciągniętą skórą twarzy zdradzały napięcie. Jego przykryte ciężkimi powiekami oczy były szare jak zmatowiały metal i całkiem obłąkane. - Wciąż nie powiedziałaś mi, jak tego dokonałaś. Khallayne wodziła oczami za kryształem. - Proszę, Jyrbianie - rzekła cicho. Jyrbian odchylił głowę i wybuchnął głuchym śmiechem szaleńca. Khallayne zrobiła krok w jego stronę i wyczuła, że Kaede podeszła o krok do niej. - Proszę, Jyrbianie, pozwól mi wziąć kulę. Nie jest ci tu potrzebna. Takar przepadł na wieki. Nie musi jednak zostać zapomniany. Wszystko, czym byliśmy, nie musi zostać zapomniane. - Chcesz zanieść ją Igraine'owi? - Kusząco wyciągnął do niej kryształ. - Naszemu ludowi, nie Igraine'owi. Jyrbian uśmiechnął się, błyskając zębami. --- Więc wiesz, gdzie

oni są? Cały czas wiedziałaś. Potrząsnęła głową. - Nie, ale ich znajdę. Jakoś ich znajdę. - Powiedz mi. - Trzymał kulę w wyciągniętych rękach. - Wymiana. Historia za miejsce ich pobytu. Dla zaspokojenia mojej ciekawości. Intuicja podpowiadała jej, by uciekała. Teraz, szybko. Nie rozmawiać dłużej. Brać nogi za pas. Prędko. - Nie. Zabijesz mnie, tak jak zabiłeś Bakrella. Na wzmiankę o bracie Kaede wydała stłumiony jęk. Zrobiła krok naprzód.

Jyrbian znów zatrząsnął się ze śmiechu. Wybuchnął obłąkanym, szaleńczym chichotem. Wyciągnął do niej kulę w złożonych dłoniach, a kiedy zbliżyła się, zgniótł ją, zmiażdżył gołymi rękoma. Spojrzał na Khallayne znad okruchów kryształu i krwi, która kapiała mu z rąk. - Jak mogłeś? - wrzasnęła przeraźliwie Kaede. - Była moja! Moja! Zniszczyłeś ją tak, jak zabiłeś Bakrella! Jyrbian wyminął ją i nadal skradał się do Khallayne, lecz Kaede znów przyskoczyła do niego. - Powiedz, czemu zamordowałeś mojego brata! - wrzasnęła mu w twarz. - Zabił go bez powodu - odparła Khallayne. - Bakrell umarł w lochach tego zamku. - Khallayne szybko odskoczyła, kiedy Jyrbian bez wysiłku odepchnął Kaede na bok. Ogrzyca rzuciła się na niego z krzykiem. Niedbale uderzył ją na odlew, aż przewróciła się na podłogę. Głową uderzyła w krzesło. Magia zawrzała w ciele Khallayne, podsuwając jej myśl o płomieniach. Pożar. Teraz. To musi stać się teraz. Zamknęła oczy, co było niebezpiecznym gestem, jednakże pomagało jej skupić moc. Wyczuła napięcie szykującego się do skoku Jyrbiana i z całych sił wyrzuciła z siebie magiczną moc. Zimny ogień. Nie miała pojęcia, skąd wzięło się to zaklęcie. Teraz posługiwała się intuicją. Błękitnopomarańczowe płomienie buchnęły w stronę Jyrbiana i spowiły go całkowicie: Ogr ryknął z wściekłości i wił się w ognistym polu, wykrzykując słowa zaklęcia, wznosząc do swego boga modły z prośbą o ochronę. Płomienie przygasły i zamigotały, ona jednak skupiła się i włożyła całą swą wiedzę, strach i ból w utrzymanie zaklęcia. Jyrbian potknął się i zachwiał, trzymając za głowę. Wtedy stało się coś niewiarygodnego - Kaede stanęła obok niej i wzmocniła ogień swą magiczną siłą. Jyrbian rzucił się na Kaede, wyciągając ręce przez ścianę ognia. Złapał ją za ramię i wciągnął w otaczające go płomienie. Khallayne krzyknęła. Targana bólem Kaede wygięła się konwulsyjnie. Palce Jyrbiana wpijały się jej w gardło. Khallayne upadła na kolana z twarzą zalaną potem i łzami. Wcisnęła pięści w brzuch i zgięła się we dwoje z wysiłku, jakim było utrzymanie czaru. Klęcząc na posadzce, czuła jak okruchy rozbitego kryształu wbijały jej się w kolana i kaleczyły dłonie. Zgarnęła odłamki w garść. Wciąż przesyciała je resztką magii, echo mocy i pieśni. Jyrbian upuścił posiniaczoną Kaede i skupił uwagę na Khallayne.

Khallayne wstała i rzuciła się na niego z okruchami kryształu w dłoniach, zaatakowała z furją zrodzoną z żalu po tym, co przestało istnieć - po mieście, cywilizacji ogrów, Pieśni Historii. Nie mogąc pokonać płomieni, które go otaczały, Jyrbian wyciągnął ręce przez ich zaporę. Wybuchła lampa. Z tyłu spadło coś wielkiego. Przepiękne okno z szybami z trawionego szkła wybuchło do środka, wyrzucając odłamki pod sufit. Za plecami Jyrbiana Kaede wstawiała powoli, niemal nie będąc w stanie zrobić kroku. Khallayne nie potrafiła zrozumieć jej słów, lecz podchodząca chwiejnie do Jyrbiana ogrzyca poruszała wargami. Przeniósł atak na nią. Coś skoczyło na Kaede. Przyjęła całą siłę ciosu na pierś, lecz nie zatrzymała się, idąc ku niemu nachylona jak pod wiatr o sile śnieżycy. Za późno uświadomił sobie jej zamiary. Próbował się wycofać, lecz Kaede wyciągnęła do niego ręce. Weszła w ogień zaklęcia Khallayne, wnosząc ze sobą jakiś nieznaną czar i odbijając ku Jyrbianowi siłę jego własnego ataku. - Idź! - szepnęła do Khallayne. - Idź! Khallayne biegła wśród stojących w płomieniach sprzętów, wybuchających skał i kryształów na parapecie. Zatrzymała się na progu, a kiedy się obejrzała, zobaczyła jedynie wykrzywione z nienawiści oblicze Jyrbiana, które niegdyś uważała za najpiękniejsze w całym Takarze. Odwróciła się czym prędzej i pomknęła przez korytarze, aż zbiegłszy po schodach, wyskoczyła na zewnątrz, w chłodny mrok nocy. Wciąż jednak

rozbrzmiewał jej w głowie obłąkany, przerażający krzyk Jyrbiana. Uciekaj! Uciekaj! Nie ma takiego miejsca na Krynnie, gdzie ogrowie cię nie znajdą, gdzie nie dosięgną cię bogowie! Jej koń został przy koloseum, wzięła więc wielkiego ogiera Jyrbiana. Zwierzę stało w swym boksie wciąż osiodłane. Khallayne pogalopowała do Takaru, z powrotem w ogień, odruchowo kierując się w stronę zachodniej bramy. Aby wrócić na równiny, będzie musiała wybrać trasę inną niż poprzednio, w kierunku Bloten. Przełęcz na północy z pewnością były już zasypane śniegiem. Ulice były zupełnie wyludnione. Większość gmachów nosiła ślady uszkodzeń, lecz największe pożary wciąż płonęły jasno na wschodzie, w pobliżu koloseum.

Nikt jej nie przeszkodził. Żaden wartownik nie zatrzymał jej, kiedy przejechała galopem przez bramę i pognąła szeroką drogą, oddalając się od Takaru. Mało brakowało, a przez tętent swego konia nie usłyszałyby, że ktoś woła ją po imieniu. Obejrzała się i spostrzegła niewielką, ubraną w prosty strój i łopoczącą pelerynę postać, która biegła poboczem traktu i wymachiwała rękoma. Jelindra! Ściągnęła mocno wodze, zatrzymując konia. Była pewna, że Jelindra już dawno pojechała! Zeskoczyła z siodła. Dziewczynka omal nie zbiła jej z nóg, rzucając się na szyję. - Och, Khallayne, już myślałam, że nigdy nie przyjedziesz! Khallayne uściskała ją równie mocno. - Ja też tak sądziłam. Nie mogę uwierzyć, że jeszcze tu jesteś. Jelindra wyglądała zdrowo, choć miała umorusaną twarz i pełno gałązek we włosach. - Mówiłam, że będę czekać - odparła. - Schowałam się w lesie i każdego dnia obserwowałam drogę. Wtedy zobaczyłam pożary i już pomyślałam, że nigdy nie przyjdiesz! - Znow objęła Khallayne. Ogrzyca przytuliła ją. - Już jestem. Chodźmy do domu. Jelindra pokiwała głową i odsunęła się, ocierając łzy i rozsmarowując brud na policzkach. - Jak ich znajdziemy? Khallayne wzruszyła ramionami. - Nie wiem. Jakoś damy sobie radę. Dwie ogrzyce stały na pokładzie ogromnego statku i opierały się o reling. Stare deski pokładu skrzypiały pod stopami Khallayne. Wiatr wydymał łopoczące żagle nad jej głową. A wszystkim odgłosom towarzyszyło łagodne kołysanie statku, który mknął po powierzchni oceanu, płynne, odprężające i kojące jak powrót do łona matki. Khallayne wychyliła się daleko, czując ukłucia słonych kropel na policzkach i czole oraz dotyk wyszczerbionej dębowej barierki, którą ścisnęła w dłoniach. Czy zastanie tam wyspę? Czy jej naród będzie tam bezpieczny? W Schall zgubiły ich ostatni ślad, lecz żeglarz opowiedział im niewiarygodną historię o ludzie zwanym Irdami, wspaniałym plemieniu, które popłynęło, by zamieszkać na wyspie - wyspie, która ich wołała. Khallayne również słyszała pieśń na wietrze. Był to dźwięk cudniejszy od głosu każdego ogra, wysoki i czysty niczym ton kryształowych dzwoneczków, piękniejszy od głosu w kuli. Jak okiem sięgnąć gładka tafla wody iskrzyła się w jasnym, srebrzystym blasku Solinari. Wyspy jednak nie było jeszcze widać. Żadna smużka łądu nie psuła doskonałego piękna księżycowej poświaty na jedwabście czarnej wodzie.

Tupiąc bosymi stopami o drewniany pokład, Jelindra przebiegła na drugą stronę statku i wychyliła się przez burzę, lecz tam również widać było jedynie pstrą od blasku księżyca morską toń. Jelindra wróciła biegiem do Khallayne. Wydawało się, że księżycowa poświata i przestworza oceanu ciągną się nieprzerwanie po horyzont. Jelindra oparła się całym ciężarem o barierkę, przez którą jeszcze chwilę temu wychylała się tak gorliwie. - Co teraz zrobimy? - spytała. - Jeśli tam nie ma wyspy... - Musi być! - Khallayne uderzyła pięściami w reling. Jej serce nie chciało się pogodzić z inną możliwością. - Słyszę ją. Jelindra przekrzywiła głowę. - Tak - zgodziła się. - Słyszę ją. Chodźmy! Zanim Khallayne zdołała ją powstrzymać, ześlizgnęła się po sznurowej drabince do małej szalupy, którą przygotowały wcześniej tego wieczoru i zaczęła odwiązywać cumę mocującą ją ze statkiem. Khallayne zeszła do łódki. - Jesteś pewna? Wiesz, że zginiemy, jeśli się mylisz! - Nie mylimy się - stwierdziła zdecydowanie Jelindra. Porwana przez ocean szalupa zwolniła, wykonała obrót i oddaliła się od statku, niesiona prądem. Nie było już odwrotu. Jelindra hałaśliwie zanurzyła

wiosło w wodzie. Szalupa drgnęła, a ogrzyca jeszcze raz poruszyła wiosłami. Łódź pomknęła naprzód. Khallayne raz po raz zanurzała wiosła w wodzie, dorównując tempem Jelindrze i kierując szalupę tam, gdzie jej zdaniem winna znajdować się wyspa. Tak mówiły jej nadzieja i wiara. Wiosłowała, dopóki nie rozboleły ją ramiona, póki barki nie zaczęły ją palić żywym ogniem, póki ból omal nie zagłuszył pieśni ładu, póki nie mogła już więcej poruszać drewnianym wiosłem, które zwisło za burtą szalupy. Wtedy mgła nagle się rozwiła i ich oczom ukazała się wyspa. Na przecudnym niebie zamajaczył ciemny zarys. Roześmiana i zapłakana Jelindra rzuciła się w ramiona Khallayne, a potem zaczęła wiosłować jeszcze szybciej. Zapomniałszy o bólu, Khallayne zanurzyła wiosło w wodzie tak głęboko, że zamoczyła palce i wiosłowała tak długo, aż usłyszała, że szalupa szoruje dnem po piasku. Wtedy wskoczyła do zimnej wody i pociągnęła za sznur przymocowany do łodzi. Zdawało jej się, że trwa to wiecznie. Jelindra pomogła jej, ciągnąc za linę ze wszystkich sił. Kiedy łódź zazgrzytała o piaszczysty brzeg, porzuciły ją i resztę drogi przebyły biegiem, póki nie poczuły pod stopami ciepłego, suchego piasku.

Khallayne padła na kolana i zanurzyła palce w gruboziarnistym piachu. Przycisnęła go do twarzy i poczuła, jak jego ziarenka przyklepiają się do strużek zostawionych przez łzy na jej policzkach. - Dom, Jelindro! Jesteśmy w domu! - Podrzuciła w górę garście piachu, a potem zasłoniła oczy, gdy wiatr od oceanu cisnął go jej z powrotem w twarz. - Khallayne... Lęk w głosie Jelindry przerwał radość Khallayne. Spostrzegła, że ktoś się do nich zbliża. Mrużąc oczy z powodu piasku, który przyczepił jej się do rzęs, wstała i niepewnie zbliżyła się o krok do postaci, która po części była ukryta w cieniu na skraju drzew. - Kto tam? Jestem Khallayne. Przybyłam odnaleźć Igraine'a... Lyrralt! To musiał być Lyrralt. Poznała jego sposób poruszania się, stąpania, jego zapach niesiony przez słoną bryzę. Postać ostrożnie wysunęła się naprzód, zbyt mała, zbyt wątła, by mogła być ogrem. - Khallayne? - W świetle błysnęły miękkie włosy i skośne oczy elfa. Ogrzyca zamarła. Nocną ciszę rozdarł krzyk Jelindry. Khallayne zasłoniła sobą dziewczynkę, wyciągając ręce do tyłu, by ją ochronić i pocieszyć, a postać znów zawołała ją po imieniu, tym razem już tonem nie pytającym, lecz wyrażającym radosne powitanie. Olśniło ją. Elf wymówił jej imię! Mężczyzna, wysoki i smukły, o rysach elfa... tylko o głosie Lyrralta. Na jej oczach dokonana się transformacja. Była to zmiana kształtu, magiczna i cudowna jak pojawienie się wyspy. Gibki elf zmienił się w wysokiego i barczystego Lyrralta o lśniącej w blasku Solinari szafirowej skórze i błyszczących jak księżyc srebrnych włosach. I ślepych już na wieki oczach. - Wybaczcie mi - rzekł Lyrralt, wyciągając do nich ramiona. - Wybaczcie mi, ale musiałem się upewnić. Khallayne podbiegła do niego i rzuciła mu się w objęcia. Chwilę później Jelindra przyskoczyła do nich, przyłączając się do ich kręgu. Lyrralt zadygotał i przytulił je mocniej. - Jak to zrobiłeś? - spytała. - Przez chwilę sądziłam, że jesteś elfem! Ogr ze śmiechem wypuścił je z objęć. - Bogowie dotknęli nas, Khallayne, pobłogosławili darem, w który nie sposób uwierzyć, nie sposób... nie sposób...

- Przestań. - Przycisnęła dłoń do jego warg, by zatrzymać potok przyprawiających o zawrót głowy słów. Poczowała pod palcami jego ciepły oddech i coś jeszcze. Bliznę. Obróciła go do światła księżycy i ujrzała zygzakowatą szramę, która przecinała mu całą twarz. - Spokojnie, powoli. Opowiedz nam wszystko. W odpowiedzi pogładził palcami jej oblicze, jakby upewniając się co do tożsamości ogrzyc, które przed nim stały. Strzepnął piasek z włosów Jelindry. Tchnącym spokojem głosem wyjaśnił: - W zeszłym miesiącu, kiedy Solinari stał w pełni, bogowie nas dotknęli. Tej nocy natchnęli nas spokojem i pogodą ducha. A kiedy zbudziliśmy się, mogliśmy się przemieniać. - Przemieniać? - Zmieniać kształt, co uczyniłem przed chwilą na twych oczach. Mogę przybrać kształty dowolnej istoty. Wszyscy to potrafimy. Czy zdajesz sobie sprawę, co to oznacza? - Podniósł głos z podniecenia. - To oznacza, że już nigdy nie będziemy musieli się niczego obawiać. Nigdy nie

będziemy zmuszeni uciekać. Zawsze będziemy doskonale zamaskowani. Nawet jeśli ta wyspa zostanie odkryta, nikt się nie dowie, kim jesteśmy! - Wyspa! Dlaczego nie widziałyśmy wyspy? - zaciekawiała się Jelindra. Lyrralt umilkł, uśmiechając się nieśmiało. - To moje zaklęcie maskujące, ale wszyscy musimy dokładać starań, by je utrzymać. Khallayne ledwo mieściło się to w głowie. Po prostu informacji było zbyt wiele i zbyt szybko napływały. Dar bogów. Dostępna dla każdego magiczna moc dość potężna, by ukryć wyspę? Lyrralt, niewidomy, z blizną na twarzy i używający czarów? - Khallayne? - Chwycił ją za dłoń. - Tak wiele tego - szepnęła. - Tak wiele. Smutek w jej głosie nie uszedł uwadze Lyrralta. - Co się stało? Powiedz mi - spytał. Chwyciła go za rękę. - Tyle tego, że sama nie wiem, od czego zacząć... - Jyrbian? - Chyba nie żyje - szepnęła, łudząc się, że to prawda. Miała nadzieję, że nie przeżył ognia Kaede, bo wzdrygała się na samą myśl o takim żyjącym Jyrbianie, jakiego widziała ostatnim razem. - Bakrell też. I Kaede. - A Takar się spalił - wtrąciła Jelindra. Khallayne skinęła głową. - Obejrzałyśmy się tuż przed zejściem z zachodniego traktu. Wyglądał jak dymiące pogorzelsko. Całe miasto... - Pozostali będą chcieli tego posłuchać.

Epilog - Księga Irdów Powierniczka Historii Irdów stała na stoku wzgórza otoczona przez swój lud, wsparta na ramionach przyjaciół i ukochanych, choć była młoda i silna jak tegoroczne drzewka, które rosły w pobliżu. Widziała, jak przeminął świat jej dzieciństwa i jak uległa zniszczeniu święta historia jej ludu, lecz mimo to uśmiechała się dzięki Darowi, który przekaże całemu swemu plemieniu. Uniosła księgę, Dar bogów, i głosem tak czystym i pogodnym, tak jasnym i pięknym jak blask słońca, wypowiedziała pierwsze słowa zapisane na jej kartach, słowa, z których utkana była Historia świata i ogrów, pierwotnych dzieci bogów. Oto, co ocalałam przed zagładą. Muzyku przepadła na wieki, podobnie jak piękno ogrów, lecz słowu zachowały się, aby wszyscy mogli je przeczytać. Jesteśmy Irdowie, pierwotne dzieci bogów. Bóg Najwyższy spojrzął z wysokości na chaos i rozkazał bogu Reorxowi wykuć wszechświat swym mocarnym młotem. W kuźni bogów powstał nasz świat i bogowie żyli na nim niczym dzieci, które bawią się na łące. Podczas stwarzania świata znad kowadła posypały się iskry, które osiadły na niebiańskim sklepieniu i tańczyły na niebie. Iskry te były duchami, których głosy przypominały światło gwiazd. Błyszczały jak sami bogowie, bowiem same były częstkami bogów. Bogowie ujrzeni duchy i zapragnęli ich na własność. Stoczyli bój o ich posiadanie, zadając światu potężne ciosy. Najwyższy Bóg spojrzął z wysokości na zniszczenia i rozgniewał się na swe dzieci. W wielkim gniewie oznajmił, że każdy z boskiej trójcy Zła, Neutralności i Dobra może wręczyć duchom po jednym darze, a potem musi zostawić je w spokoju. Bogowie Światłości dali duchom ciała, aby mogły zawładnąć swym światem. Bogowie Ciemności obdarowali je słabością i żądzami, aby poznały chciwość i zepsucie. Bogowie Szarości, bogowie Cienia, dali duchom wolną wolę, aby same mogły pokierować swym losem. I tak narodziły się rasy. Od bogów Zła pochodzą ogrowie, pierwotni tego świata. Obdarowani nieśmiertelnością i doskonałą urodą wybrali wyniosłe góry na swe miejsce zamieszkania.

Od bogów Dobra i Światłości pochodzą elfowie, wdzięczni, majestatyczni i dobrzy. Odszukawszy zaczarowane lasy, zaszyli się w nich, by żyć w harmonii z przyrodą. Ci, którzy są pośrodku, Szarzy bogowie, wydali na świat istoty ludzkie. Wiodły one krótkie i zwierzęce żywoty, lecz obdarzone były zdolnością zarówno niszczenia, jak i kochania. Im pozostały trawiaste równiny. Ogrowie ogłosili się samowolnie władcami innych dzieci świata, lecz zbyt spokojni i dobrzy elfowie byli kiepskimi niewolnikami. Ogrowie zmusili więc ludzi, by zbudowali im zamki, miasta i drogi. Cywilizacja ogrów powstała z ludzkiej pracy i krwi. Niczym gwiazdy na niebie byli mocarni ogrowie, strażnicy ciemności, którzy stworzyli państwo ładu i dyscypliny. Jednak padli ofiarą własnych żądz. Chciwość i pożydlwość osłabiły ich i pozbawiły piękna, a nienasycenie stało się przyczyną ich upadku. Ludzie podnieśli bunt przeciwko ich okrucieństwu oraz mściwości i ogrowie

popadli w niełaskę bogów. Igraine, gubernator potężnej prowincji, dzięki ludziom poznał najcenniejszy dar. Dowiedział się o możliwości wyboru między dobrem a złem. Nauczył się od ludzi daru zesłanego przez bogów, umiejętności niszczenia, kochania i zdolności dokonywania wyboru między nimi. Zebrał wokół siebie Irdów, Dzieci Gwiazd, swoich przyjaciół i rodzinę, tych, którym bliska była jego wizja, i zbiegł z nimi w góry. Wiele trudów pokonali w drodze do nowej ojczyzny, Anaiathy wśród Smoczycy Wysp. Ogrów już nie ma. Pogrążą się znów w chaosie, z którego powstał świat. Irdowie jednak przetrwają, dobrzy i silni, pierwotni bogów, wybrańcy bogów. A ta Historia, Irdanaith, Księga Gwiazd, będzie miała swój dalszy ciąg. Piszę ją, aby mogli ją oglądać i zgłębiać wszyscy Irdowie, abyśmy nigdy nie powtórzyli błędów naszych przodków, aby Historia nigdy nie zaginęła.